

Wilczyński Albert

SIOSTRA MOJEJ ŻONY

Obrazek z życia wiejskiego

Zdarzyło ci się kiedy czytelniku, że będąc gdzieś zaproszony na wieczór, jak to mówią dla honoru towarzyskiego, dałeś się zasadzić do zielonego stolika, i ie splukawszy się w dy;'.bc!ka do ostatniego grosza, już o wschodzie słońca wracałeś zły i rozdrażniony do domu. Trzeba trafu, bo zwykle jedno nieszczęście samo nie chodzi, że katastrofa ta przytrafiła ci się właśnie wtenczas, kiedyś najmniej miał do przegrania, a w domu zato żonę, która nigdy nie kładzie się spać, dopóki ty nie wrócisz. Prawda, bywają i takie żony?...

Przypomnisz sobie zatem ten miły humorek, z jakim wymyślałeś sobie na czym świat stoi, jak przeklinałeś dzień i godzinę, w której cię zły duch opętał, bo jużci tego sobie inaczej nie wytłumaczysz, żebyś ty tak skrupulatny i porządny w swoich wydatkach, dał się namówić do gry hazardownej, a w niej pozwolił zgrać się jak ten szewc ostatni. "Widzę, jak idziesz ulicą uśmiechając się gorzko, a sumienie tarkocze ci w uszach, niby elektryczny dzwonek na stacyi kolei żelaznej. Żeby to nie był dzień, i nie to, że trzeba myśleć, jak tu się przed żoną wykręcić—jestem pewny, biłbyś swą własną osobę z całą zapalczywością. Tu prócz

straty, jest wstyd przed tem drugim sumieniem, co się, żoną nazywa, aktora cała, noc wyglądając czy ty nie wracasz, wychuchała nawet w zamarznętej szybie okna okrągłe kółeczko. Jużes zobaczył zdaleka tę plamę na oknie, prawda? nogi ci się płaczą po schodach a jeszcze gorzej język w ustach, co tu jej powiedzieć, jak tu się przyznać, że się takie głupstwo, a nawet więcej niż głupstwo zrobiło...

Otoż w takim mniej więcej usposobieniu wracałem i ja po miesięcznej nieobecności, najętą chłopską turnianką do Polanki. Wprawdzie nie zgrałem się w karty, wracałem na wiosnę i żony nie było w domu; więc nie miałem przed oczami wychuchanego kółeczka na szybie, aio za to nie żałowałem sobie wyinyślań, może jeszcze w dobitniejszym guście niż zgrany małżonek. A za co?—ot posłuchajcie.

Miałem w domu siostrę mojej żony, pannę Michalinę, której posag pożyczwszy, splaciłem najdokuczliwszych wierzycieli Polanki, i zahypotekowałem sume na pierwszym miejscu. Linka, jakeśmy ja, w domu przez skrócenie nazywali, było to dobre, flegmatycznego usposobienia, ośmnastoletnie dziewczętko, wątłe, szczupłe, kwękające, jak większa część terazniejszych wiejskich pańienek pod kloszem wychowanych. Teraz, kiedy już na prawdę idzie zamąż, moge otwarcie powiedzieć, że nie jest ładna, długo lubi sypiać i co trzeci dzień choruje na migrenę. Między jednym a drugim atakiem owej migreny, zwykle bolą ją zęby, dostaje fluksyi po obu stronach twarzy, którą okłada wtedy jakimś tak przeroźliwie aromatycznym materacykiem, że w całym domu, zdaje się, mamy prawdziwą aptekę. Kłamałbym twierdząc, że miałem jakieś rachuby

już nawet w święto, nim uczesała piętrową fryzurę głowy i przyszła do stołu, myśmy obiad kończyli... Wieczór przy herbacie, i przy wszystkich, proszę państwa, co sobie można powiedzieć? Czasem postawił gałki z chleba na serwecie i kazał jej czytać, czasem podał jej talerzyk z sucharkami albo garnuszek ze śmietanką, i tyle całej znajomości. A to całego nieszczęścia narobiła perspektywa, duża i sztuczna, którą nosił z sobą geometra. Linkę zajęła ta kunsztowna maszyna a mój pan Maciej, kontent że się popisać może swą wiedzą, pokazywał Linci całe urządzenie, wykreślał szkiełka, rozsuwał, przysuwał rurki, a wpadłszy już na tor wykładów fizycznych, wyniósł na dziedzińiec busolę, kątomiar i inne narzędzia miernicze. Chodzili tak z godzinę sami po dziedzińcu. Lincia się rozgadała jak nigdy, i zapewne wtenczas musieli się porozumieć co do owych serdecznych interesów, lo odtąd moja panienka wstawiała daleko wcześniej, przed lustrem siedziała dłużej, a Franciszek co drugi dzień prawie jeździł po wate do miasteczka. Kto inny, naprzykład jaka kobieta, możeby w tej zmianie humoru i zwyczajów Linci coś dostrzegła, ale nasz brat Bogu duszę winien. Te częste spacerunki po ogrodzie, dla których widocznie Maciuś już o czwartej po południu wracał z roboty, brałem tak sobie za zwykłą grzeczność towarzyską—nic więcej... Aż tu jednego dnia po obiedzie, kiedym dopalając fajki układał się w fotelu na drzemkę, zjawia się moja zona w kancelaryi i z miną okazującą że ma dość czasu, siada do dłuższej pogadanki.

— "Wiesz Augustynie, mam dla ciebie dwie nowiny.

na przyszłą po niej sukcesy, ale patrząc na to kwękające stworzenie, zdawało mi się, że tego nikt nie weźmie, bo prócz migren, ttuksy, niedokrewności, była tam jeszcze jakaś wada w łopatce, niby garb malutki, który z moją żoną łączyły obie jak mogły, za pomocą gorsetu ze sztabą stalową i pewnych podkładek z waty. Nie wtrącałem się nigdy w te tajemnicze reparaacje, ale widziałem, że bardzo często, kiedy Franciszek przywoził transport waty z miasteczka, zamykały się w swoim pokoju i operowały tam coś ze dwie godziny, poczem Linka wychodziła na obiad w sukni już do figury, i jakoś prościej wyglądała.

Przeszłego roku wypadało mi zrobić pomiar Polanki i do czynności tej ugodziłem dawnego szkolnego kolegę, z powołania geometrę, niejakiego Macieja Pr. Był to człowiek już nie młody, wdowiec, dziobaty, różowy na twarzy, trochę łysy, krzykliwy i wycierający sobie nogi regularnie co wieczór mrówczanym spirytusem. Ani mi na myśl nie przyszło, aby on miał być takim galantem do kochania, jak się w rezultacie pokazało, tembardziej, że Lincia marzyła tylko o bohaterach jeżdżących czwórka aiwozów w krakowskich chomontach, z czarny na wąsikiem do góry zakreconym, i z bródką napoleońską. Mój znowu Maciuś, żeby nie dopuścić rozpleuiania się siwych włosów na brodzie, chodził zawsze wygolony, niby ksiądz wikary lub artysta dramatyczny.

Jak oni się tam porozumieli, tego doprawdy do dziś dnia zrozumieć nie mogę! On zawsze do dnia wychodzi! w pole, a ona wstawiała o jedenastej najwcześniej; on rzadko bywał na obiedzie, chyba w niedzielę, b. zwykle mu się jedzenie posyłało gdzieś do lasu, a ona

więc... Kwapiszewskiej zapłaciłam pensy za rok czterdzieści rubli, samowar kazałam zreparować...

Otoż właśnie do tego samowara zapamiętałem rachunek, bo później słyszałem tylko jakieś dźwięki, niby recytowanie lekcji z geografii, coś niby wymienianie księstw dawnej rzeszy niemieckiej i z ich milami kwadratowemu i ludnością... A potem, tak ni ztąd ni zowąd widziałem katedrę profesora w drugiej klasie i starego naszego "W i karskiego, który mi kiwał palcem nad głową powtarzając:

— Ty ośle nie wiesz gdzie Hohencollern-Sigmariingen, co, nie wiesz; a jaka siła zbrojna tego księstwa?

— Nie! — zawoła głośnie, zrywając się od biurka moja zona — tyś mi winien sto osiemdziesiąt siedem rubli...

— Półtora człowieka, proszę pana profesora... — mówię będąc przekonany, że odpowiadam dalej geografii przed Wikarskim, najlepiej bowiem pamiętałem tego półtora człowieka kontyngensu związkowego.

— Ależ ty spałeś, Gusteczku?

— Nie, nie, jak ciebie kocham moje życie... tak sobie troszkę, zdrzemało mi się...

— Śliczny mi mąż — mówi z przekąsem — raz w tydzień przychodzę pogadać na seryo o czem, a on śpi...

— Już, już minęło, moja ty gołąbko, jak ciebie kocham, minęło; widzisz, byłem tak jakoś zi użony... Mów dalej, mów, słucham...

Ale nie tak łatwo dała się przeprosić obrażona Lucynka, bo wstawszy z krzesła ze spuszczoneym nosem (jak się gniewa, to widocznie nos jej się przedłuża) zabierała się do wyjścia. Musiałem dogonić, przeprosić,

— B —

— Dwie — powtarzam przymrużając oczy — a dobre?

— Bardzo dobre. Za karmnika dają mi już czterdzieści dwa ruble.

— To sprzedaj...

— Nie, ja trzymam czterdzieści pięć, i zdaje mi się dadzą; Kwapiszewska powiada, że szynkarz z Sobunia ma dwa doskonale chudźce na sprzedaż, zarazbyiu kupiła i znowu zasadziła; widzisz jak ja gospodaruje, A śmiejesz się zawsze ze mnie. Mam już u ciebie z tegoroku, ile to?... sto ośmdziesiąt, czy sto siedemdziesiąt ośm rubli?

— Sto siedemdziesiąt ośm—powtarzam, ziewając straszliwie i trzymając się metody mniejszości.

— Przepraszam, bo ato osiemdziesiąt — przerywa mi z żywością — pamiętasz, raz dodałam ci do raty kiedyś jechał płacić Towarzystwu czterdzieści i pięć: potem kiedyś potrzebował dla maszynisty, który ustawiał kierat, pamiętasz, trzydzieści... potSm na reparacją szopów twoich dodałam dwadzieścia pięć... potem... Ależ ty śpisz, Auguście?...

— Nic, nie, moje życie, słucham... no, dwad zieficia pięć, pamiętam...

— Więc razem ilo mamy?

— Ile mamy, ile mamy... no, mamy coś sto siedemdziesiąt ośm...

— Ale zkąd znowu? — przerywa biorąc ołówek i papier z biurka i licząc... to dopiero sto...

— Może być, że sto... tak prawda, sto...

— A na cóż więcej brałeś?—pyta zamyślona Lucynka gryząc koniec ołówka.—A prawda, kupiłam szpć korcy otrąb żytnich dla koni po półtora rubla, to daie

— if —

się na to.—Wy to zawsze macie na wszystko, tylko nio na to, co zona potrzebuje.

— Ale słowo ci dajg, jak ciebie kocham—na każde zawołanie; chcesz, napiszę ci rewers...

Myślałem, że po takim wyznaniu skończymy gospodarską naszą rozmowę, i że będg mogł sobie jeszcze zdrzemnąć dla dokończenia lekcji i geografii przed Wikarskim, ale widzę, moja zona coś nie myśli wychodzić z pokoju...

— Nie pytasz mię o drugą nowinę, co?—kontynujo rozmowę patrząc mi w oczy.

— I owszem, jestem niezmiernie ciekawy... Słucham.

— Uważałeś jak Linka teraz jakoś... wcale inaczej wygląda... weselsza: prawda?

— Prawda...

— A jak ci się tóż zdaje, dlaczego to?

— Dalibóg że nie wiem.

— Bo ty nigdy na nią nie patrzysz, Auguście... Wstydź się, przecież to moja siostra...

— Jak ciebie kocham, tak patrzę, zawsze patrzę, że wyładniała. Tylko, moja droga, czego wy mi tak często tego Franciszka odrywacie od roboty i każecie jeździć do miasta? Chłop mi się tak zbałamucił, że żadnej z niego niema usługi. Powóz stoi zablocony już od tygodnia, a co ja chcę napędzić żeby zaprowadził do stawu i wymył, to on mówi że jedzie po sprawunki dla was... Kazałybyście sobie raz sprowadzić furę tych gałganków i tej waty...

— Ke, złośliwy jesteś!—przerywa mi z wyrzutem Lucynka.—Biedna dziewczynina i tak już nieszczęśliwa.

ucalować i znów usadzić na poprzednim miejscu, nim zadarty jej koniec noska wrócił na właściwe miejsce, a w oczach zabłysnął wesoły uśmiech...

— "Więc mówisz, dają ci czterdzieści dwa, dalibóg dobrze dają; bierz, nie targuj się... a jutro posłać Kwapiszewską do Sobunia, niech kupi tę parę chudźców..."

— Jaki z ciebie filut, mój Augustcie — rzecze grożąc mi figlarnie i pokręcając główką. — Teraz jak widzi że źle zrobił, o udaje że go zajmuje rozmowa: pamiętaj... A jednał, mój kochany — mówi po chwili — porachuj, ile ja ci już dałam z mego gospodarstwa w tym roku?

— No, wiem, sto siedmdziesiąt osiem rubli...

— Przepraszam, bo sto ośmdziesiąt siedem...

— Niech będzie tyle...

— Za pozwoleniem, nie chcę żadnych niech będzie... weź i porachuj, ja ci tu cały wypisałam rachunek. Jakkolwiek bardzo mi się nie chciało sprawdzać w tej chwili rachunków, jednak musiałem przejść wszystkie pozycje, później te dodać, a w końcu przyznać żem winien gotówką sto ośmdziesiąt siedm rubli. "Wprawdzie gdybyśmy obliczyli, co te karmniki zjadły mojego zboża i kartofli, ile zajęły rąk do usługi, którą ja płaciłem — zapewne rezultat ten nie byłby tak Świetnym, ale trudno było występować teraz z podobnymi monitami — przyznałem więc bezwarunkowo, że moja Lucynka jest gospodynią nad gospodyniami, że umie korzystnie pracować, i że te pieniądze świecie jej oddam — jak będzie potrzebowała na futuro..."

— No, no, ja wiem, że ich nie zobaczę — odezwała

— Czy oni powaryowali, czy co!

— Dlaczego mieli waryować, kochają się i chcą się żenić: cóż tak straszego?

— Ale ja na to nigdy się nie zgodzę!

— Ciekawam dlaczego?

— Dlaczego? Dlatego, że się nic zgodzę i kwita! Cóito, mam się tłumaczyć przed nim, że tak chcę a nie inaczej. Uważam to za głupstwo, za nonsens...

— A proszę cię — odzywa się na to zona spoglądając na mnie z powagą — jakie ty masz prawo niepozwalać? Czy ty jesteś jej ojciec?

— Jestem opiekunem i nie pozwolę! — mówię już z irytacją, rzucając fajkę na ziemię.

— Augustcie, proszę cię, nie rozrzucaj się tak bardzo... Moja siostra nie jest na twojej łasce i nie dziecko... Ma prawo pójść za tego, kto jej się podoba, a jeżeli ja, siostra rodzona nic mam nic przeciw temu, to cóż ty? No, no... nie spodziewałam się!

— Ależ ona taka młoda, wątła?...

— Jednakże skończyła lat ośmnaście... i kocha go!

— Dyabła tam można kochać taką starą piwonię... proszę ja, do czego on podobny, ten głupi Maciej!... Nogi stracił... głowa łysieje... śmieje się tylko jak najęty... Zkąd jemu przyszło do tego, zkąd?... No, no, prędzejbym się śmierci spodziewał!... Bo to, proszę cię, i hołysz — żadnego stałego miejsca, ot, poptostu z litości dałem mu robotę u siebie.

— Przecież ona ma posąg i będą mogli sobie radzić. Ja cię tylko proszę, Augustcie — mówi z powagą wychodząc z pokoju — żebyś go przyjął dobrze i nie dzi

że sierota i że jej Pan Bóg nie dał urody, a ty jeszcze nic wyśmiewasz...

— Ale gdzież ja się tam wyśmiewam... Przeciwnie, ja nie widzę żeby ona była brzydką, tylko czesze się tak po cudacku... Na co jej ten kok piętrowy?...

— Ej, mój kochany, na tem się nie znasz i daj pokój modom; teraz wszyscy tak noszą i dobrze jest...

— Gdzie tam dobrze... brzydko...

— No, no, tobie się tak zdaje, a jednak są tacy, którym się to podoba; uważałeś, pan Maciej...

— Dajże ty jemu święty pokój—zawołam śmiejąc się szczerze.—Kto, Maciej, ten safandula?...

— Ten, ten Maciej, jak go nazywasz safandula, jest zakochany w Linci... F powiem ci jeszcze, że nawet Lineis, tego... uie jest przeciw niemu. Wy mężczyźni, zawsze myślicie tylko o wielkich sprawach, i nic koło siebie nie widzicie, ale przed okiem kobiety nic się nie ukryje... Otoż to druga nowina, z której ja bardzo się cieszę. Maciej co prawda nie jest żadną partyą, ale człowiek uczciwy, dobry... porządny...

Przyznam, że mię ta wiadomość zirytowała do żywego tak, że i spać mi się odechciało. Jedno i drugie, do niczego; on już chłop po czterdziestu, ona jak powiedziałem schorowana, kwękająca, i komu to myśleć o miłości? Dlatego mówie żonie, że nie wierzę, że to tylko jej przywidzenia, zwyczajnie jak u kobiety, która bez nowości jednego dnia przeżyć nie potrafi

— Co ty mi będziesz perorował — odzywa się z uśmiechem politowania Lucynka—pomiędzy nimi już wszystko skończone, i ja właśnie chciałam cię uprzedzić, że pan Maciej zaraz tu przyjdzie prosić cię o jej rękę...

— u —

waczył... On prawda nie jest młody, ale człowiek stateczny.

— Fujara, mówie, ci, fujara całą, gębą!—krzyknę nic mogąc się powstrzymać.

— I woię—prawi dalej Lucynka, udając, zenie słyszy mego wykrzyknika — że pójdzie za niego, anizeliby miała zostać starą panną. A że go kocha, to będzie z nim szczęśliwa... Auguście pamiętaj, że ja sobie życzę...

A życz sobie, życz — myślę po jej odejściu, cały tym wypadkiem zirytowany — a ja taki nie pozwolę... jakem August, tak nie pozwolę!... Ledwie że rok temu odebrawszy jej posag uregulowałem trochę interesa i myślałem że z parę lat będę miał spokój, a tu ci, panie dobrodzieju, łup! Oddaj posag, daj wyprawę, bo im się podobało zakochać w sobie...

Co to będzie za mąż dla niej?—jedno chore i drugie chore... on za parę lat już będzie starzec... ona dostanie suchot... niezawodnie dostanie — i jaka to przyszłość?... Jak Boga kocham, sumieniabym nie miał przykładając rękę do tego małżeństwa... Biorąc rzecz z najlepszej strony, choćby zaraz i nic dało się posagu, to będą chcieli ze dwa tysiące rubli na wyprawę... Mojej żonie to tylko w to graj... aby tylko mogła jeździć do Warszawy i te gałganki skupować, to gotowaby dyabłów pożenić. Co te kobiety tak lubią te sprawunki? Dla siebie czy nie dla siebie, nic tylkoby kupowały... Cały sklep im tu zwieź, to jeszcze mało... Zaręczam, że ta wyprawa i przyszła rozkosz targowania się z żydami skłoniła ją że się zgodziła... Dalibóg, szkoda dziewczyny dla takiego wyniszczonego grata... To mi jednak zabija sęka jak się uprą. he?... Towarzystwu należy się już druga rata...

owiecby trzeba dokupić ze dwieście, bo szkoda paszy, że jej niema kim spaść i dlatego muszę sprzedawać siano... No i nawozu byłoby drugie tyle... .Iuż sobie uplanowałem, że jak tylko sprzedam pszenicę, to jadę na Podlasie po owce... A tu ci, panie dobrodzieju, bach, masz owce, daj panie Auguście posag... Żebym był duchem świętym przewidział, że tej Lince tak prędko miłość zakręci głowę, nic byłbym splancał Weingriina; bestya żyd brał ośm naście procentów, to prawda, aleby był czekał!...

I spać mi się odechciało i poczułem nawet ciśnienie jakies w żołądku, bo wypilem trzy szklanki wody, chodziłem więc jak waryat po kancelaryi, a swoją drogą nie mogłem się jeszcze uspokoić. O niego mi nio chodziło, bo cóż on miał do stracenia?—chciał sobie na starość znaleźć wygodny kącik aby siedzieć na łasce żony... Ale tej biednej Linki okropnie mi żal; bo to nie tęgie wprawdzie ale dobre, czułe, kochające i jak pozna bliżej jMacieja, to będzie najnieszczęśliwsza w świecie kobieta... A zawsze to przecię siostra rodzona mojej żony. I matka umierając zaklinała mie, abym się opiekował siostrą...

Nie, nie, sumieniabym nio miał — zawołałem sam do siebie — jak Boga kocham byłbym bałwanom a nie uczciwym człowiekiem, żebym zaniedbał wszelkich sposobów dla przeszkodzenia temu wszystkiemu. Mogą mię posądzać że jestem interesowany — niech posądzają, nawet iona niech tak myśli, a ja swoje zrobię, jak powinien zrobić człowiek

pojmujący sumiennie obowiązki... Cóż tam o posag! — oddałby się i kwita... jak trzeba, człowiek wszystko zrobi z siebie, przepłaci

— u —

— Na seryo; cóż w tem dziwnego?

— A, dalibóg, tego już zanadto!—krzyknę łapiąc go z tyłu za ręce i pchając ku wielkiemu zwierciadłu, które stało w kącie mojej kancelaryi. —No, spojrzij na siebie, spojrzij!...

— Patrzę, i widzę siebie.

— Widzisz... to dobrze; powiedz mi więc do czegoś ty podobny? Gdzież tobie staremu, wykrygowanemu gratowi żenić się!.. Patrzaj, łeb siwy, choć tę resztkę włosów wysmarował fiksatuarein — a jaki twój nos?... haczyk czerwony, jakiś dziób koguci...

— Cha, cha, cha! — parsknął śmiechem mój Maciuś i zaczął sobie zatykać usta, zaczął trzepać rękami piejąc—żem odskoczył od niego, pewny będąc że dostał spazmów.

Ja chodzę po pokoju zły jak sto dyabłów, a on się śmieje i śmieje; czekam kilka minut, żeby przestał i żeby z uim po ludzku pogadać, a on co obetrze oczy chustką, to znowu się śmieje...

— No, przestańże już—mówie.

— Dziób kuguci!... Wyborny jesteś Auguście... Cha, cha, cha... paradny jesteś... niechże cię kaczki zdepczą!—I znowu cha, cha, cha... i cha, cha, cha... bez końca.

— Powiedz mi, na co tobie żony? — odzywam się, kiedy już trochę się uspokoił. — Toż ty sam ledwie nogami włóczysz...

Lecz co ja powiem jakie słowo, on znowu się śmieje, a we mnie już wszystko się trzęsie ze złości...

— Śiniejże się, śmieję, ty stare dziecko! — krzyknę wychodząc do drugiego pokoju.—Ja nie mogę na to się patrzeć.

grubo a da—dług to rzecz święta... Ale małżeństwo to swoją drogą, że nic dobrane będzie, to niedobrane:

Otoż wśród takich medytowań, przyznacie czytelnicy, bardzo racjonalnych, wszedł mój Pręciński do kancelaryi. Jak on wyglądał, to już wiecie, teraz mogę to tylko dodać, że jeszcze się wystroił do innej w nowy tuzurek, który tak na nim leżał, jak żałobna kapa na chudym koniu z karawanu, jakiś kołnierzyk dziecinny przypiął sobie pod szyją z szafirową kokardą, kamizelkę wziął aksamitną ze złoconymi bombelkami; osioł, kto teraz nosi takie odwieczne, z czasów Kazimierza Wielkiego, guziki? A tak &ię wy perfumował apteczną kolońską wodą, lakierkami znowu tak skrzypiał, że dalibóg, gdyby to nie mój kolega szkolny, a ja nie tyle cierpliwy jak jestem, to choć to w moim domu, byłbym go wyprosił za drzwi. Trzeba jeszcze znać go tak jak ja go znałem, że to głowa pusta, puściejsza niż głowa kapusty, a za każdym słowem będzie się wam śmiał i śmiał i zatykał sobie usta ręką, i w tem śmianiu piał jak gdacząca kura i trzepał drugą ręką, kiedy z jego oczu aż lzy kapią ze śmiechu.

Jak tylko Pręciński wszedł, proszę państwa, tak ja choć, dalibóg, nikt mię o raptusostwo nie posądzi, mówie do niego:

— Słuchaj no, Maciek, czyś ty zwaryował?

— Albo co? — pyta, stojąc naprzeciw mnie i już zabierając się do śmiania.

— Podobno chcesz się żenić z siostrą mojej żony, czy to prawda?

— Prawda—mówi z całą beczelnością—i właśnie przyszedłem do ciebie prosić o jej rękę...

— Xa seryo to mówisz?

Przymknąłem drzwi i chodzę po jadalnym pokoju, a gdy słyszę, że w kancelaryi się jakoś uciszyło — wraeam. I jakże zastaję mojego konkurenta? Siedzi najpoważniej przy stoliku i przewraca album z fotografiami.

— Wyśmiałeś się już?

— Wyśmiałem, tylko bój się Boga, nie mów takich dowcipów, bo już boki mię bolą... Zkąd ci przyszedł do głowy ten kogut?...

— Ztąd — odpowiadam szorstko — zkąd i miłość tobie... Doprawdy, Maciusiu, wstyd mię za ciebie... W twoich latach, z takimi nogami...

— Eh, mój kochany—przerwie mi żywiej—zdarza się, że ludzie nawet o kulach chodzą a jeszcze się żenią.

— Może i tacy, co głów nie mają?

— I to bywa; daj mi Boże tyle szczęścia, ilu ja znam mężów bez głowy — odpowiada patrząc się na mnie ironicznie. Zresztą czego ty się rzucasz, czy z tobą się chcę żenić czy co? Kocham pannę Michalinę...

— Nieprawda...

— Więc myślisz że udaję.., Nie, mój kochany, mylisz się; nigdy nie skłamałem w życiu i teraz nie skłamię. Ona również mię kocha...

— Eh... dajmy pokój tej miłości! (Idzie takie z pozwoleniem chuchro może co czuć! Wierz mi, ja ją znam bardzo dobrze; tam dusza śpi, jak Boga kocham, śpi powinięta w koki, migreny, iluksye, pudry... Jaka a niej będzie zona dla ciebie, Macieju, zastanów się?... Wielka pani, spałaby do dwunastej... wszystko ją mę

cay, nawet wstając z łóżka, powiada że już jest zmęczona...

— Cóż chcesz, mój drogi — odzywa się, na to — kiedy ja właśnie takie lubię, i moja nieboszczka zona kubek w kubek taka sama była.

— No, to już nie rozumiem, dalibóg głupieję, co ci się w niej mogło podobać!... to suchotnica — szepczę mu ciszej — doktor mi mówił, że parę lat nie pociągnie...

Wytrzeszczył na mnie oczy i widzę ta wiadomość zrobiła na nim pewną sensację. Myślę sobie, że trafiłem mu, bo jakoś stoi, stoi, kręcąc bregietowskim kluczykiem, a ja żeby dolać jeszcze więcej oliwy do ognia i stanowczo go zdecydować przeciw, dodaję znowu szeptem:

— Bo to i ułomna, pioszę cię, Maciusiu; widzisz, tak jak wyjdzie ubrana, jak jej tam plecy wysznurują, zdaje ci się, że coś, prawda? Ale to wszystko sztuczki toalety...

On ciągle jeszcze milczy, a bregietowbki kluczyk obracany w jego palcach, tylko mu trzeszczy coraz prędzej, a głowę zwiesił tak, że ten czerwony dziób jego, nosem zwany, prawie dotyka brody. Dobrze, myślę sobie, kujmy żelazo póki gorące.

— A korki u trzewików to na trzy cale, i jeszcze drugie w środek wkłada... tak, tak; popsuła sobie nogi zupełnie, jak Boga kocham, często chodzi na palcach... jakby na szrudłach; uważasz?

— Uważam—bąknie wciąż zamyślony.

— No więc—peroruję dalej, pewny żem go zupełnie zniechęcił — jeżeli wiedząc to wszystko, bo uważasz, jako szkolnemu koledze i przyjacielowi wypadło mi

JS —

— A niechże oi§J jakiś ty ograniczony!—krzyknę zirytowany do żywego, a czując, że mię już zwyczajna cierpliwość opuszcza, trzasnąłem drzwiami i wybiegłem na dziedziniec.

Jak raz chodziła koo klombu Michalinka i chodziła bardzo wesoło zrywając kwiaty. Słyszę zdaleka śpiewa sobie nawet. „Chociaż to życie idzie jak po grudzie...”

— Co chodzi po grudzie? głupstwa, panie dobrodzieju — mówię do siebie... — Jaka mi rozkoszna, jaka szczęśliwa! Jest czego, jest! Złapała starego trutnia, którego by nikt inny nie chciał... No, no... nawet podskakuje sobie panienska... A

czego u licha zrywa te kwiaty?... Cóż ona sobie myśli, że to ziele jakie polne... tak, tak... całymi garściami... najlepiej z korzeniem powyrwać, inościa panno!...

Dalibóg żeby to na koga innego trafiło, nie na mnie człowieka cierpliwego, toby poszedł i na wymyślał... Ale to zaraz zonaby mię opadła: „jesteś niegrzeczny, jesteś raptus... nic, tylko wmówili we mnie, że ja raptus... Miły Boże, jeżeli ja raptus, jeżeli ja prędki, to chyba w żyłach wszystkich ludzi owsiane piwo płynie a nie krew, panie dobrodzieju!...

Powiem jakie słowo trochę żywiej... spojrzę dobitniej... zaraz: mój Guciu, tylko się też nie unoś!... Cóż oni chcą, żebym był jak ślimak w skorupie, czy co? Przecież żyję jeszcze, chwała Bogu...

— Auguście, Auguście!—woła na mnie Lincia— proszę cię, pójdźno, zobacz, jakie to pyszne te astry karłowe.

— Bardzo pyszne... — mówię nachylając się nad grządką.

otwarcie tę rzecz powiedzieć, chcesz się z nią żenić, to siężeń!

— Wdzięczny ci jestem — odpowiada uradowany ściskając mi rękę — nie uwierzysz, jak ci jestem wdzięczny...

— A widzisz, widzisz, Maciusiu, jakto zawsze dobrze jest posłuchać rady starszego przyjaciela! Wobec sideł kobiecych, jakie na nas biednych mężczyzn one wszędzie zastawiają, doświadczenie coś znaczy...

— Bardzo ci dziękuję, serdecznie, gorąco dziękuję—mówi, rzucając mi się na szyję, Maciuś.

Wycalowałem go okrutnie na wsze strony, kontent, że mi się tak łatwo sprawa udała, bo dalipan, spodziewałem się większego uporu. Ci geometry, to uparty naród, wychowany na matematyce, która bez sprawdzania cyrklem niczemu i nikomu nie wierzy.

— No, więc finita komedia?—mówie.

— Finita— odpowiada z zamiarem śmiania się ze swej miłości.

— No i wyjedziesz na jakiś czas od nas... Proszę cię, nie myśl, że ja cię z domu wyprawiam, uie... ale tak jakoś zrywać i zostać nie wypada...

— Któż tu myśli o zrywaniu?

— Jakto kto myśli? wszak ty... No, przecież się nie żenisz?

— Ale owszem, pozwoliłeś, żenię się...

— Człowieku! — zawołał zdziwiony — albo mnie albo tobie brakuje tu jakiejś klepki... Co, ja pozwoliłem?

— Afój kochany—rzecze mi z całą bezczelnością— wszak powiedziałeś przed chwilą „chcesz, to siężeń...r ja też chcę...

A. Wilczyński. Tom XII.

— Szczególniej ten koloru sinoliliowego... patrz, ma odcień nieco buraczkowy...

— O, bardzo ładny, niby kolor nosa Maciusia...

— Co też ty mówisz? — odpowiada patrząc się uśmiechnięta w moje oczy — pan Maciej ma tak świeżą cere w twarzy, taki prawdziwie czerstwy, męzki kolor...

— I on ci się, Linciu, naprawdę podoba?

— Jak ciebie kocham, naprawdę—odpowiada mi z taką śmiałością, jakbym ją pytał nie o kochanka, ale naprzykład o konia lub krowę...

— No—pomyślałem sobie z goryczą—teraźniejszy świat już bez czci i wstydu, jak Boga kocham, bez żadnego wstydu. Pamiętam, siostra moja Julka, to przecież już była sobie pannica jak szła za męża, bo miała dwadzieścia i pięć lat, a przy wzmiance o narzeczonym, to, panic, karmazyn robił się z jej twarzy, a to chuchro, biedota, ledwie że ośmnaście lat skończyło, i tak ci patrzy śmiało w oczy...

— I powiedz mi—mówie już do niej na zimno— co ci się tak w nim podobało?...

— Wszystko: charakter...

— Przynajmniej nie w nogach — przerwę jej złośliwie—bo widzisz, że suwa jak starzec.

— Biedny, cóż on temu winien, że musiał pracować ciężko przy pomiarach i stracił nogi... Przyznasz Augustynie, że to gorzki kawałek chleba ten zarobek geometrów... Powiedziałam mu też, że nie pozwolę mu tyle chodzić, żg musi sobie odpuczać, że pojedziemy do Trenczyna...

— Ho, ho, ho! tak daleko jużście zajechali w projektach, aż na Węgry... I kiedyżto mieliście ty

Ie czasu na owe pogawędki, bo ja widziałem, że on nigdy nic nie mówi, a tylko się śmieje.

— Prawda, zauważyłeś i ty, że on taki wesoły?... Bardzo lubię wesołych ludzi... Ja sama jestem bardzo desperackiego usposobienia... a jak on przyjdzie, to muszę się śmiać i śmiać bez końca... te ma dykteryjek do opowiadania...

— Jak każdy stary kawaler — mówię obojętnie. Swego konceptu już brakuje, trzeba się zatem uciec do starych anegdotek z kalendarza.

— A ja pasyaini lubię takie rzeczy! i zawsze marzyłam o mężu takim, żeby był dowcipny...

— Żeby był wiedział wprzód o twym guście — rzeknę na to—byłbym ei nakpił tyle starych kalendarzy, nawet Momusa Żółkowskiego, i byłabyś się naśmiała nie potrzebując iść za starego i łysego kawa* łcra...

— I toby się na nic nic zdało; właśnie ja przepadam za starszymi mężczyznami. Przyznasz sam, ta dzisiejsza młodzież jest okropnie nudna. Nic, tylko im się zdaje że są przystojni, i chcą pozować na Apollinów z Belwederu, a we mnie to wstręt wzbudza ta bezmyślna lalkowatość... Taki znów poważniejszy człowiek jak Maciej, to co innego...

— I powiedz mi, Linko, tak otwarcie, z kąd tobie przychodzą takie myśli, gdzie ty sobie wyrobiłaś taką opinię o mężczyznach?

— Chcesz prawdy, Augustynie?

— No, ma się rozumieć...

— Oto—mówi, spuszczać trochę oczy—patrzac na ciebie i twoje z Lucynką pożycie, powiedziałam sobie: taki jak August, albo żaden.

— Więc on ma być do mnie podobny?

— No, uważasz, tak zupełnie nie, bo takich Augustów nie ma więcej na świecie; ale jest coś, coś... z takim sercem, z taką dobrocią i szlachetnością... Mój kochany, nie obrażaj się, że jego śmiem porównywać...— kończy, kładąc moją rękę na swój dłoni, a drugą posuwając po wierzchu —bo ty jesteś dla mnie zawsze ideałem mężczyzny... a on to już sobie tylko ideał, ale bardzo przyjemny... i podoba mi się...

No, moi państwo powiedzcie, co tu było odpowiedzieć na tego rodzaju argument... Niejestem człowiekiem próżnym, nie, broń Boże, i wiem sam co jestem wart; więc nie dlatego, żeby mię pochlebstwo jakie miało ująć, ale że ta szczerłość dziewczyny, z jaką patrzyła mi w oczy, musiała mię rozczulić, bo nie pamiętam już, jak i kiedy podniosłem tę delikatną rączkę do ust i rzekłem z całego serca:

— Ha! to niech wam Bóg szczęści kiedy tak... Żałowałem potem, o, gorzko żałowałem, że mi się takie życzenie wyrwało, ale cóż było robić; tamten mię złapał za słowo, ti swawolnica umiała podejść; słowo się rzekło, kobyła u płotu, a ty, panie Augustynie, susz sobie teraz głowę, z kąd tu dostać pieniędzy choćby już na wyprawę. Nie pamiętam, czy mówiłem czytelnikom, że to była niedziela. Jeżeli nic, to proszę pamiętać, że oni już nim wiedzieli o mojem pozwoleniu, kazali sobie poświęcić pierścionki na sumie, a moja Lucynka zaprosiła nawet paoboszcza na wieczór, żeby im pobłogosławił.

Ten nasz proboszcz ksiądz Józefat, to również jest sobie nie taki ksiądz jak dzisiejsi, o, nie, w rękawiczkach

nie chodzi i nie mówi per dominum pstrum, aJe porządnie, po staremu, wyśpiewa wszystko wolno jak się należy, tak, że ja czytając modlitwę przy mszy świętej, a on odprawiając tę mszę, jesteście zawsze razem. Co innego ten miody

dziekan z Gruszkowa; ile razy jedziemy do siostry i jesteśmy tam na nabożeństwie, to ja z tej samej książki księdza arcybiskupa Dunina czytając modlitwy, ledwie jestem na ewangelii, a on już mówi saucius, sanctus, sanctas i chłopaki dzwonią dziewięć razy, i ja się muszę śpieszyć, żeby nie dosiadywać potem w kościele, i czekać aż dziadek kapką na kiju świece pogasi.

Nasz ksiądz Józefat ma już lat osmdziesiąt i dwa, pamięta jeszcze Napoleona, i nieraz mi opowiadał, jak sobie w osmsset dziewiątym stał na Miodowej ulicy koło Kochanowskich kamienicy, a on „chudziaczek,” Im tj)k cesarza nazywał, jechał na siwym koniku w sznraczkowej kapocie, w przekreślonym kapeluszu, niby jaki podoficer żandarmski, kiedy sobie chce przydać fantazyi... Dwa lata jakieś już obchodzili jego pięćdziesięcioletni jubileusz kapłański, ma się rozumieć, księdza Józefat a, nie tego chudziaka z wyspy Korsyki—a mimo to, mój staruszek jeszczeby geometrę Maciusia przeskoczył; daję słowo, tak szedł zamasyżycie nie suwając nogami, najczęściej z gołą głową, bo tylko na wielki mróz przywdziewał! pijuskę z uszami, których nigdy, pomimo, że miał do tych uszów przyszyte tasiemki pod brodą, nie zawiązywał.

Włosów to tam nie wiele było na głowie, a ta resztką z tyłu, niby grzywka, jak to teraz panienki na czole noszą — bieleła mu się z daleka przy rumianej, i czerstwej jeszcze twarzy, która, szczególnie zaś sa

jąc naprzód wielką laską, a u ganku tupie z hałasem, otrzepać huty z błota.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!... — mówił przestępując próg kancelaryi. — Cóż tam nowego dał Pan Jezus na świecie?... aby tylko!...

I jak tylko dostrzegł Gazetę Warszawską, już się nie witał ze mną, tylko jeden numer pod pachę, drugi w obie ręce, i siadał na kanapce między dwoma oknami, i dudnił sobie powoli na głos z całą zawziętością polityka, który nawet inseratom nie daje pardonu.

Częstokroć w lecie, podczas dnia gorącego, zasnął staruszek zasłonięty gazetą, wtedy wysuwałem się cichutko z kancelaryi i cieszyłem się z zakłopotania proboszcza po przebudzeniu, utrzymywał bowiem, że wcale nie spał, ale tylko przymrużył oczy dla odpoczynku.

Niezmiernie żałował że nie umie po francuzku, i nie moie czytać Debatów.

— Panie kolatorze dobrodzieju, to musi być bardzo ciekawa gazeta? Arkusz taki duży i drobno zadrukowany, a ci Francuzi to tegi lud. W dwunastym roku, kiedy byłem wikaryuszeni w Okuniowie, postawili dwóch starszych na kwaterę... Co teżto było, proszę asana kolatora, za wesołe biedactwo... Przez pierwsze dwa dni tośmy się nic nie rozumieli ani w ząb; a jeden taki sobie przysadkowaty z czaruemi włosami, mości dobrodzieju, figlarz... z oczu mu patrzyło, że figlarz. Jak chciał mleka, to sobie kładł palec do ust i ssał jak małe dziecko, a ja zaraz zrozumiałem. Chudziactwo to było zmęczone, niech Pan Jezus zaehowa i broni, i żeby byli tak dłużej stali, tobym się był jak nic wyuczył po francuzku... Już zarywałem troche, jak pana kolatora dobrodzieja szanuję, troche na migi, troche tego...

ma czaszka świeciła się na słońcu, jakby ją kto wypolerował.

Ksiądz Józefat, od kiedy go zapamiętam, na święto, chodził zawsze w jednej i tej samej bardzo poplamionej sutannie zimą i latem; granatowy płaszcz z długą peleryną, tudzież straszliwie wysoką kontederatkę z czarnym barankiem kładł tylko jak jechał w zimie na odpust, albo do miasta za kupnem wina. Tak zwyczajnie, to szedł w samej sutannie z ogromną laską w ięku, którą jednocześnie trzymał niebieską w białe kropki chustkę od nosa, druga albowiem ręka przeznaczoną była na niesienie tabakierki z ciecnozieloną tabaką, zaprawianą fiołkowym korzeniem. Tabakierka ta miała, prócz tabaki jeszcze inne bardzo ważne dla niego przeznaczenie; tam bowiem wkładał małe papierki na znak, żeby nie zapomniął coś zrobić, albo coś komuś powiedzieć. To nic, proszę puństwa, jak tam był jeden albo dwa papierki; o znaczeniu ich pamiętał, ale jak wypadkiem znalazło się więcej, lub tych które były wygadane, nie wyrzucił—robiła się straszna bieda i lament.

— Co u kaduka—mówił medytując nad temi papierkami—człowiek się już starzeje, czy co? Ja muszę dojść o co to chodzi!

Jeżeli więc przypomniał sobie — radość była niezwykła; a jeżeli nie, wyjmował wprawdzie papierki z tabaki, ale jako rzecz nie załatwioną zawijał w większy papier, i chował do kieszonki od kamizelki.

Co drugi dzień po obiedzie, jak tylko ksiądz pleban zobaczył, że mój Franciszek kłusuje z miasta i wiezie gazety, ksiądz Józefat już drepcze do dworu stuka

— fi —

to stanowiły kamienie polne, obficie na Podlasiu po gruntach rozrzucone, które proboszcz własnoręcznie przy każdej orce wybierał i składał na gromady. Otoż i Bochowi sąsiadującemu z łanem plebańskim podobała się ta manipulacja z tą tylko różnicą, że nie zbierał tych kamieni na gromady, ale je bez ceremonii przerzucał na pole proboszcza.

Co stary rano zajrzy do swego łanu, patrzy, kamienie są, choć je wczoraj co do jednego w polach sutanny powynosił; zbiera więc kiwając głową i transportuje na gromadę, ale gdy to już kilka razy zaczęło się powtarzać, ksiądz Józefat urządził tajemny nadzór, i pilnował zaczajony w ogrodzie, kto mu też tę psotę wyrządza. Nareszcie jednego poranku, kiedy jeszcze dobrze było ciemno, widzi jak Boch chyłkiem, chyłkiem po pod płoty ogrodów biegnie na pole, i co napotka jaki kamień, to rzuci go na stronę proboszcza.

— A poczekajże bratku—myśli sobie, jak mi opowiadał, starowina—ja ci za to zapłacę. I również pocichutku, mości dobrodzieju, za nim. Oo on mi przerzuci jeden kamień, ja mu na to miejsce trzy. Boch się nie ogląda i idzie miedzą dalej, ja to samo robię, aż gdyśmy przyszedli do końca i on odwróciwszy się nagle, zobaczył, że mu odrzucam to wszystko, tak ci zgłupiał.

— A cóż to jegomość dobrodziej robi najlepszego?—pyta mię zastraszony.

— Podług ewangelii świętej, bratku, oddaję z procentem, oddaję, mości Bochu... Ja nie chcę niczyjej krzywdy, nie chcę mieć cudzych kamieni na sumieniu...

Próbował on jeszcze parę razy tej sztuki, ale za każdym razem zastał proboszcza gotowego płacić kapitał i lichwiarskimi procentami, i jakoś dał sobie pokój.

— b —

No, jakże tam ten Thiers, he, da on sobie z nimi radę, co? Bo to, panie kolatorze, bardzo niespokojny naród; mojemu, to cały dzień Boży gęba się nie zamykała, a wszystko tak krótko rum, bum, trum... I jadł fasolkę z octem, jakąś sałatkę; rzeżuchę i inne zieleniactwa; a jak mu panna Karolina dała barszczu z kiełbasą, to zakręcił ci nosem i mówi: se bet potai... Ja też miarkuję, kiedy ten młody Napoleon nie mógł sobie z nimi dać rady, to cóż tam pomoże taki Thiers, który słyszę, był nauczycielem w szkółce... chyba, że mości dobrodzieju, weźmie się do rózeczki...

Musiałem więc staremu tłumaczyć niektóre mowy w parlamencie, a on jak tylko znalazł coś podług siebie godniejszego do powtórzenia siostrze, pannie Karolinie, obdzierał koniuszek gazety i kładł go do tabakierki.

Z parafianami swymi zawsze był w wielkiej zgodzie, prócz jednego gospodarza nazwiskiem Boch. Chłop ten już nie młody i wdowiec, ogromnie skąpy i cheiwy, mieszkał ze swoim synem, także już nie młodym i bezdzietnym w jednej chałupie, a grunta jogo w każdym polu dotykały łanu proboszczowskiego. Ze skąpstwa stary Boch się nie żenił, i synowi ożenić się nio dał; obadwaj chodzili zawsze obdarci, brudni, skuleni, wychudzeni, jak żebraki jakie, bo to niebyło komu ich oprać ani strawy ugotować, choć wszyscy wiedzieli że stary Boch ma grube pieniądze.

Od siostry swej Karoliny, a ta znów od dziewczyn służących w plebanii, wiedział dobrze ksiądz Józefat o wszystkim, co się dzieje w chacie Bocha, i nieraz z ambony wytykał mu jego skąpstwo; od kilku zaś lat już stary Boch nawet do spowiedzi nie chodził, i dya. błu duszę zaprzedał. Ale główny powód do nienawiści,

być!... Painiętajże mi więc, żebyś ją, mości dobrodzieju, szanował, tego... bo to widzisz chudziutko, delikatne jak kurczę, a dobre, oj dobre, jak nieboszczka jej matka, choć ładniejsza była za młodu od córki... Ale nie wszystkim Pan Bóg jedną daje urodę; co tam, głupstwo, na starość wszystkie twarze jednakowe, aby tylko w bojaźni Bożej i w miłości

serdecznej... to jakoś będzie... Kochajcie się więc, chudziaczki, i niech wam Pan .Tozus błogosławi, a jak przyjdzie ochrzcić, to do mnie, mości dobrodzieju, ja leję zimną wodą, żadnych u mnie ceregieli ani też ogrzewań... Ot, i pani kolatorka jaka zdrowa, jak ryba, a nie żałowałem wody... Co ma żyć, to będzie żyło na chwałę Panu Bogu... Amen. Widziałem, nie bardzo byli kontenci oboje narzeczeni z tej przemowy, bo trzeba prawdę powiedzieć, ksiądz Józefat nie odznaczał się talentem oratorskiim, a mówił co myślał, tak prosto z serca. Nazajutrz, już mój Maciej nie poszedł w pole, a tylko się muskał i perfumował i asystował Linci, niby dwudziestoletni młodzieniaszek... I rytowało mię to ciągle cmokanie jej po rękach, bo nawet nie umiał porządnie pocałować, ale tak jakoś krótkim i urywanym młaśnięciem, jakby kto wałkiem tarł siemię konopne dla kanarków. Za to kochana moja Lucynka była w wyśmienitym humorku. Obiad, którego zwykle o pierwszej nie można się było doprosić, tego dnia był punkt o dwunastej, a po obiedzie czempredzey zdjęli obrus ze stołu, przynieśli całą libkę papieru z mojej kancelaryi, kała

Od dawnych lat żyliśmy z księdzem Józefatem W przyjaźni, jak dobrze życzliwi sąsiedzi. Moja zona była jego faworytką, doskonale bowiem grała w marysza i posyłała mu zawsze parę słoików smażonej róży, którą ksiądz proboszcz pasyami lubił. Za to znów co niedziela na obiad dostawaliśmy garnuszek Haków z imbirem, aio to jakich Haków? Sekret ich przyrządzania znała tylko sama panna Karolina, i ztąd właśnie powstał antagonizm z gospodynią naszą Kwapiszewską, która nic mogła tego sekretu wydobyć od szanownej siostry proboszcza, i choć udawała że ją to nie obchodzi, to widziałem gryzła się temi flakami.

Tego dnia ksiądz .Józefat był zaproszony do nas na wieczór, włożył więc świąteczną sutannę, a chustkę miał już nie w kropki ale w kratę ponsową z czarnem.

— Dziękować J?anu liogu — mówił do mnie częstując tabaką—że to diudziactwo znalazło sobie dobrego męża.

— Troche za stary dla niej...

— Eh, co to znaczy, mości dobrodzieju, to lepiej; nio będzie zerkał na inne. da jemu powiem taką reprimendę, że on ją musi szanować.

Jakoż kiedy przy kolacyi wystąpili oboje przed starego proboszcza, a on wzięwszy z talerza pierścionki kładł im na palce, zwrócił się do mojego Macieja:

— Słuchajno, mości dobrodzieju, ty latawce jakiś— zona to, uważasz, niejaki tam głupstwo... nie żadna wietrznica, co tam z łańcuchem lata po polu... Wiem ja wiem, nie bój się kochanku, co tu ludzie jo wsi gadają... Wstydz się, mości dobrodzieju, taki stary!... Ko, no, czego się tak marszczysz?... bo to i łysina wygląda, a głupstwa w głowie., tak fiu, fiu, fircykiem się chce

cze mi Lucynka a.—Wy tylko umiecie nam robić wymówki a sam: to co?

— Co? my jak kupimy paltot czy frak, to chodzimy w nim dopóki się nie zedrze...

— Dobrze, dobrze kochanku, prawda, tylko porachujno, co ty na siebie przez rok wydajesz, a zobaczymy kto więcej?

— Dobrze, porachujmy...

— Ile cię na rok kosztują cygara i tytoń?

— "Wyborna jesteś, cóż to ma do ubrania?

— Za pozwoleniem, tylko się nie unos, z tobą to nigdy nie można spokojnie porozmawiać, ale zaraz, buru, buru.

— Ej, zdaje ci się...

— Czy my palimy, i wydajemy tyle pieniędzy na ten dym i inne głupstwa, jak wino, psy, karty, śniadanka... et cetera?

— a to et cetera było powiedziane bardzo dobitnie.

— To wydajecie...

— My wolimy na ubrania, bo to nam robi przyjemność; ale zresztą porachujno pan dobrodzieju, choćby samo ubranie; za jeden garnitur na wiosnę dałeś czterdzieści rubli.

— No, dałem.

— Za letnie ubranie z angielskiej piki trzydzieści, a doprawdy mogłeś kazać je zrobić żydowi w domu, i z nie tak drogiego materiału, ale mniejsza o to.

— Przepraszam, nie mniejsza — odzywam się żywiej—bo w skutkach zawsze tańszy materiał jest droższy... Zresztą sprawilem sobie przeszłego roku w domu, to coście mi z niego zrobili po praniu?

— A, przepraszam łaskawego pana — wtrąca

marz, trzy pióra, linię, ołówki, i zaczęła się sesja nad wyprawą.

Kwapiszewska, która przysięgała się, iż dyrygowała całą wyprawą dla hrabianki X., usiadła sobie w kąciku między piecem i kredensem i podparłszy brodę jedną ręką a drugą przebierając w pęku kluczyków przyczepionych do fartucha, tylko litościwie kiwała głową, gdy moja zona zacząwszy od bielizny, postawiła dwanaście tuzinów koszul.

— Aio co to znaczy, proszę łaski pani! — odzywa się jak z trójnoga. — Hrabianka dostała dwa razy po dwanaście tuzinów prócz panińskich, których miała trzy tuziny.

— Ależ, moja Kwapiszewska — wtrącam jako także zmuszony do tej narady—na licha jój tyle koszul? Kie dosyćto po tuzinie jednych i drugich?

— Co ty wiesz, mój Auguście — przerywa mi żona— wam się zdaje, że kobieta powinna się czćinbądź obejść.

Wybyście chcieli, żebyśmy chodziły w jednej sukni Całe lata, aż póki strzępki nic będą leciały...

— Ma się rozumieć, bo to są zbytki. Na wiosnę inna suknia, na lato inna, na jesień inna, w zimie inna; na bal inna, na herbatę inna, na pierwszą wizytę inna, a za miesiąc jakiś dyabeł napisze w Paryżu, że to niemodne i wszystko w ką. Żebyście przynajmniej zniszczyły, co kupicie i co tak drogo kosztuje? ale to ma na sobie raz, dwa, i suknia nowiućka nic uie warta... Tną, krają, przerabiają, i wszystko na śmiecio... Mówie ci, Lińciu, nic ich nie słuchaj, i nic mi nie kupuj...

— Mój kochany, idźże sobie z Panem Bogiem do swoich krów i owiec a nam tu nie przeszkadzaj...—rze

szanowany... I pani hrabina, której nioch Bóg da wieczne odpoczywanie...

— Ej, moja Kwapiszewska, daj my pokój tym genealogiom, znam ja je, znam, jak stary szeląg.

— Auguście—prześtań—mówi żona kiwając głową, i pokazując litośnie na płaczącą gospodynię... co tam...

— Bo po cóż mię tu wołacie?

— Żebyś nam radził.

— A jak radzę, to się gniewacie...

— To też trzeba radzić rozsądnie, powoli, a nie tak zaraz się unosić. Zresztą chciałam, żebyśmy obliczyli, co to może kosztować taka wyprawa, bo wypadnie ci przygotować pieniądze.

— Jakto, zaraz?

— Ma się rozumieć niedługo; oni sobie życzą, żeby ślub był za trzy miesiące.

— Cóż im tak pilnego?

— Bo czegoż mają czekać!... Więc mój Auguście, nie zwlekaj, ale postaraj się o pieniądze; część można kupić u nas w miasteczku, jak płótno, ręczniki i inne grubsze rzeczy...

— A cóż to może kosztować to wszystko?

— Ja nie wiem, ale sędzę że trzy tysiące rubli.

— Jezus Marya!—krzyknę łapiąc się za głowę— na te szmatki i szmateczki, aż trzy tysiące rubli! to straszna rzecz! A toż za te pieniądze kamienicę można kupić w mieście... Ani mowy nic może być o takiej sumie... Zkąd jabym ci wziął trzy tysiące rubli?... Myślałem tysiąc, tysiąc dwieście najwyżej, sprzedam pszenicę... a tu trzy tysiące...

obrażona Kwapiszewska—bo był bardzo dobrze uprany, sama go własną ręką prasowałam. Przecież u pani hrabiny, jak przyjechał na wakacje pan Adolf, taki elegant, co niech Bóg broni i grymaśnik z samego Paryża; a zawsze mu dogodziłam.

— No to sobie pani weź ten surducik, jeszcze wisi u mnie w szafie od tamtego bita! Wykrochmaliliście jak tekturę jaką, rękawy się zr jbiły po łokieć... w plecach ciasno...

— Bo był z nowości taki, a uprany był jak i w Paryżu nikt lepiej nie upierze. Czy to mi nowość, proszę łaski pani, prac takie rzeczy? ale materyał był gałgaftski i pokurczyło się... No, no, prędzejbym się też jak szczęścia pragnę, śmierci spodziewała, niż z ust wielmożnego pana słyszeć takie kalumnie na mój honor...

X skrzywiła twarz jakby do płaczu i zaczęła gwałtownie szukać chustki w kieszeni kryjącej się między fałdami szlafroka, której niestety nie mogła w żaden sposób odszukać... Tymczasem i tak już nieszczęśliwa sama z siebie jej twarz burakowego koloru, tak dziwne wyrabiała grymasy, a usta wyginały się w formalną podkowę, że choć zły byłam trochę, to nic mogłem wstrzymać się od śmiechu.

— Tak, dobrze wielmożnemu panu się śmiać, bo pan jest panem, a mnie nieszczęśliwej słudze, to krwią się serce zalewa. I ja też, proszę łaski pani — mówi, zwracając się do żony, zawsze jeszcze plądrując ręką między fałdami dla odszukania owej kieszeni — nic jestem taka sobie prosta kobieta jak inne... rodzice moi mieli wieś, a nieboszczyk Kwapiszewski, jak szczęścia pragnę, choć tylko był strażnikiem od tabaki, to był

zeli mię ty, kochany Guciu, nie wspoinożesz, to słowo honoru ci daję, zwaryuję...

— Ależ ja nie mam.

— Głupstwo, tysiąc rubli najwyżej... już razem z tem, co mi się będzie należeć za pomiar... Muszę przecież oporządzić się, no i meble jakieś i to, i owo...

— Daję ci słowo honoru, nie mam!

— Eh, żartuj sobie zdrów, bracie, ty dziedzic dóbr takich...

— Powiadam ci, że nie mam i tysiąca złotych!

— No, no, no... ja was znam, obywatele, dziedzice, wy wszyscy nigdy nie macie — mówi, klepiąc mię po plecach i całując w ramię—a dla mnie jednak wyjątkowo musisz to zrobić.

Tłumaczę mu, przekładam i rachuję, że Linci trzeba się postarać na wyprawę o pieniądze, że jeszcze zboża nie sprzedałem, że podatki, Towarzystwo kredytowe... a on swoją drogą:

— Eh, faceeye, bratku, stare rzeczy... Dasz, dasz, ja cię znam...

— Jak Boga kocham — wołam wrywając z pod jego ręki swoją—tak nie dam!

— Ale dasz, jak cię kocham, dasz...

No proszę, powiedzieć, czy to wszystko nie może człowieka doprowadzić do pasy! Zona powiada dasz, ten swoją drogą powiada dasz, i wszyscy dasz i dasz, a jak ja się zaklinam i przysięgam, że nie mam, to tamta szydzi ze mnie, a ten się śmieje w żywe oczy... No i przekonaj że tu kogo że nie mam, i rób z niemi co chcesz.

Po godzinie wracam do pokoju—moje kobiety siedzą tak samo przy stole i rachują. Patrzą, powywleka

— Siadźże sam i posłuchaj — mówi Lucynka — porachujemy a zobaczysz...

— Co ja mam słuchać i siadać, ja tylko wiem, że nie mam i nie mogę mieć takiej sumy, a choćbym miał, tobym nie dał.

— Auguście, przecież to nie twoje...

— Cóż z tego, że nie moje, ale ja nie mogę znieść takiego marnotrawstwa... Zresztą róbcie sobie co chcecie, tylko zapowiadam z góry, że trzech tysięcy nie dam i basta!

— Ale dasz, Auguście, dasz!

— Jak ciebie kocham, nie dam...

— Zobaczmy — mówi zona z drwiącym uśmiechem.
— Zobaczmy — powtórzyłem już naprawdę rozdrażniony i poszedłem na dziedziniec.
Myślałem, że pobiegawszy koło klombu ochłonę cokolwiek z tej irytacji i uporządkuję w głowie tok myśli, gdy jak raz na zakręcie spotykam śmiejącego się z całej duszy Macieja.
— Cóż ci tak wesołego? — pytam zatrzymując się przed uim.
— Jak ty wyglądasz... Cha, cha, jak ty wyglądasz, Auguście!—mówi podnosząc ręce do mojej szyi.
— Cóż ty mię chcesz dusić?
— Ale poczekajże, tak ci się krawatka przekręciła!
— Niech będzie jak chce... proszę cię... jestem zły jak sto dyabłów.
— Wiesz i ja też samo—mówi biorąc mię pod rękę. — Wystaw sobie, nie mogę nigdzie pieniędzy odebrać; rozpisałem listy i do tego i do owego, nic... Je

się śmieję, a jednak prawda. Powiedz mi, czegoś ty zawsze taki zły?...

— Kto? ja zły...

— Ty ty, ty, despoto jakiś, satrapo, baszo...—dodaje biorąc mię pod rękę i spacerując ze mną po pokoju.—Widzisz, kocbaneczku, nie trzeba być takim złośnikiem.! Z tobą nie można nigdy spokojnie porozmawiać, a zaraz buru bura... oj ty, ty!

Już ta moja Lucynka, to majster kobieta; ona to tak umie ze mną to z tej strony, to z tamtej, to pogłaszcze, to pogrozi, niby się zadąsa i jak mi zacznie kłaść w głowę powoli, powoli... niby z daleka, niby od niechcenia, to tak jak ta kropla wody, co to spadając z wysokości na kamień, zdaje się że nie jest groźną, a swoją drogą wyżłobi dołek w kamieniu. I na ten raz było coś podobnego ze mną; bo zaprowadziła mię do kancelaryi, kazała sobie otworzyć szufladę od biurka, obliczyła co mam pieniędzy, i zabrała wszystko prawie, zostawiwszy na bieżące wydatki bardzo małą kwotę, która jak obrachowaia, powinna mi aż nadto wystarczyć. Potem kazała* zawołać Franciszka, i ja swojemi własnymi ustami musiałem mu nakazać, aby nazajutrz o godzinie ósmej już zajechał powozem przed ganek, bo panie pojedą do miasta, po sprawunki.

— Tylko też, Franciszku, nie zapomnij wymyć powozu.

— Już wymyty, proszę wielmożnego pana...

— Kazałam mu dzisiaj — dodała Lucynka — bo wiem, żebyś się gniewał... Prawda, jaka ze mnie jest przezorna gospodyni?

ły z szal" wszystkie suknie, mierzą, medytują nad brytami, oglądają tak zaferowane, że nawet nie widziały kiedy wszedłem, a Kwapiszewska jak zły duch ciągle im prawi o hrabiance, i na wszystko powiada że mało.

— Co to znaczy wyprawa bez aksamitnej sukni, jak szczęścia pragnę, musi być jedna aksamitna...

— Żebyś asani sto kaczek zjadła ze swojemi aksamitami—odzywam się na to.

— Znowuś tu przyszedł — mówi zona — że też ty bez sprzeczek nie możesz chwili usiedzieć!

— Bo robicie zbytki, jak Boga kocham, po prostu waryujecie...

— Mój kochany idźże sobie... my tu ciebie nie potrzebujemy. Auguście, jeżeli mię kochasz, idź i nie przeszkadzaj...

Znowu poszedłem i znowu wracam za godzinę, one jeszcze siedzą i radzą już teraz o kapeluszach.

— Biały na pierwsze wizyty koniecznie musi być; hrabianka miała trzy: jeden morowy z marabutem, drugi popielaty, ale tak słabo, słabo... — lecz baczywszy, że wchodzę, zamilkła nagle.

— No, mówże dalej czem ubrany, kwiatami czy czem innym?

— Kiedy jak pan przyjdzie i popatrzy na mnie ostro, to ja języka w ustach zapomnę, jak szczęścia pragnę...

— Widzisz, Auguście, jakiś ty straszny... ty sta ry tyranie — odzywa się Lucynka, głaszcząc mię pod brodę.

— Prawda, ja straszny...

— A wszyscy się tak ciebie boją jak ognia... Śmieję

też przysiąść, jak obiecywał. Co do przysiadania się, to wprawdzie praktykował je, ale przy Linci a nie przy mapie. Nieraz to już niecierpliwość brała patrzeć na to ich cackanie się; pamiętam, i człowiek przechodził tę ospę, ale żeby tak od rana do nocy siedzieć i szeptać i śmiać się i gruchać, to dalibóg, nie widziałem. Lince, tj jej w to graj; kobiety do końca świata zawsze będą hibić to wszystkie ceregiele; mnie u Boga, toby się już dawno te rzeczy przejadły, a ona, panie dobrodzieju, tylko szczyrzyła białe ząbki i śmiała się i chichotała, patrząc w głupekowate oczy Macieja. Gdzieś i migrena zginęła, i o fluksyi ani słyhać, a co rano wychodzi jak róża wymuskana, wypachniona, i szuka oczami swego czterdziestoletniego gagatka, jakby to już na świecie nie było więcej mężczyzn tylko on jeden. Dawniej, pamiętam, to i pogadała ze mną, uśmieła się nad moimi żartami; a teraz jakieś tony: „włosy mi targasz, Auguście; ach, jakiś ty nieznośny z temi staroświeckienii karesami." Proszę ja, niby ten Maciej coś młodszego i" hii: liii I Mimo serdecznej chęci zakończenia tych wszystkich awantur przy ołtarzu, kobiety nie mogły się uporać z wyprawą do wiosny. Dotąd jakoś obchodziłem się bez pożyczki, co było, to się sprzedawało, a pieniądze szły jak woda; nareszcie w połowie lutego basta! Kolo mnie kuso, a tu jeszcze potrzeba parę tysięcy rubli. Kręcę się tedy jak wąż, posyłam pachciarza do miasta, aby pogadał z żydami, ale to zwykle, jak człowiek potrzebuje nagle, to i oni lubią brać na kiel i gotowiby skórę zedrzeć.

Tymczasem mój Maciuś pojechał do Warszawy szukać sobie mieszkania i niech to będzie między nami,

Otoż z chwilą, tych nieszczęśliwych oświadczyń poczęła się kompletna moja bieda. Co drugi dzień jeździli do miasta, i zwozili mi całe sklepy różnych ma natków, i do tego doszło, że nio było gdzie usiąść w pokojach, ani się oprzeć o co, bo wszędzie porozkładano i pozawieszano różne płótna, perkale, drelichy, koronki. Tu szyli, tam krajali, tam proli i cięli, a coa trzy szwaczki, jedna brzydsza od drugiej, jako protegowane przez Kwapiszewską, machały igłami jak maszyny, i spijały najlepszą śmietankę do kawy, tak, że na mojej szklance nigdy już uczciwego kozuska nie było. Maciej, ten stary łysiejący Maciej, zgłupiał do reszty i rozpróżniaczył się jak nigdy. O skończeniu pomiaru ani mu gadaj, i powiada:

— Już wszystko mam, co trzeba było pomierzyć na gruncie, a samą mapę i rejestra pomiarowe to ja ci piorunem zrobię.

Kiedy się ze mną godził o tę robotę, przysięgał, że pomiar na gruncie to nic, a najwięcej pracy kosztuje obliczenie powierzchni.

— Bo to uważasz, trzeba ci każdy kawałeczek osobno rachować, wykreślać trójkąty, zamieniać i to nie raz, bo jak się potem całość nie zgodzi, to szukaj tego ćwierć morga i sprawdzaj wszystko... A potem co to pisanie w tych rejestrach, osobno to, osobno to, i dodaj, i odejmij i mnoż... piekielna praca... Całą zimę muszę nad tem przesiedzieć...—A teraz mówi: Niechno ja się zamknę na parę dni—będziesz miał wszystko gotowe.

Mnie mapy na "gwałt było potrzeba, chciałem wziąć dodatkową pożyczkę Towarzystwa kredytowego, a ten rozkochany utrapieniec ani myśli się zamykać, ani

jedzie wprost ku Zawiszycom, ale skręca na lewo i prosto do dworu. Nie lubię wszystkich takich niespodzianek, a tembardziej ekstrapocztą, bo to musi być albo jaki wielki urzędnik z powiatu, albo coś ważnego. Przyjechali przed bramę dziedzińca, poczyliion zlązł z kozła, otworzy! wrota, i bryczka zatoczyła się przed ganek. Jakiś mały mężczyzna, w dość porządne futro ubrany, którego nie znam zupełnie, wyskakuje przedemną i ukloniwszy się bardzo nisko, zapytuje, czy ja jestem ten a ten dziedzic tej wsi?

— Ja — mówię, wpuszczając jegomościa do sieni, a kiedy zdjął futro, proszę do kancelaryi.

— Z kimże mam honor?...

— Niech pan będzie tak łaskaw przeczytać to pismo—mówi podając mi list, a choć mówi biegle po polsku, to z intonacji głosu poznaję, że to musi być albo żyd jaki, albo Niemiec. Oderwałem kopertę, patrzę, cztery stroniczki jak nabił, a na końcu podpis z figlaskami, w których ledwie przeledwie odczytałem cyrograf Macieja. Poprosiłem nieznanego żeby usiadł, przysunąłem mu pudełko z cygarami, a sam przebiegam oczyma list, aby się dowiedzieć, czemu zawdzięczam taką ekstrapocztową wizytę. Czytam, czytam, jakieś obszerne historyjki o wartości domów w Warszawie, jak to ludzie robią tam kapitalne interesy na tych domach, jak kupują, reparują, sprzedają — ale nie mogę się doczytać kto ten pan... Tymczasem za drzwiami od pokoju jadalnego coś zaszeleściło, i naraz pokazawszy swój zadarty nos odzywa się Lucynka:

— Auguście, proszę cię na chwilę.
— Zaraz, zaraz.

— Ale proszę cię—powtarza drugi raz—na sekundę, bądź tak dobry...
Wiem, że moja kochana żoneczka jest nadzwyczaj ciekawą, i jak tylko zobaczyła zajeżdżającą bryczkę pocztową, choć nie była ubrana, to jednak nie mogła wytrzymać aby nie zobaczyć przybyłego i nie dowiedzieć się kto to taki.
— Co to za jeden? — pyta wciągając mię za rękę do jadalnego pokoju i zamykając drzwi za sobą.
— Nio wiem.
— A list od kogo?
— Od Macieja — właśnie nie mogę się doczytać kto ten pan,, ale czego mię wywołujesz i przeszkadzasz?
— Mój drogi—rzecze mi prędko biorąc list w swoje ręce—ja przecież muszę wiedzieć; może wypadnie kazać przynieść kawę albo herbatę... Poczekaj, ja przeczytam prędej... Chodź tu do stołu, będziemy czytali razem. Otwarcie powiem, że ja nie lubię tego czytania razem, ale poradźże tu z ciekawą kobietą. Wzięła mię jedną ręką za szyję, uibyto z czułości, a w rzeczy samej żebym jej nie uciekł, drugą zaś oparła się ze mną na stole i czytamy. Rozpisawszy się na trzech stronicach o tych realnościach w Warszawie i innych tym podobnych rzeczach, w koficy powiada że ma dla mnie jakiś kapitalnie korzystny interes, ale to taki, co go w dzie; i ze świecą trzeba szukać i że właśnie o tym interesie objaśni mię oddawca tego listu, niejaki pan Izidor Kleinsztik, człowiek bardzo sprytny, rozumny i t. p.
— To żyd jakiś—mówi żona.
— Żyd, choć jak widzę z porządniejszych.
— Daj że mi ten list, ja przeczytam Linci, bo cała

czwarta stronica jest do niej, a ty go się zapytaj czego chce, Ławy czy herbaty.
Wracając miałem czas przypatrzeć się gościowi. Był to małego wzrostu czarno zarośnięty mężczyzna z sterczącymi włosami na głowie, które widocznie nie bardzo dawno po zdjęciu jarmułka zaczęły rość swobodnie. Ubrany kuso w popielaty garnitur, z przewieszoną przez ramię torbą podróżną, palił coś niewprawnie cygaro, a czarnymi jak smoła oczkami spoglądał na mnie z ukosa, przybierając jaknajuniżeńszą minę.
— Cóż to za interes masz mi pan przedstawić?— pytam zbliżając się do stołu, a przypomniawszy sobie polecenie żony, dodaję:
— Może pan pozwolisz kawy, albo herbaty?
— Herbaty, jeżeli łaska — odpowiada wstając z krzesła.
— Ze śmietanką?
— Ja nie mogę ze śmietanką.—rzecze z pewnym grymasem na twarzy. Poznałem, że się jeszcze z rytuałów żydowskich nie wyemancypował...
— Ten interes — mówi do mnie — to jest bardzo wielki interes; to jest interes daleko lepszy od wygranej na loteryi. Wielmożny pan to ma takie szczęście, że mnie spotkał pan Maciej i j:i jemu powiedział... Każdy obywatel, toby mnie ucałował aby jemu taki interes nastęrczyć...
— No, ale cóż to takiego? — pytam obserwując, czy ten pan jest do całowania.

— Co takiego? To jest sto tysięcy złotych za darmo, jak Boga kocham znalezione na ulicy...
— A gdzie są te sto tysięcy?

— Są gotowe w listów zastawnych, tylko wziąć!

— Dobrze, daj pan, ja wezmę.

— Dlaczego nie, ja dam; niech tylko wielmożny pan słuca, to jest takie interes, jakiego drugi nie uia w świat... Ale ja przy tem muszę zarobić... ja wiele nie żądam, trzy procentów...

— Zgoda—mówie już trochę zaciekawiony—jak zobaczę że warto... O cóż to idzie?

— Jest tu jeden pan już stary, co nie ma żadnych familiów, i chce dać sto tysięcy jakiemu porządne obywatelowi na dobra. Od tych pieniędzy żąda tylko trzy procent i jeden albo dwa pokoiki na wsi, coby on mógł przy nich żyć jak między przyjaciół...

— Cóż to za jeden?

— Bardzo porządne pan, bardzo uczony, on niedawno wrócił z Rosy i, on tam był urzędnikiem przy wojsku.

— "Więc to wojskowy? — pytam skrzywiwszy nosem.

— Nie, on taki co wojskowym koniom dawał owies i siano, a ludziom mąkę i krupy, co się nazywa inten...
intendencya...

— Intendentura—mówię.

— Tak, tak, intendencya — poprawia się pan Kleinsztik — wielmożny dziedzic wie, co u takich intendencym..turów to o pieniądze łatwo. On przyszedł do mnie.

— A czemże się pan zajmujesz?—pytam.

— Ja jestem agent od kupna i sprzedaży dóbr, od pożyczków i takie interesa obywateli. On powiada, panie Kleinsztik, ty mnie znajdź takie porządne dwór,

coby ja miał pokój ciepły i takie rozumne pan, z którymby można pogadać czasem...

— Może to jaki stary nudziarz!

— Niech Bóg broni, on nie taki stary, ma wszystkie zębów, a takie wesół, ie ciągle się śmieje... On powiada, jakby mógł mieć swój koń i takie mały wózek... a jeszcze dzieci... Czy wielmożny dziedzic ma dzieci?

— Mam dwoje.

— No, to już jest wszystko, on bardzo dzieciów lubi, on jak moja zobaczy, to choć żydowskie, zaraz ich na kolana bierze... Wie wielmożny pan, on te trzy procentów to rozda dzieciom, na co jemu pieniądze?

— Więc to interes na seryo?

— Co to jest na seryo? Izidor Kleinsztik innych interesów nie robi. Niech wielmożny pan się namiszli, a wszystko będzie w trzy dni fertig. Ja wielmożnemu panu jeszcze co powiem — dodaje mi ciszej — jak jemu będzie dobrze, co on będzie kontent, to on te sto tysięcy zapisze albo pani, albo dzieciom; on nie ma żadne familie i taki jest sam człowiek, co chce mieć spokój do śmierci,

Wśród tej rozmowy, służący przyniósł herbatę, zaprosiwszy więc owego pana Kleinsztika żeby pił, poszedłem do żony.

— Ależ to prawdziwe szczęście!—mówi Lucynka, rzucając mi się na szyję.—Bierz, mój drogi, jedź, kończ... Temi pieniędzmi spłacisz Lincię, i pozbędziesz się zmartwienia. Z listu Macieja uważałam, że chciałby kupić jaką kamienicę w Warszawie, i to wszystko, co on tam pisze o tych świetnych interesach, widocznie ma cel, abyśmy mogli spłacić mu ten posag... Mówię ci, Auguście, weź się energicznie do tego interesu, a pozbę

dziesz się kłopotów rodzinnych. Z obcymi zawsze lepsza sprawa niż ze swoimi, zawsze będą jakieś pretensje, jakieś kwasy. Im się będzie zdawało, że łaskę ci robią zostawiając tę sumę na parę lat, a potem będą narzekać, że stracili tyle, że...

— Bardzo to dobrze, moja, droga, ja sam myślę że to może być dobry interes, jak ten żyd powiada, tylko tak brać obcego człowieka do domu... kto on, co on?... a może to jakiś niepotem, może...

— Eh, cóż znowu za domysły — przerywa mi Lucynka — na co przedstawiać sobie wszystko w najgorszym świetle; już ja ci zaręczam, że musi być człowiek porządny, skoro pragnie przytulić się do jakiejś rodziny. A na mnie możesz liczyć, że mu tak będę dogadzać, tak będę się starać aby mu było dobrze; ty wiesz, że ja potrafię...

— Przepraszam—mówię śmiejąc się wesoło—to bardzo niebezpiecznie, że tak sobie obiecujesz... Bardzo proszę, bez wszelkich dogadzań, ja jestem zazdrośny, moja pani...

— Stary, stary—rzecze klepiąc mię po plecach—myślałby kto żeś ty Otello jaki... Przecież to człowiek już nie młody, jak mówisz.

— W starym piecu dyabli palą, wiesz, a moja pani jeszcze tak ładnie wygląda, że może i starym głowę zawrócić. Jeżeli Maciej mógł się rozkochać, dlaczegożby ten...

— Nic pleć, a pójdźmy, ja jeszcze lepiej tego faktora wyegzaminuję. Wy mężczyźni to nic nie macie w sobie dyplomacyi, białe to białe, a czarne to czarne, a ja zaraz wszystkiego się dowiem. I pokoiki będą dla niego gotowe, te po Linci...

Mój Kleinsztik wypiszy herbatę, nabrał jeszcze lepszego humoru i rozgadał się z moją żoną na dobre. Powiedziała się od niego, że ten pan jest brunet, śniadej cery, że nie nosi żadnego zarostu, że mu na imię Aleksander, że ma dużo książek w różnych językach, że jest katolik i codzień chodzi do kościoła; że gra na takim instrumencie jak wielkie skrzypce, tylko nie smyczkiem ale palcem brzdąka i śpiewa takie pieśni „co ten szczęśliwy człowiek, który śpi na słomie...” Po półgodzinnej rozmowie wiedziała już Lucynka jakie on potrawy lubi, o której godzinie wstaje, co jada na śniadanie a co na kolację; że późno idzie spać, i trochę przez nos mówi, a na nosie to ma takie okulary, „co jemu spadają same jak skrzywi okiem, i wieszają się na czarnej jedwabnej tasiemki.”

W zapale uciechy z tak świetnego interesu, zaprowadziła go żona do pokojów zajmowanych przez siostrę, które właśnie dla pana Aleksandra przeznacza, a choć Lincia czesząc się przed lustrem, głośno protestowała przeciw tej wizycie, rozchocona Lucynka pokazała mu okna, piec, firanki, zapewniając, że będzie miał tak ciepło jak w ulu, wygodnie, czystutko i oddzielne wejście do sieni.

Pan Kleinsztik miętosząc w ustach cygaro, był tem wszystkim nadzwyczaj zachwycony, cmokał tylko od czasu do czasu powtarzając: „on tego jak życie nie miał, gdzie w Rusi jest taki pokój, on będzie tu miał jak król albo major jaki...”

AV dalszym ciągu tego uszczęśliwienia, kazano umyślnie dla pana Izydora Kleinsztika zaciągnąć niewodem w stawie, żona pachciarza dostała instrukcję jak przyrządzić te ryby, część na obiad, część na kolację.

przy nadejściu naszym, wypuszczono woły robocze do wody. Ja się coś zagadałem z karbowym, a jeden wół jak słoń jaki zbliżył się do węgła obory przy którym stał pan agent. Wół nie miał innej intencji jak poskrołać się trochę o krawędź, szedł wolno mruczając i ziewając, a mój Kleinsztik jak nie krzyknie „a pójdziesz ty wół!”—i chluz w największe błoto. Ledwośruy żydzinę wydobyli—i już nie chciał więcej oglądać gospodarskich inwentarzy, a wrócił do pokoju i mył się i suszył ów popielaty garniturek do samego wieczora.

Ułożonem było, że jutro rano odeślę* swojemi końmi pana agenta do stacji kolei, a ja za dwa dni z wszystkimi dokumentami hipotecznymi przyjadę za nim do Warszawy. Ma się rozumieć, zwróciłem panu Kleinsztikowi wszelkie koszty podróży tam i napowrót, dałem kilkanaście rubli zaliczki a conto owego 'aktornego, a żona ofiarowała mu

indyka, dwa wielkie szczupaki i laseczkę koszernego ronsła od pachciarzn, bo jak mówiła, tak miłosiernie prosił, a w mieście teraz trudno o masło.

Na drugi dzień wytłumaczyła mi Lucynka, że to daleko lepiej będzie jak i kobiety pojedą ze mną do Warszawy, bo to już koszt prawie jeden stać w hotelu samemu albo w trzy osoby, a może przy interesie wypadnie, aby Lincia co podpisała. Zresztą i sprawunków trochę zrobimy, suknie się odda do roboty, z Maciejem się zobaczy.

— Widzisz, Auguście—mówiła mi, widząc, że nie mam ochoty wlec się z taką kalwakatą — ona biedna dziewczyna, wyraźnie tęskni za nim; młode to, zakochane, niech jedzie i tobie będzie przyjemniej że będziemy razem.

Sam Moaiek musiał jechać na koniu do rzezaka, aby zabił gęś na drugą potrawę i wyszukał koszernego wina w miasteczku. Naturalnie, że o interesie tym zachowany był grobowy sekret z wielką boleścią pana Moszka, który z bardzo niespokojną miną kilka razy zaczepiał w żydowskim żargonie pana Izydora, a mnie się pytał, czy to jest kupiec na Polankę.

— Nie—odpowiadam sucho.

— To może na las? Z przeproszeniem jasnego pana, jak o las, to ja bym miał miejscowe daleko lepsze kupiec...

— Wcale nie myślę o sprzedaży lasu.

Pachciarz nie śmiał mię więcej zaczepiać, lecz widziałem chodziło żydzisko jak strute, tembardziej, że pan Kleinsztik aby mniej więcej dać klientowi swemu relacją o wartości majątku, chodził ze mną po oborach, stajni, owczarni, ma się rozumieć trzymając się mojego surduta w obawie przed psami.

— Wielmożny panie, ten nie ugryzie?—pytał pokazując na jednego z domowych kundysów, który miał ten zwyczaj skakania na piersi z radości a potem obcierania się o każdego.

— Nie bój się pan, to spokojny pies, on tak się łąsi z uciechy.

— Niech jemu wielmożny pan powie, coby on sobie poszedł, ja tych psich uciechów nie chcę. Żadnemu psowi nie można wierzyć.

Ale Burek czy tam coś czuł w kieszeni pana Izydora, czy sobie też upatrzył szczególniejszy asumpt do niego, dość, że co ja go odpędzę, on znowu wraca do żyda i obwącjuje mu poły, a żyd gwałt!

Jeszcze gorsza historia była przed wołowiną, gdy

— ÓÓ —

czmie, gdzie będziemy popasać? Toć wszystko ci jedno, tam kupisz, to ten w domu zostanie, i tak zawsze brakuje ci owsa, ie musisz na wiosnę dokupywać...

Niechże będzie i tak! Ale rano powstaje nowa kwestya, czy to dobrze będzie zostawić dzieci? Zosia, widzę, chodzi z zapłakanymi oczyma, Józef ani chce słyszeć żeby miał zostać, kładzie się na ziemi i krzyczy w niebogłoso, że i on pojedzie. Następuje rada, na tej radzie matce łzy stają w oczach. Jadą—niejadą; znowu jadą, a nuż jakie nieszczęście się trafi, mogą zachorować, we wsi koklusz panuje... Kwapiszewska wieczór niedowidzi — więc zdejmuj raz jeszcze walizy, otwieraj i dokładaj dziecinne ubranie.

— Nie zmieściecie się wszyscy—mówie już ubrany do drogi z fajką w rękę, otulony wielkim szalem, który mi zona z tyłu zawiązała.

— Zmieszczą się z nami w powozie; ja wezmę jedno na kolana. Lińcia weźmie Józefa, a zresztą, Guteczku, ty i tak przecie nie lubisz jechać w nakrytym powozie, siądziesz zapewne na kozioł, bo wiesz, że ja się tak boję, a Franciszek tylko ruszy z miejsca, to zaraz śpi...

Cóż robić? — trzeba uwierzyć, że ja nie lubię jechać w powozie, a Franciszek śpi tylko w nocy a nie w dzień, bo choćbyś się niewiedzieć jak chciał gniewać albo wymyślać, to powiedzą ci że jesteś raptus, niecierpliwy; a gdy tego jeszcze mało, pogniwają się, nie chcą jechać i zaczynają się rozbierać naprawdę. Masz tobie! nowa historia; płacze, przepraszania, prośby, wymówki i kończy się na tem, że się zgryziesz i dobrze napocisz nim się dadzą ubłagać.

Tym razem nie było tego, gdyż ja znając bardzo

Człowiek jest przecię człowiekiem a nie kamieniem; i jak cię zaczną namawiać, perswadować, głaskać po twarzy a patrzeć tak miłosiernie w oczy, to choć inaczej sobie uplanowałeś, machniesz ręką i powiesz: Pal was tam, jedźcie. Jeżeli który z czytelników jeździł kiedy powozem z kobietami, to nie trzeba go objaśniać, jakie to rozkosze czekają go w tej podróży. Najprzód, wszystkie walizy jakie tylko gdzie są pod strychem, nawet wygięta tcasza, którą się na wierzch budy szmbuje—wszystko się to wydobywa, czyści, smaruje, dobiera kluczy i cały dzień pakuje, lia! żeby to raz zapakować i zamknąć; ale kiedy już ledwie przyciskając kolanami dało się zamknąć wieko, a lokaj spotniał nim klucz przekręcił w zaniku—pokazuje się, że tam brakuje jakiejś kokardy u stanika czarnej jedwabnej sukni, albo włożono starą woalkę, która ma być do kapelusza na drogę. Otwieraj więc, wyjmuj, potem układaj na nowo, a za godzinę znowu rób toż samo, bo pani zostawiła w jedncj kieszeni portmonetkę z pieniędzmi. O pieniądze mniejsza, nie zginą, ale tam była miara na trzewiki dla Kwapiszewskiej, i pokazuje się, że zła miara, bo gospodyni brała ją na cienką pończochę, a to potrzeba byto brać na grubą, gdyż trzewiki mają być na zimę. No, w wigilią wyjazdu już wszystko zdaje się gotowe; prócz walizek jest jeszcze trzy zawiniątka, ale te się zmieszczą: jedno w siedzenie główne, drugie w siedzenie na koźle, trzecie Franciszek zatrzyma przysobie.
— Przecież obroku musi wziąć trochę, choć na jeden popas!
— Co tam obrok, czy to się niedostanie w kar
A. Wilczyński. Tom XII.

nauczy, nawet gimnastyki na koźle, zehy tam w powozie był porządek! Ale to powiem państwu, wylatują ztamtąd nieustannie ach! ocb! ich! a gdy to nie pomaga, „Auguście, na miłość Boską, co wy robicie!” potem krzyk dzieci, krzyk Linci, która powiada że poty na nią biją ze strachu. Stajemy; ja perswaduje, żeby się nic bały, że droga dobra; nachyla się, ho się nachyla, aio przecież ja widzę drogę — nic to me pomaga, chcą wysiadać w śnieg i błoto. Po wielu perswazyach, aby już nie wysiadały, deklaruje się ten kawałek złej drogi iść przy powozie i podpierać go jak będzie obawa wyrócenia; dekorację tę mimo błota i śniegu dopełniam z całą sumiennością, co nie przeszkadza dalszym achom i ehom, jak równie gimnastycznym manewrom w razie najmniejszego p ochylenia się powozu. Skutkiem tego achania, które i dzieci wiernie naśladowają, potrzeba znowu stanąć, żeby poprawić ubranie i opakowanie dzieci. Stajemy i pokazuje się, że Józiowi nóżki zmarzły i trzeba wydobyć kołderkę z siedzenia, a kiedy tę kołderkę się wydobywa, spadają kapelusze przypięte szpilkami do sukna u wierzchu powozu, konie się niecierpliwia, bo śnieg z deszczem siecze je po oczach, a uporządkowanie wewnątrz powozu trwa dobry kwadrans. Nie chcę już nudzić czytelnika dalszym opisem podobnie familijnej podróży, podjętej dla oszczędności i przyjemności. Powiedziałem sobie, że nic będę się irytował, i dotrzymałem słowa, bo zaraz wystąpiłby raptus na scenę—ale com sobie myślał, to, no... dośpiewajcie czytelnicy...
Nareszcie już późnym wieczorem ściągaliśmy do

dobrze te wszystkie ianaberye i będąc człowiekiem angielskiej cierpliwości, patrzyłem z zimną krwią jak krępowano te biedne dzieci, miętoszono je niby lalki jakie, tak, że im i ócz i nosów nie było widać. Nareszcie wpakowano to wszystko do powozu, w którym tak było pełno i u góry i u dołu i z boku i z przodu, że jużby tam i szpilki nie wsadził.

Wgramoliłem się i ja na kozieł, ale nóg ani sposób gdzie ulokować; między workiem z obrokiem, któremu Franciszek wcale nic darował, a walizką ze starej bryczki, którą nam wpakowano, było tyle miejsca, że mogła się zmieścić jedna noga, a my z Franciszkiem jak na nieszczęście mieliśmy cztery. Nie dosyć tego; w siedzenie dali nam jakieś dwie kołderki dziecinne, tak, że ono podniosło się na pół łokcia wyżej niż boczne pręty kozła. ITrzymajże się tu w równowadze na takiej wysokości, przy drodze pełnej wybojów.

Dalibóg, ludzie podziwiają jakiegoś Bloudina, co chodzi po linie nad Niagarą, niechno jabym go tu wsadził na moje miejsce z Franciszkiem, który chudością nie grzeszy, a zjadłby licha, czyby przy pierwszym chybnięciu się powozu nie fiknął na ziemię! Jakicheśmy gimnastycznych manewrów nie używali z moim stangretem w tej podróży, nim się wjechało na drogę zwirowaną, to doprawdy wiLrto zapłacić i patrzeć! I ręce i nogi i głowa i cały korpus, wszystko to było w nieustannym ruchu na prawo i na lewo, do góry i na dół. Nachylił się na jego stronę, on mię łap za rękaw; nachylił się na moją — pcha mię całym ciężarem, a i tu nawet nie ma się za co schwycić; więc ratuj się jak możesz i trzymaj się dzwonek, jak powiada przysłowie! Jeszcze byłoby jako tako, potrzeba wszystkiego

"Warszawy i z pomocą gromady lokai hotelowych zostaliśmy wyładowani z powozu, przyczem Lińcia zgubiła kalosz z futerką, zona woalkę od kapelusza, z dzieci jedno czapkę, a drugie małą poduszczykę zwaną Jasiem. To wszystko razem z rozspaniem się dzieci tak dalece zepsuło humor kobietom, że herbatę którą nam podano było czuć sianem, kelner ogromnie stukał hutami, łóżka były za miękkie, śmietanka jak woda, a tytoń ten sam, który paliłem zwykle w domu, tu wydał się nieznośnie rozstrajający nerwy.

Na drugi dzień za to, kiedy pojawił się pan Maciej, i kiedy moje panie zlustrowawszy sklepy, znalazły tam tyle prześlicznych rzeczy i to za bezcen—usposobienia się poprawiły, i czas schodził bardzo przyjemnie. Za to pana Izydora Kleinsztika przez dwa dni nie mogliśmy odszukać; zona jego sprzedająca wodę sodową w budce na Nalewkach oświadczyła nam, że mąż wyjechał za interesem na prowincję i jak się dowie że panowie go nie zastali, będzie bardzo żałować.

Dopiero coś czwartego dnia wypadkiem spotkałem go na ulicy i rozpoczęły się naprawdę traktowania.

— To już interes skończony—mówi agent z miną lekceważącą—idę do niego zaraz...

— Powiedźże mi pan przynajmniej, jak się nazywa?

— On się nazywa tak od imienia, czy od Kazimierza, czy od Tadeusza, czy od inny święty...

Dopomagałem pamięci pana Izydora wyliczając różne imiona z kalendarza, począwszy od Makarego Opaty, a wszystko nie ten, nie ten, wreszcie stanęliśmy na Teodorze.

— Tak mi się zdaje, co on jest Teodorowicz —

odzywa się iak tor jeszcze nie pewny swego. — Niech wielmożny pan siedzi w hotel, ja go tam przyprowadzę, albo dam znać gdzie się panowie zjedą... Już na mnie niech się pan spuści: jak Kleinsztik powiada co interes skończony, to skończony.

Kazał żyd siedzieć, ja siedzę kamieniem godzinę, dwie, trzy—nikt się nie pokazuje, a tu właśnie moje panie wybierały się do teatru; ja kazałem się już na to ogolić, zona mi kupiła jasne rękawiczki i przygotowała paradne do łożu ubranie. Przyszedł i pan Maciej we traku, a taki upaczuiow&ny, że na trzy kroki nie przystępuj do niego. Dopiero około godziny siódmej pokazuje się żyd z najlepszą miną, i powiada że pan Teodorowicz wyjechał „do swego przyjaciół do Modlina" i nie prędzej jak za trzy dni powróci. „Ale jakby wielmożny pan chciał, to jabym pojechał po niego jutro. Pięć mil to me wielka droga.

— Dobrze, jedź pan...

— Tylko wielmożny pan da na dorożkę, to nie wiele będzie kosztować, dziesięć, piętnaście rubli.

Myszę sobie, siedzieć tu trzy dni i wydawać tyle na hotel, to jui lepiej zaoferować tych kilkanaście rubli—i dałem żadaną kwotę.

Na drugi dzień żyd się nie pokazał wcale, naturalna rzecz, nie jeździł do Modlina, dopiero trzeciego dnia donosi że pan Teodorowicz przyjechał,

— Więc idźmy do niego?

— On prosił, żeby się zejść w jakiej restauracji. On nie mieszka sam, tylko z kolegim z Rosyi, a przy obcych nie wypada mówić o interesie; on jest bardzo nieśmiały i bojaźliwe, zwyczajnie jak z Rosyi; a ten diugi pan, to jego mógłby odmawiać: jest różne ludzie

na świecie, jak o tem nie trzeba wielmożnemu panu mówić.

Wyznaczyliśmy sobie tedy schadzkę w jednej z pierwszorzędných restauracji, i wieczorem i panem Maciejem poszliśmy na ową kolację. Przyznam, że na pierwszy rzut oka fizyognomia tego pana radcy dworu, jak się zarekomendował, wcale mi się nie podobała. Najprzód nie był to stary, ale najwyżej lat czterdzieści liczący mężczyzna, średniej tuszy, w ciemnych szafirowych okularach, czego już nic lubię; bo jak tylko nie mogę spojrzeć człowiekowi prosto w oczy, to choćbym znał się z nim jak najdłużej, zawsze mi się zdaje że nie wiem co on myśli. Przytem tak jakoś miał dziwnie niesympatyczną minę, coś w swoim obejściu czy nieśmiałego, czy niezgrabnego, czy był zażenowany, dość, że podaliśmy sobie ręce dość chłodno, i pierwsza rozmowa mimo ciągłej interwencji pana Kkiuaztika, jakoś nie mogła się skleić.

Naturalnie, według naszego polskiego zwyczaju nic dotykaliśmy samego interesu, który uas tu sprowadził, a zaczęliśmy gawędę od Wilna, gdzie ten pan przemieszkiwał. Ja, znając trochę z powieści Kraszewskiego nazwiska niektórych miejscowości tamtejszych, pytałem o Antokol, o bramę Ostrobramską i inno, pan Teodorowicz odpowiada! bardzo lakonicznie, ale za to gdy podano kolacyg jadł za dwóch, i wódki sobie nie żałował.

— U nich w łtosy!—szepnął mi agent kręcący się koło nas—to taki zwyczaj, co oni za każdym potrawem piją. Niech wielmożny pan się nie boi, on w domu będzie pił proste wódkę!

Myślę sobie, gdzież tu ta uczoność, gdzie ta weso

łość? To jakiś widzę prosty człowiek, bo i ubranie na nim bez żadnego gustu, a nawet powiem, dość wyszarpane.

Udyśniy zjedli kolację i wypili parę butelek wina, pan radca dworu sam zaczął z Maciejem mówić o interesie, że mu się bardzo podoba propozycyi faktora, że gotów jest wejść w układy ze mną, tylko że jeszcze niema u siebie pieniędzy, bo te są złożone w Banku Wileńskim, ale napisał do przyjaciela, żeby je odebrał i jemu wysłał.

— Wiesz co—odzywam się powróciwszy z tej wyprawy do hotelu — mnie jakoś cała ta sprawa się nie podoba, i na mój głupi rozum dałbym pokój temu wszystkiemu.

Ale, panie dobrodzieju, jak mię wszystko troje opadli, że jestem fantastyk, że byle czem się zrażam, ie nigdy nie trzeba człowieka z pierwszego widzenia sądzić, że jak idzie o przeprowadzenie interesu, to wypada mieć cierpliwość i wytrwałość, musiałem zamilknąć i powiedzieć sobie: czekajmy. A ponieważ zanosilo się na dłuższy pobyt w Warszawie, przenieśliśmy się z hotelu do mieszkania pana Macieja, od ciotki żony i mojego brata pożyczylismy troche pościeli i tak biedując wśród tysiącznych niewygód, czekaliśmy dopóki przyjaciel pana Teodorowicza nie nadeszle mu owych z Banku Wileńskiego pieniędzy. Paniom moim wcale się nie przykrzyło takie życie; chodziły do magazynów, zamawiały stroje, kazały szyć i przerabiać futra, targowały się o srebro, a w wolnych chwilach zwiedzały kamienice, które pan Maciej z pomocą Kleinsztika kupował. Z nudów chodziłem i ja je oglądać, a że mój Maciej należy do ludzi bardzo skrupulatnych, więc przedewszystkiem zaczęliśmy od piwnic i fundamentów,

przyczem raz utykając w ciemnościach, omałom nóg nie połamał spadłszy z sześciu wypróchniałych schodów w głąb podziemnego korytarza.

Z panem Teodorowiczem nie widzieliśmy się więcej, on do nas nie przychodził, choć Lucynka wyrażając się poetycznie, pałała niepokromioną chęcią poznania tego radcy dworu. Jutro pieniądze przyjdą, pojutrze niezawodnie, we czwartek już był list że wysłaue, radca wczoraj telegrafował do przyjaciela, co się to znaczy — mówił Kleinsztik wypalając moje dziesięciogroszowe cygara, aż wreszcie po trzech tygodniach naszego pobytu w Warszawie, wpadł jednego poranku z oznajmieniem, że jego klient wyjeżdża do Siedlec za godzinę i prosi, abyśmy się na jutro do hypoteki tam stawili.

— A widzisz ty niecierpliwcze jakiś, ty Tomaszu niewierny — mówiła zona rzucając mi się na szyję. — Jedźcież więc z Maciejem i wracajcie jak najprędzej... Linciu, Linciu—rzecz do wchodzącej siostry—pojutrze będą pieniądze, możemy dziś dać zadatek jubilerowi, kazać robić aksamitną suknię... Boże kochany, co my jeszcze mamy sprawunków, prawda?

Uciechy było dosyć po tej wiadomości a spis potrzebnych rzeczy na wyprawę, w nadziei, że będzie więcej pieniędzy niż przeznaczone trzy tysiące rubli, znakomicie został powiększony...

Tymczasem i ja się z moim pugilaresem przerachowałem, tak, że na wyjazd do Siedlec musiałem pożyczyć od stryjecznego brata, urzędnika w Izbie obrachunkowej, sto rubli, bo i Kleinsztikowi trzeba było dać z tego na drogę, pomimo że jechał z panem Teodorowiczem.

Droga żelazna do Siedlec nie była jeszcze otwarta,

zamówiliśmy więc ekstrapocztg i raniutko na drugi dzień ruszyli w drogę. Maciej z natury jui był wielki gaduła, i jak od roгатki zaczął mi opowiadać o reparacyi tej kamienicy którą kupi, nie zamknął ust do samego Kałuszyna.

— Proszg cię, dam okna od frontu z lustrzanemi szybami, to najlepszy wabik na lokatorów, wielkie pokoje poprzedziłam. Na licha komu takie landary, uważasz, tu się robi kletkę, tam się pomaluje, w sieni parę szyb kolorowych, i podnosi się czynsz dwa razy... Słowo ci daję, można.

— A mój kochany—odezwę się do niego—słyszałem wczoraj jeszcze, jakieś narzekał, że właściciele domów obdzierają, że za takie wielkie pieniądze żadnej wygody...

— Eh, mój drogi, to też kiedy nie można ich przekonać, trzeba naśladować; ja się trzymam zasady: jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. zaczął się śmiać ze swego dowcipu.

— I myślisz rzucić swoje zajęcie geometry?

— Zaraz po ślubie pałę wszystkie stoliki, busole, niwelacje, wszystko... Co ja się mam wysługiwać komuś i niszczyć nogi do reszty... Nie głupim...

Jakoś mi się nie podobały te wywnętrzania Maciusia, a choć nie podejrywałem go o interesowność i udawanie miłości dla Linci, to widziałem dotykalnie chęć próżnowania i wejścia na drogę lekkiego chleba, do czego wszyscy mamy szczególniejsze inklinacje.

Pod wieczór znużeni drogą przybyliśmy do Siedlec, a ja natychmiast rozesłałem faktorów dla odszukania pana Teodorowicza i jego agenta. "W" pół godziny przyniesiono mi dokładną relację, że ani wczoraj ani

dziś tego rodzaju i nazwiska osoby nie przyjechały do miasta. Okoliczność ta nadzwyczaj mię zdziwiła i zaraz coś jakby mię piknęło, że to wszystko wygląda na nieczystą robotę. Ale Maciej obruszył się na mnie i powiada:

— Cóż to masz mię za dziecko, ja tego żyda znam od dawnych czasów; cygan on, to prawda, ale sprytny i nie śmiałyby ze mnie tak zażartować. Daję ci słowo, musiało się coś zdarzyć, albo zachorował albo co... Czekajmy.

— Ha, czekajmy — odpowiadam; i zaszliśmy do traktyerni na kolację. Jak raz był tam jakiś sztukmistrz z pieskiem uczonym a przytem brzuchomowca, zastałem i parę urzędników znajomych i jednego dalszego sąsiada, z którym niedawno się poznałem. Więc gawędka o tem i owem, i jakoś wieczór zeszedł dość prędko.

Ten mój sąsiad, człowiek średnich lat, niil;u'no nabył Bolechowice, i jak powiadają świetny zrobił interes. Opowiedział mi też wiele ciekawych rzeczy gospodarskich, co on u siebie zaprowadza, i torf kopie, i węgla kamiennego poszukuje i maszynę parową kupi, która mu wszystkie roboty będzie wykonywać, tak że on już mało co ludzkich rąk potrzebuje. W czasie naszej rozmowy ciągle do niego przychodzili jacyś żydzi i odciągali go na stronę, on przekładał im coś żywo, tłumaczył, rachował, a potem znów wracał do mnie na pogawędkę.

— "Widzi sąsiad dobrodziej, ja jestem bardzo czynny człowiek; u mnie cały dzień tak, interesa i interesa. Teraz panie dobrodzieju nic można siedzieć z założonymi rękami, takie czasy nastały, pracuj bracie,

— vj

ruszaj się, bo zginiesz... Ja nawet w drodze jak jadę układam, kombinuję, i spodziewam się, że za dwa lata moje Bolechowice będą wzorem dla całej okolicy... Ale też kładę, kładę, anie żałuję...

Westchnąłem tylko z zazdrości, że ja tak kłaść nie mogę, bo dzięki siostrze mojej żony, w tym roku nawet na kupno dwustu owiec się nie zdobędę. A tu już blisko miesiąc jak wyjechałem z domu, czas już siać, a mój Ziemniaczyółki pewnie wysypia się do dziewiątej; ja go znam, śpioch, jakich nie ma na całej kuli ziemskiej!

Czekamy cały drugi dzień, moi faktorowie czatują, przy wszystkich rogatkach, żeby mi dać znać jak się tylko taki a taki pan pokaże — a swoją drogą nic! Telegrafuję do brata, telegrafuję do policyi, i na trzeci dzień odbieram wiadomość, że takiego Teodorowicza jak mój w Warszawie nie ma, że wprawdzie jest dwóch tego nazwiska, ale jeden ślusarz z fabryki machin Lilpopa, a drugi ielczer przy lazarecie miejscowym, i ten od miesiąca leży w szpitalu chory na suchoty.

— No i cóż Macieju? — pytam odczytawszy mu list brata.

— To nie może być!... — zawoła widocznie zażenowany. — Ja sam pojedę, to nie może być żadne oszustwo, daję głowę moją... Coś się stało, dyabli wiedzą...

— Czytajże, iż w biurze adresowém nic znają osoby tego nazwiska prócz tych dwóch.

— Co oni wiedzą w biurze adresowém... Ja się znam na ludziach i kiedy z tym na owej kolacyi rozmawiałem, to wiedziałem że jftl człowiek porządny...

Na to jak raz przyniesiono mi list od żony, w którym pisze, że mimo wszelkich starań, Kleinsztika odszu

kać w Warszawie nie mogli, że zona jego sprzedająca wodę sodową na Nalewkach, była tylko zastępczynią jakiejś innej, która zachorowała, a sam Kleinsztik trudniący się iaktorstwem wyprowadził się z poprzedniego mieszkania przed dwoma dniami, i dotąd się jeszcze nigdzie nie zameldował.

„Bądź co bądź, kochany Auguście—pisze mi w końcu zona — jedź do domu i postaraj się najmniej o rubli, bośmy na taką sumę sprawunków porobiły i inaczej nie możemy wyjechać z Warszawy. Michahnka bardzo jest tem zmartwiona i ma żal do pana Macieja, jeżeli pokaże się że ci panowie byli oszustami, linie wprawdzie nieraz takio myśli przychodziły do głowy, alem się nie odzywała, bo przecież wy mężczyźni macie w tem lepszy rozum i doświadczenie... Całujemy cię wszyscy po tysiąc razy, anie zapominaj przyjechać z pieniędzmi, bo już jaknajprędzj chciałabym być w domu... Kochająca Cię z całej duszy Lucyna."

Post.Scriplum. „Tylko też nie martw się Gustku i nie gorączkuj — ja cię znani żeś ty bardzo dobry, ale troche raptus... Mój drogi, zrób to dla mnie..."

Drugie PostScriptum na boku listu: „Powiedz Kwapiszewskiej, żeby nie dawała ludziom nowego sadła, ale to dawniejsze, co wisi koło okna, niech wprzód stare zjedzą! Mięsa dla ciebie będzie dosyć na obiad półtora funta..."

— A niechże was wszystkie kaczkę zdepczą! zawołałem mnąc list ze złości i rzucając go na ziemię...— Ona myślała a nic nie mówiła, nie irytuj się Gusteczku, tyś raptus... Jak tu nie być raptusem, jeżeli mię swojemi namowami wystrychnęli na dudka... Tak, tak, jedź,

przywieź rubli, bagatela, tylko tysiącpięćset rubli... Nie możemy wyjechać!... Nie wyjeżdżajcie sobie, nie trzeba było kupować tyle manatków!... Najmniej pięćset rubli kosztuje mnie ta cała historia... ba, a co żyd wziął, a mitręga?... No masz, masz twoje rady, ty stary ośle.' — krzyknę zwracając się do zafrasowanego Macieja, który zrobiwszy jak tylko można najgłupszą minę w świecie, udał że pakuje do tłuucza swoje rzeczy... Widzisz twoje znajomości, twoje listy...

Byłem zły to zły, i szczęście że ten śmiejący się niedołęga, znając moją naturę, nie odezwał się ani słowa, dalibóg nie ręką za siebie...

Pamiętam, chodziłem po stancyi, dmuchałem, sapałem i wymyślałem wszystkim, na czym świat stoi — to jakoś ulżyło mi trochę.

— Gdzież idziesz? — pytam Macieja — gdy ten ubrawszy się w futro bierze tłuuczek do ręki.

— Jadę do Warszawy, i choćbym miał cały rok nie jeść i nie pić, to odszukam tego łotra żyda z jego klientem, obu wsadzę do kryminału, tak mi Panic Boże dopomóż! Przepraszam cię Auguście... Czuję to sam, że jestem głupiec, ale to kuty głupiec na wszystkie cztery nogi...

Wyszedł, a i ja też nie miałem eo innego do roboty jak kazać faktorowi postarać się o furmankę. W kieszeni po opłaceniu kosztów hotelu zostało mi wszystkiego pięć rubli, nie było więc co myśleć o poczcie, bo pożyczka nie śmiała.

Kiedy już jechał furman z przedmieścia podlaskim wózkiem zaprzężonym w parę koni, z których jeden był

Zyń jakoś nie chciał wierzyć, bo kiedym wsiadł do wózka i ruszył w drogę, stał ciągle i kiwał głową stukając wielką laską o bruk siedlecki.

Jeszcze nigdy w życiu nie jechałem wolniej i niewygodniej jak teraz; konicta wielkości dobrych psów dreptały wprawdzie klusem, ale to dreptanie wyglądało na sens onęj zagadki, co to pędzi jak wiatr prostą drogą, stoi na miejscu i kiwa nogą. Chłop wywijał batem, zacinając i mnie kiedyniekiedy po czapce, machał rękami i syczał jak wąż i zachęcał i namawiał swoją chudobę — a mimo tego niech tylko kawałek piasku, niech jaka górka — pegazy zwałniają kroku i idą noga za nogą. Jak zapomni się woźnica i bat złoży, koniki skręcają przed każdą karczmą i trzeba było zsiadać z wozu, brać za uzdzenie przy samych zębach i wyprowadzać je na drogę — inaczej dały się zabić a nie ruszyły z miejsca.

Mój furman tak był zajęty przez całą drogę swoją chudobą, że nawet nie mogłem z uim rozmawiać, całą więc satysfakcją podróży ograniczać musiałem do poprawiania snopka słomy w siedzeniu, który co kilka minut zmieniał swoją pozycję to w poprzek, to wzdłuż wozu, to był przedemną, to za mną; wstawałem więc co chwila i przywoływałem go do porządku.

Nareszcie wjechaliśmy w granicę mojej wsi. Tu już miałem na co wyrzeć zły humor. Krzywo zorane zagony, niespuszczona woda z ozimin, nawóz za gesto kładziony kupkami — zły mostek, rów zamulony, i wre

pod dułą a drugi na przyprzążce, stary żyd faktor zapytuje mnie na wsjadanóm:

— .Taki to ten pan, co ma przyjechać I Warszawy?

— Już nie przyjedzie — mówie dając mu na piwo.

— Bo jeżeli ten co ja wiem, co on ma ciemne okularów a z uim będzie żydek niemiecki z czarnem brodem — to on przyjedzie.

— A ty zkąd wiesz?

— Zkąd ja wiem to wiem — on się nazywa Teodorowicz... a żydek się nazywa Icko Kleinsztik.
— Ten sam! — zawołam uradowany. — Bój się Boga, powiedz mi co wiesz...
— Ja wiem — mówi ciszej stary faktor zbliżając się do mnie — że ten pan z Bolechowice także na nich czeka tu cztery dni. Mój syn, który u niego jest pachciarzem, i który dużo wie, powiedział że on jemu daje sto tysięcy na hypetykę, a on u niego będzie mieszkał...
Roześmiałem się głośno, uszczęśliwiony tem, że nie ja jeden byłem tak łatwowiernym i dałem się złapać.
— Czego się jasny pan śmieje, oni jemu już trzy pokojów we dworze uporządkili; wczoraj dwie fornalki zabrały ztąd meble, a syn mi mówił, co jemu pan kazał kupić sześć butelek sznaps, bo ten pan jest z Russyi i lubi tak! — dokończył dając sobie szcztka po szyi...
— No, no, powiedz panu z Bolechowice, niech darmo nie czeka, bo to jest oszust ten Teodorowicz, a jeszcze większy ten jego faktor...

miast mi drzwi otworzyć, obeszła widać dom wokoło, uważając za najpierwszy obowiązek wyciągnąć mi gwałtem rękę z kieszeni, tę ucałować, a potem jeszcze ścisnąć tak mocno nogi w kolanach, żem się o mało nic przewrócił. Nic nie pomogła energiczna obrona. Jagusia co do joty wykonawszy cały program powitalny, dopiero zawróciła się, aby mi drzwi otworzyć.

Mój mocny Boże, cóż to za ruina wewnątrz! Ani jeden mebel nie był na swoim miejscu, podłogi nic znać od brudu, ze ścian papierowe obicie poodstawało, okna zakopcone jakby w magazynie zbożowym, a po wszystkich kątach i zaułkach piętrzą się pajęczce warstwy, niby wygięte daszki pagód chińskich. Co to jest? myślę sobie, próbując palcem głębokości warstwy kurzu na fortepianie, czy to sunt opadł, czy ściany w ziemię wlażyły, bo jakoś wszystko takie niskie, i okna dziwnio małe, i piec karłowaty jakby nic na swoim miejscu, a taki czegoś nieforemny... pękaty...

Gdy śpiesząc się Jagusia pootwieriała okiennice, z których trzy połówki zrzuciła z zawiasów, zjawił się zadyszany Walenty, kucharz w paskowatym kaftanie, a wyczałowawszy również sumiennie moje ręce, zaczął mi ściągać futro.

— Prędzejbym się śmierci spodziewał, wielmożny panie — mówi przyciągając mię razem z rękawami ku ziemi—niż wielmożnego pana.

Toż samo powtórzył mi z zaspauemi oczami nadbiegający ekonom, jednak z harapem w rękę, niby że to dopiero co zsiadł z konia, choć widziałem oknem, jak zdążając ku dworowi, gwałtownie czyścił głowę z pierzanych naleciałości.

— Niceśmy się pana nie spodziewali, jak szczęścia

Bzcie zepsuty kołowrót we wsi, dostarczyły lni tyle materiału do irytacji, że snopek w siedzeniu, czując nad sobą brak kontroli, formalnie wysunął się z pudemnie i siadł obok mnie, niby współtowarzysz podróży.

Zajeżdżam przed dwór, brama od dziedzińca otwarta, a gromada ekonomskiej nierogaczyny tak słodko i rozkosznie nurtuje moje trawniki na klombie, że kiedym wyrwawszy bat z ręki woźnicy, wyskoczył z wozu, aby je przepędzić, one nie chciały wierzyć, aby to miał być zamach przeciw ich zabawie, bo jakby im komendę, podniosły ryje do góry i chrząkając wesoło, zaczęły sobie brykać nie zważając na zadawane im ciągi. Spotniałem dobrze, tum potrafiłem wyprosić za bramę nieproszonych gości, urządzających mój dziedziniec; kazałem furmanowi złożyć zawiniątko w ganku, a odpawiwszy go do domu, rozpocząłem szturm do własnego mieszkania. Stukam z początku w klamkę, potem pięścią w drzwi, potem pięściami i nogami razem: żywej duszy niema... Patrzę, okiennice w całym domu zamknięte, ściany z tynku poobijane, dzikie wino, które powinno piąć się po słupach, leży na ziemi połamane, a moje ulubione róże sztarowe, którem własnoręcznie ponachylał do ziemi i okrył nawozem, powydobywane na wierzch, kołyszają się jak biedne sieroty, poruszane wichrem na wsze strony.

No, powiedzcie sami, czytelnicy, czy niemożna nawet, niebędąc obdartym przez takie Kleinsztika et Comp.

zirytować się na widok pustki własnego domu, który się przed miesiącem opuściło w zupełnym porządku! Kiedy tak gorzkie przychodzą mi myśli wśród międzyaktów szturmowania, czuję, coś łapie mię z tyłu za rękę, oglądam się, a ta Jadwiga dziewczka folwarczua za

A. Wilczyński Tom XI!

chni, biegnie z nią jakby z pochodnią jaką ku dworowi, a zobaczywszy że jeszcze nie ma urąbanego drzewa, kładzie ją na ziemi, chwyta oburącz za koniec sztachety, wiesza się na niej, i próbuje całymi siłami, aby ją wyłamać...
Ja włożyłem napowrót iutro, zapaliłem papierosa, i patrzę, co to z tego wszystkiego będzie. Po półgodzinnej moiej takiej krzątaninie, wszyscy razem zebrali naręczko drzewa, które mój kandydat na lokaja niesie z tryumfem do dworu, przyświecając sobie dymiącą się głownią.

— Adamek — krzyknie za uim Kwapiszewska — wystawiając przed drzwi kuchni parę starych butów— wróć mi się zaraz i wdziej to!

Adamek, który był już pod gankiem, zatrzymał się niechętnie, lecz zobaczywszy że stara tupie nogą z gniewem, składa przy schodkach owe drzewo, i wraca, aby wypełnić rozkaz pani gospodyni.

— A żeby cię kaci porwali...—mruczy ciągnąc na nogę but jeden wszelkimi możebnymi sposobami — nie chce iść!...

— Ciągnij synku — perswaduje Kwapiszewska, stając nad nim—przecież to twoje, tyłeś w nich chodził a dobre były.

— Pozsychały się strasznie... a bodajże cię, bodaj... jaby ta wolał iść bosy...

— O, ja wiem, żebyś ty wolał—odpowiada gospodyni pomagając mu sama—ty myślisz, że to u państwa jak na wsi u gospodarza; a coby mi pan powiedział?... Czeka, przyniosę "ci mydła, jak sobie pięty pomydlisz...

Nie wiem czy Adamek wziął na ambit, czy też buty przelewały się owego mydła, dość, że jak zaczął opero

— et —

pragnę—jęczała mi głosem synogarlicy gospodyni Kwapiszewska ścierając fartuchem kurz ze stołu. — I panna Karolina stawiała mi wczoraj kabałę, a nic nie pokazywało.

Jeden tylko Adamek, wychowaniec gospodyni, pełniący obowiązki lokaja—bosy, zasmolony i obdarty jak nieboskie stworzenie, ze stojącymi jak szczecina włosami na głowie, wpadłszy jak bomba do pokoju, stanął przy drzwiach jak wryty, a wytrzeszczywszy przestraszone oczy na mnie, zdawał się jeszcze kombinować, czy to ja jestem lub nie ja.

— A pocałujżG pana w rękę, ty prostaku jakiś — zakomenderowała mu Kwapiszewska, popychając go na środek pokoju.

— Nie potrzeba!—odzywam się chowając ręce za siebie, ale mój Adamek jak tygrys z zapasem młodzieńczej siły, mimo oporu z mej strony, wynajduje dłonie za moimi plecami i wycalowuje ogniście.

W pokojach zimno było jak w psiarni, każę więc zapalić w piecu. Na to hasło, wszystko co żyje znika zaraz z przed moich oczu, i już z sieni dolatuje mię sprzeczka, z kąd tu wziąć suchego drzewa, a zaraz potem prawdziwy rwetes na dziedzińcu folwarcznym. Patrzę—ekonom czerwony jak upiór, wyciąga za kołnierz jakiegoś fornała z obory i prowadzi przed piekarnię, aby z Jeżącego kloca świeżej sośniny urąbał drzewa. Jednocześnie kucharz Walenty wybiega, z sieni niosąc w jednej ręce siekiere, którą mu ekonom wydziera, a w drugiej denko od beczki na kapustę, które mimo wszelkich przeszkód ze strony goniącej go Kwapiszewskiej, chlaszcze siekiere na drobne części; Adamek tymczasem wyrwawszy dymiącą się głownię z czeladniej ku

drewienka w piecu.—Namówili mię żeby odprawić służącego, bo drogo kosztuje, a wziąć takiego Adamka, który dotąd trudnił się dozorem cieląt i wynajdywaniem gniazd ptasich w olszynie.

— Proszę pana — prawiła mi coa dwa miesiące Kwapiszewska—ci lokaje, to tylko darmozjady w domu i próżniaki, a względem folwarcznej rzeszy rodzaju żeńskiego, czysta obraza Boska. Adamek taki, jak go przyuczę, będzie to samo w usługach, tylko bez kosztu i innych niebezpieczeństw przeciw moralności.

Usłuchałem gadań babiny, której echem była moja zona, a zwolenniczka wszelkich tego rodzaju oszczędności, a że Adamek miał powierzchowność niczego, zawiozłem go do Węgrowa, i kazałem Lejbce nadwornemu naszemu krawcowi wziąć mu miarę na cały garnitur. W kuchni z polecenia Kwapiszewskiej dziewczki wymyły go w sobotę ługiem, a organista miejscowy, jako generalny fryzyer całej parafii, spuścił mu włosy przy samej skórze — i zdawało się, że chłopak ten wygląda! jakoś do ludzi podobny.

Pamiętam, za oporządzenie to zapłaciłem coś około stu pięćdziesięciu złotych i ubawiłem się, gdy Lejbko ubrawszy go w przedpokoju w ten nowy garnitur, jakby na podziw wepchnął go niespodzianie do mojej kancelaryi.

Ten Lejbko, również faworyt żony, bo dobrze nicował stare suknie i pozwalał targować się z sobą za każdą robotę najkrócej dwie godziny, był to chudy, wyblakły, ospowaty izraelita. Zwolennik starego ubioru, to jest krymki, pejsów i długiego chałata z pasem, bardzo mało przesiadywał w Węgrowie, gdzie ówczesny naczelnik policyi, wielki nieprzyjaciel żydów, polował

waó koło nich, przybierając różne pozycje siedzące, stojące, skaczące, jak zaczął energicznie przytupywać, doŚć, że włożył owe kajdany na nogi, i kulejąc niby na szczydłach, z nową żarzącą głownią wniósł owe drzewo do pokoju. Jakkolwiek wszystko się we mnie gotowało patrząc na te długie ceregiele i niedołężstwo niej służby, jednak znając siebie, że często wpadam w pasyę i wtedy gotowem wszystko i wszystkich tłuc, masakrować i rozbijać na winne jabłko, zacisnąłem zęby udając obojętność. Adamek tymczasem zadymiwszy cały pokój ową głownią i znacząc w swym pochodzie ślady przejścia kawałami świeżego błota, otworzył drzwiczki pieca, nakładł drzewa siak i owak bez żadnego ładu, w ten sposób, że drzwiczki zamknąć się nic chcą. Chodzę po pokoju i spluwam ze złości, a on przyklękawszy przed piecem dmie tam i dmie z całej siły, jakby miech kowalski, a oczy mu na wierzch wylazły, cała twarz nabrzękła, a drzewo tylko syczy, piszczy, jęczy, jakby zaklęta dusza jaka, i zapalić się płomieniem nic chce. — A przyniesze kawałek łuczywa, albo węgli żarzących—mówię odciągając go od pieca—nic widzisz, że drzewo mokre i nie zapali się od dmuchania.

Lecz on widocznie tak całą myśl swoją wpakował w owo dmuchanie, że odwróciwszy zasmoloną twarz swoje, spojrzął na mnie jak idyota głupowatemi oczyma i znów zaczął dmuchać.

Powtórzyłem drugi raz energicznie mój rozkaz i to go zniewoliło że zerwał się nagle i jak strzała puścił się ku oficynie.

— Otóżto rai oszczędność na sposób mojej żony i Kwapiszewskiej — pomyślałem, przekładając mokre

— fl —

zawsze na niego, aby mu obciąć cboć jeden lok pejsów, skrócić chałat, i porąbać aksamitną jarmułkę, a nawet skazać go na karę rubli trzech, jak tego wymagały przepisy. Nieszczęśliwy Lejbko, ofiara urzędowego prześladowania, po takiej operacji nie mógł się zdecydować na dobrowolne ostrzyżenie drugiego pejsa, lecz obcięty przyszywał do podszewki jarmułki, a zabierawszy nieodstępny tiójraniasty łokieć, worek z przyborami krawieckimi i dwunastoletniego czeladnika, puszczał się na wsie wędrując dopóty, dopóki mu nie odrósł prawdziwy loczek pod jarmułką.

— Ależ mój Lejbko, jakżeś mu ty uszył ten surdut?—mówię pokazując odymające się bufy na piersiach chłopaka.

— Ny, co jaśnie pan chce — odpowiada krawiec, trzymając kawałek kredy w ustach, a rękami pociągając z całej siły przód surduta—bardzo dobrze jest...

— Swoją drogą odstaje...

— Jak nic ma odstawać. skoro on nie ma piersiów...

— Lejbko, co ci się też plecie!

— Jak Bogie kocham, co to jaśnie pan nie wie, że zaden chłop nie ma piersiów, a tylko deskę .. No, no niech pan zobaczy—mówi odpinając gwałtownie surdut i roztwierając koszulę Adamka. — Bo to piersi, he?... — dodaje pukając palcem w brązową skórę chłopaka.—Jak on będzie na pański wikt z pół roku, to jemu te luberye będzie rychtyg...
— A pocóżeś mu tu na szyi wyciął tak nisko z tyłu, patrzajże gdzie ten kołnier idzie? podszewkę kamizelki widać...
— Hm—odpowiada śmiejąc się artysta.—Na co

chłopu kołnier tak wysoko? Onby jego zaraz zafolował od włosów, co je chłopcy słoninem smarują.., Wprostuj się ty Adam — mówi biorąc chłopaka jedną ręką pod brodę, a drugą nabijając mu plecy, aby gdzieś wkłęsty.
— Niech jasny pan teraz spojrzy, jak on przejdzie na dworskie ręce, to zaraz będzie co innego. Zresztą ja jemu posunę na pół cal guziki — rezonuje przyklękając przed Adamkiem i znacząc kredą odpowiednie kropki.
Przyszła na to i Kwapiszewska, jego ochmistrzyni, i kazała mu w tem nowem ubraniu przedefilować parę razy tam i napowrót po pokoju. Lejbko, uczeń jego, i Adamek byli zachwyceni; tego ostatniego szczególnie cieszyła kieszeń na piersiach, a jeszcze bardziej kratkowana w niej podszewka z perkaliku, którą nieustannie na wierzch wyciągał.
— Niechno ja jego wezmę, proszę pana, w swoje ręce — rzekła uśmiechając się z pewnością siebie Kwapiszewska—a zobaczy pan co z tego chłopaka będzie za dwa miesiące... Hultaj — mówi mi do ucha — sprytny do wszystkiego, a robota to mu się pali w rękach; ja go wysztuduję na takie lokaja, że mógłby pójść do samego pana Popiela... Albo on mi to pierwszy, albo ostatni?... Jaśnie pani hrabina, zawsze mówiła: „Ty, mościa Kwapiszewska, to stworzona jesteś na ochmistrzynię do wielkiego dworu; ciebie ludzie to boją się jak ognia.p Pamiętaj Adamek — mówi, zwracając się do faworyta—kazałam sobie zrobić dyscyplinę o pięciu rzemykach do pięciu ran Pana Jezusa, widziałeś tę z surowcu... widziałeś tę na sarniej nóżce, którą wczoraj

rymarz przyniósł i co wisi nad mojem łóżkiem... Taką samą, proszę pana, miałam i u pani hrabiny!
Otoż te wszystkie okoliczności przyszły mi na myśl, gdy wrócił z zarzącemi się węglami Adamek i znów przyklękawszy na podłodze dał z całej siły do picea. Straszno rzeczy, jak ten chłopak przy tej nowej dyscyplinie wszystko na sobie podarł, poniszczył, wyszarzał, że przykro było spojrzeć na takiego oberwafica. Głowa rozczochrana, ręce pewnie nie myte od czasu mego wyjazdu, buty wykrzywione w ten sposób, że pięty były na lewo, a obcasy na prawo, przedstawiały coś pośredniego między kominiarzem a chłopcem od ślusarza. Z surduta i innego ubrania strzępy leciały, a widać sam się brał do reparacyj większych, bo w kilku miejscach białymi nitkami przszyte były okrągłe łąty jaśniejszego lub ciemniejszego chłopskiego sukna.
Nie mogłem dłużej patrzeć na takie czupiradło i jego bezskuteczne dmuchanie, wyprawiłem go zatem z pokoju z poleceniem, aby mi Kwapiszewska kazała co jeść ugotować. Kiedy sobie poszedł, wziąłem się sam do palenia, a uporządkowawszy jakoś polana, miałem tę satysfakcję, że niektóre z nich zaezął obejmować płomień po środku, choć z końców wydobywała się z sykiem piana. Usiadłem, grzeję się przed piecem, a kucharza nic ma; otwieram przeto drzwi od ganku i krzyczę na całe gardło; Walenty, Walenty!
— Zaraz idzie, zaraz — odpowiada mi na to gospodyni, i za chwilą widzę, toczy się ona naprzód z pękiem kluczy, ubrana w nowy fałdzistowatowany szlafrok zielonożółtawego koloru, a za nia drobnym kroczeniem, w białym jak śnieg fartuchu i takiejże bufiastej czapce bez daszka, mój kucharz Walenty.

Nie wiem czy średniowieczny herold którego z cesarzy niemieckich szedł z taką pompa niosąc miecz i berło swego mocarza, jak mój "Walenty z wielkim błyszczącym radiem w jednej, i równie wielkim, jeszcze bardziej migotającym się nożem kuchennym w drugiej ręce.

Spizarnia pańska, jak mówili, mieściła się w dworskim budynku, processya więc miała za cel wydanie z niej czegoś na obiad, o którym byłem przekonany, że dawno już ugotowany.

— Co łaska pana chce mieć na obiad? — zapytała z wdzięcznym uśmiechem Kwapiszewska, poprawiając fałdy nowego szlafroka, gdy biały jak młynarz Walenty zajął skromne miejsce tuż przy drzwiach.

— Co chcecie, to gotujcie, aby tylko prędzej! — mówię, wstrzymując się od śmiechu,

— Możeby sznyczelka, wielmożny panie? — wtrąca chrząkając kucharz, który w mowie swej zawsze stawia! tam i gdzie wypadło z i naodwrot.

— A jestto cielecina? — oponuje gospodyni, zwracając się do niego.

— Myszlaeni.

— Jak to pan Walenty może myśleć, kiedy wie, że oddawna mięsa u nas nie ma, choćby na lekarstwo. Ja, nie chwając się, proszę pana, od czasu wyjazdu państwa, ani razu nic posyłałam do miasta po mięso.

— Więc cóż macie?

Na takie dictum Kwapiszewska obraca się do AValentego i spogląda mu pytająco w oczy, które znów mój skromny kucharz, jak młoda pensyonarka, zatapia na dnie trzymanego ładu.

— No i cóż? — pytam drugi ran — nic nie macie?

— Możeby kluszczyki na mleczku, — wtrąca Walenty, patrząc się na gospodynię.

— Południcjsze już zlałam z rańszem...

— Zwarzy się, wielmożny panie.

— To, zabijcie kure, albo indyczkę, albo co jest, na rosół — mówię już z irytacją.

— Wszystkie siedzą, jak szczęścia pragnę, same nasiadki tylko zostawiłam.

— Pał je lichu, zabić nasiadkę...

— Twarda będzie i chuda — mówi kucharz.

— A czyby też pan miał to sumienie — rzecze mi patetycznie, spoglądając litośniewoczy Kwapiszewska — pozbawiać życia matkę tyłu pisklątek... Już w tych dniach zaczną się wylegać... Wczoraj ostatnie pławiłam... wszystkie się ruszają, jak szczęścia pragnę...

Zniecierpliwiły mnie do reszty te trudności, jakie się nasuwały mojej kuchni w zaspokojeniu coraz dokuczliwszego głodu, który uczuwałcin,

— Moi kochani, tego już zanadto! — odzywam się podniesionym głosem. — To żarty ze mnie, czy m? Jakizto porządek w domu, żeby nic było nic dla pana... A od czegoż wy tu jesteście darmozjady jakieś!

— Darmozjady... — powtarza przerażona Kwapiszewska załamując ręce, a lży jej z oczu jakby na zawołanie kap, kap, że musi szukać chustki w kieszeni nowego szlafroka. — Widzicie Walenty, za moją krwawą pracę, za moje skąpienie, odejmowanie sobie wszystkiego od ust dla dobra pańskiego... No i doczekałam się, że na starość zostałam darmozjadem... Powiedzcie

"Walenty, czy ja nic jadłam z czeladzią... jak szczęścia pragnę, co od nich zostało...

— Wielmożny panie, co od nich zostało — powtarza machinalnie kucharz.

— Nic macie więc nic? — pytam rozdrażniony tą scena.—Xie macie?... no, to idźciez sobie do licha! Walenty, zawołaj mi ekonoma, może jego zona znajdzie tam jaką resztkę z obiadu.

Wyszli w tyra samym porządku, kucharz pochrząkując a Kwapiszewska szukając kieszeni w nowym szlafroku, a za drzwiami coś naradzali się cicho, a skutkiem tej narady wsuwa się już sam Walenty z propozycyi, czy nie zjadłbym jajek na miękko, lub kartofli w mundurach?

— Dajcie, co jest!

Otoż masz służbę dworską — pomyślałem, czując niezwykle burczenie w żołądku. Gospodyni, kucharz, lokaj, białe fartuchy, czapki bufiaste, wielkie ładu, noże, któreniihy woły zabijać można, a jak przyjdzie coś zjeść, aby nie umrzeć z głodu, to i tego niema... Trzeba to porozpędzać do stu katów... Ba!... rozpedźże, kiedy ta Kwapiszewska oko w głowie mojej żony... Dalibóg, one sfiksowały na punkcie skąpstwa... nic tylko oszczędność... Zapasów w spizarni żadnych, bo dwa razy tyle wychodzi tego co jest, a jak nie ma, to się obejdzie... Wędliny niepotrzebne — bo wieprza

lepiej sprzedać a pieniądze użyć na jakie fatalaszki, fioki, szmatki... kur nie można zabijać — bo się niosą; jaj nie można — bo z nich kurczęta; kurcząt nie można — bo z nich kury i tak dalej w kółko... Ciekawym więc, na co trzymać kucharza, który sam dwa razy tyle kosztuje

mnie nie obracając się tyłem chciał go zamknąć, i z jaką potem, niby wypukła płaskorzeźba, przylepił się do nich plecami, pomimo że zapraszałem go aby usiadł na krześle.

Mój Ziemiacyński jestto sobie czterdziestoletni tłuszcioszek, pulchniutki jak kupiec handlujący wędlinami, z twarzą okrągłą koloru pąka rozkwitającej piwonii, z włosami przyszyżonymi ala malcontent, i z dwoma jasnómistrzypami pod nosem, iinitującymi wąsy. Dla respektu przedemną zmusił boki szaraczkowego surduta swego, ze się na ten raz zeszyły ku sobie, choć przeciw temu sterczące już pionowo guziki przy zapięciu głośny protest podnoszą, a na środku uformowało się tyle równoległych zafałdowań, ile było rzędów tych guzików,

— Ko, jakże pan stoisz z siewami? — pytam.

— Żeby tak prawdę wielmożnemu panu powiedzieć a nie zełgać — mówi już weselej, odstając trochę od drzwi — to jakbyśmy zaczęli...

— I cóż zasiano?

— To jest... prawie jakby nic jeszcze... Mamy namłynkowanego grochu korcypięć, garnicy... garnicy... — ciągnie otwierając ową wielką księgę i przekładając karty... — garnicy dwadzieścia trzy... rychtyg...

— Mój panie Ziemiacyński, co ty sobie myślisz?... na groch już wielki czas...

— Bóg strzegł, wielmożny panie, zem nie zasiał, wszystko byłoby na próżnicę. Ot, trzy dni temu, ksiądz proboszcz pospieszył się i zasiał... na to mówiąc, za krzyżem i cóż z tego wynikło? — Lunęło z nieba takim nawalnym sposobem, że wszystek groch, żeby prawdę powiedzieć a nie zełgać, jakby na gołą ziemię wyplukało..

niż to, co my wszyscy przez rok zjemy! Dla ludzi—powiada moja jejmość...—widzisz jak się kto trafi z gości... No, patrzcież państwo, jaka to niedorzeczna próżność ludzka...

Otoż w ten sposób rezonowałem sobie chodząc w futrze po pokoju i od czasu do czasu otłuknjąi; cybuchem syczące polana w piecu, choć w żaden sposób zwęglić się nie chciały, a swoją drogą ani owych jaj, ani tych mundurowych ziemniaków nic widać... Zaciskam zęby i uczę się cierpliwości, prawdziwie anielskiej cierpliwości, choć zona zawsze mi powiada, że jestem raptus. Odwołuję się do waszego świadectwa, czytelnicy, no, powiedzcie sami, gdzie ranie do raptusostwa?

Skracając sobie chwile błęgiego oczekiwania, znowu podchodzę do okna. Przed oficyną pusto — tylko mój Adamek rozłożywszy się jak długi na ziemi i to w kompletnej liberyi, ma niby widelce i noże czyścić, a właściwie przekomarza się z młodym kundyssem, dając mu i wrywając ścierkę użytą do czyszczenia.

Po jakimś czasie, patrząc, z drugiej sieni oficyny wychodzi ekonom z ogromną księgą pod pachą i również ogromnym kałamarzem w rękę, a za nim niby płacząca brzoza postępuje Kwapiszewska. Michałek zobaczywszy ochmistrzynię zaczął energicznie trzeć ścierką po nożu, a ekonom widocznie bardzo zaambarasowany, pogadawszy coś z gospodynią, która zdawała się odradzać mu wyprawę do dworu, ręką z kałamarzem zrobił na piersiach znak krzyża świętego i puścił się wprost ku gankowi.

Nic widziałem nic pociesniejszego w życiu mojem nad tę przestraszoną minę ekonomy, z jaką otworzył drzwi do mego pokoju, z jaką przez uszanowanie dla

— Bardzo dobrze, więc ileż wyszło razem?

— Niestety, wielmożny panie — odpowiada z ciężkim westchnieniem przestępując z nogi na nogę. — Do wczoraj wszystko było w ordynku, szedłem na pole, widziałem, było... ale tej mojej Marynce przyszło do głowy myć one drzwi, i brewiter starła het mokrą ścierką. Jakem zobaczył, proszę wielmożnego pana, to myślałem że będę pękający ze złości; chciałem wytuzować, ale ona buch we drzwi i uciekła, jak zbawienia pragnę, Adamek moje poświadczyć bo widział...

— Wiec trzeba kupić owsa, kiedy tak.

— Łatwo powiedzieć, wielmożny panie kupić... ale czy dostanie dobrego? Żeby prawdę mówiący nic zelgać, jeden zmiesza rychlik z marczakiem, inszy nie młynkując zostawi owsik, albo co gorszem jest, ten czarny groszek jakoby wilk. Jużto, wielmożny panie, nie ma jak swój owies do siewu! Ja praktykujący jestem w tem wszystkim i dzięki Bogu, znający według całego gospodarskiego obrządku...

Zniecierpliwił mnie ten raport do reszty i porwawszy czapkę wybiegłem na dziedziniec z zamiarem udania się na plebanię w nadziei, że panna Karolina da mi co zjeść, bo naprawdę już mi się niedobrze z głodu robiło... Dopadłszy plebani, gdy się znalazł w ciepłutkim i wesołym pokoiku proboszcza, zdawało mi się że jestem w raju.

— Jak się ma kochany ksiądz Józefat! — wołam ściskając staruszka, który w kamizelce tylko i bez sutanny groził tabakierką synowi owego Bocha, stojącego z pokorną miną przy drzwiach.

— Witam pana kolatora dobrodzieja, witam... —

— A owsa nic?

— Rychliku nie mamy, bo wiadomo wielmożnemu panu, odstawiło go się do powiatu, a na marczak jeszcze dość czasu, i na to mówiąc, nie wiele go tam jest...

— A gdzie się podział?.., przecież zebraliśmy coś czterysta kóp?

— Jakie to były kopy, proszę wielmożnego pana; inszy snopek to i garnca nie dał... Tłukło go się też cepami przez całą zimę; a co się utłukło, to ten wziął, tamten wziął dla koni... Kwapiszewska też dla gęsi co siedzą.

— Któż to jest ten i ów?

— Nie wie to wielmożny pan, jako i nasi wołali i wojsko wołało...

— "Więc ileż oni mogli wziąć, proszę mi pokazać rachunek?"

— Żeby tak wielmożnemu panu, prawdę powiedzieć a nie zelgać, to tego się nie pisało... — mówi kręcąc się niespokojnie przy drzwiach. — Rejestra, jak wiadomo wielmożnemu panu są pieczętowane od fajrkasy i już całe zapisane... a owies co się wydaje kapaniną, to furt zabrał wszystkie kartki w księdze i zmuszony był od tatarskiej stronicy pożyczyć i do prosa się naparł...

— Mój panie Zimniaczyński, dalekoby lepiej było, żeby się był tak nio napierał a został w szpichlerzu, ale bądź co bądź, zawsze trzeba było gdzieś notować.

— A jakże, wielmożny panie, notowało się, leguralnie każdy garczyk na drzwiach pisałem kredą święconą. Jak przyszło osiem kresiek, maże się, i daje się kółko, niby ćwierć; a jak cztery kółka, to się je spuszcza niżej, jakoby w znak krzyża świętego czyli korca.

na odpust, który się raz na rok na świętego Stanisława odprawia. 'A (ej przyczyny nigdy jej nie można zastać ubraną, bo stojąc przy kuchni, zawsze jej gorąco. I teraz że była w negliżu, to zobaczywszy mię wchodzącego, rzuciła wszystko, i myk do swego pokoiku; mogłem więc tylko przez drzwi prosić ją o tę kawę...

Wracam do proboszcza, Boch już wyszedł, ale stary jeszcze nic może się uspokoić.

— No i cóż tam u księdza dobrodzieja słyhać?..

— Dzięki Bogu, wszystko dobrze... tylko z tym grochem mam biedę... Słoneczko, widzi pan kolator, świeciło tak ładnie, rola obeschła, ja, panie dobrodzieju, pluzek na polo, woły jakoś nie lgną, skrajało się też bardzo ładnie. Na drugi dzień patrzę, ziemia się kruszy a panna Karolina powiada: „siał!”

— Niech też ksiądz brat napróżno nie zmawia na mnie — odzywa się wchodząc na to siostra proboszcza w perkalowym, suto ugarniowanym kaftaniku, a za nią służąca z ogromną szklanicą kawy i całym talerzem różnego rodzaju przysmaków. — Jak tylko co źle, to zaraz ksiądz brat na mnie, że ja radziłam...
— A bo prawda, pani siostra radziłaś. Siąc, siać... gruch najlepiej prosto v. kry... i zasiałem... Nie przymierzając było jakoby teraz po południu, wyjdzie sobie chmureczka od Jaworzna...
— Nie od Jaworzna, bo od Roguszyna... niechże też pan kolator, będzie łaskaw... Nic będzie to taka jak w domu, bo tam u państwa kawa jest pewnie z Moka, a ja kupuję od Szmulowój, i padam panu kolatorowi, taka zieloniutka jak szmaragd...

powtarza staruszek nie patrząc na mnie, a wciąż kiwając tabakierką Rochowi.

— Ty, ty, ty farmazonie jakiś... ty, ty, ty szkodniku jakiś; nic wypuszczę, ani za trzy złote nie wypuszczę jałówki. Ledwie że słonko osuszyło trochę oziminy, już bydło icli musi być w szkodzie...

— Księżę proboszczu dobrodzieju—przerwywam— nie ma tam co zjeść u proboszcza? AVróciłem głodny z drogi, a u mnie w domu pustki...

— Będzie, panie kolatorze, będzie... No i wystawić sobie, proszę acana dobrodzieja, cała gromada bydła na ozimynie... Dla ciebie ja to sieję... ty jakiś... dla krów twoich?

— Bydlę głupie jak bydlę, proszę jegomości—wylazło z obory... — tłumaczy się kłaniając rholpek.

— Nie gadaj mi darmo, farmazonie i heretyku jakiś, wasze krowy mądrzejsze od całej wsi... To oni już, panie kolatorze, tak je wyuczili na cudze szkody... a to grzech, Panie święty, a to nie trzeba mieć sumienia... Ale prawda, bo to jest u was jakie sumienie, he? Ozy to jeden albo drugi przyjdzie do Świętej spowiedzi?... Cóż wy, żydzi, albo co? czy jeszcze gorsi od żydów, boć żyd uczciwy to w szabas mamroczy tam po swojemu...

Widzę że proboszcz tak się zagniewał na owego chłopca, że ani mu gadaj o jedzeniu, więc idę sam do panny Karoliny i proszę choćby o szklankę kawy...

Ta panna Karolina, siostra rodzona proboszcza, jestto sobie osoba dobrej tuszy, wysoka, rzeźka jeszcze, choć o parę lat tylko młodsza od księdza brata. Całe jej zajęcie jest kuchnia i preparowanie różnych przysmaków pieczonych, suszonych, smażonych — a to wszystko

A. Wilczyński. Tom XII.

— Uważasz, wałkiem, mości dobrodzieju, tu ru ru tu ru ru... i cała sprawa za godzinę skończona.

— Jakim wałkiem, co? — pyta zdziwiona.

— Cóż będę łopatą kładł w głowę... Uważasz, walcem ze dworu w jednego konika, mości dobrodzieju, tak. po lekkiej ziemi... i na co chłopaków!...

Kiedy nasz proboszcz zajęty był jaką sprawą, a wszystkim zajmował się żywo — nie słuchał i nie rozumiał nikogo, ale wciąż mówił swoje i niecierpliwił się, jeżeli po wypowiedzeniu pół myśli, ktoś go nie rozumiał. Toż samo było i teraz z owym grochem; dopiero jak się uspokoił obietnicą moją walcowania, przyszedł z myślami swojemi do porządku i wysłuchał moich narzekania o braku owsa do siewu.

— Panie dobrodzieju, ten w Bolechowicach ma doskonały owies... ja znam ten owies z dawien dawna, jeszcze jak byłem tam na wikaryacie, siali toż samo ziarno i pewnie sieją.

— Ależ to już tyle lat, jak ksiądz proboszcz był tam wikaryuszem...

— Eh, nie tak dawno, poczekajże kolator dobrodzieju, w roku, w roku]...

— Bagatela! — blisko pięćdziesiąt lat... a ileżto tam dziedziców było od tego czasu?..

— Eh, nie, nie, ten majątek zawsze w tych samych rękach... Uważa pan kolator, to jeszcze nieboszczyk pan Bujno sprowadził go z Węgier...

— A dzisiejszy dziedzic, którego właśnie poznałem w Siedlcach, to z tój amej familii? — pytam proboszcza, aby podtrzymać jakąś rozmowę ze starym.

— Musi być z tej. Ja tu panu kolatorowi, zaraz wszystko po porządku opowiem, i o tym owsie powiem

— Et, co tam pani siostra przerywa...—mówi proboszcz machając ręką i chustką od nosa —wychodzi sobie od Jaworzna,...

— Ale od Roguszyna, księżu bracie...

— No, niech będzie i od Roguszyna, ale wychodzi, i raptem mini! a potem jak lunie... i mój groch cały na wierzchu. Co tu robić, mości dobrodzieju; myślę sobie, czyby siać drugi raz, ale jak tu utrafić... Organista powiada: proszę jegomości, przeorać, bo to widzi pan kolator, tak sklepało...

— No, proboszczu kochany — odzywam się podziękowawszy siostrze za śniadanie — kiedym, dzięki Bogu, zaspokoi! trochę mój głód, słucham o tym grochu, a może co poradzę...

— Ja, mości dobrodzieju, już sobie poradziłem — odzywa się z tryumfem — zamówiłem chłopaczków ze wsi, dałem im po trzy grosze i kijek w rękę, i każde ziarneczko, mówię, dziateczki wetknąć, wetknąć... Powiadam panu kolatorowi, robota idzie galanto!

— Ależ to kosztowne i długo czasu potrzeba...

— Prawda, już drugi dzień wtykają... ja sam pilnuję i ledwo ćwierć morga, a gołąbki, mości dobrodzieju, jak się zwiedziły, to ani ich odpędzić.

— Otoż jutro rano poszlę proboszczowi parę koni z walcem, przejedzie raz, drugi i wtłoczy ziarnka...

— Acb, zbawco! — zawoła ksiądz ściskając mię uradowany... — Prawda, patrzcież państwo, jak to mnie na myśl nie przyszło... Panno Karolino — woła pukając we drzwi—pani siostro...

Pani siostra pokazała się we drzwiach, a ksiądz Józefat do niej:

trzeba, no i karawan jakiś ubrać. A tu, mości dobrodzieju, śnieg, błoto, szaruga, że ciężko psa wypędzić. Ja,mości dobrodzieju,miałem tęgie buty, tak, zcholewami dotąd... Ja, widzi pan kolator, zawsze sobie w mieście dobrałem rzemienia sam, kazałem w domu uszyć,, pęcherz, mości dobrodzieju, w środek i idę... a dziekan cłmdziatko... dryp, dryp... ale widzę kurzy się...

— Nie mogliście to jechać?

— Ba jedźzo, kolator dobrodzieju, jak nie ma na czem. Dziekan wiał śliczne koniki, siwTe, jabłkowate, ale to mówie ogień nie konie i to, mości dobrodzieju, paradyjcry, kropla wody na nichby się nie utrzymała. Ale zachciało mu się ładnych cbomoutek i że to był gospodarz oszczędny, więc skóry sobio kupił w mieście od żydów, bo, powiada, taniej... w domu to chłopcy wykręcili i rymarz coś od samych świąt Bożego Narodzenia robił na plebanii. Chomonta wyszły z tego galante, kowal Onufry ukuł wędzidła... A co to był za kowal, mości dobrodzieju!... Dzisiaj takich ze świecą nie znajdziesz... Tylko tę fuzyjkę lubił, oj lubił... A strzelało lichu doskonale, już jak się zmierzy do jaskółki, o zakład bach i spadnie... Raz, mości dobrodzieju, zachciało mu się bociana, a w Bolechowie to jest królestwo bocianie, nie ma chałupy, żebynie było bocianiego gniazda... a jak na Matkę Bozką przyjdzie odlatywać, to tam sejm prawdziwy, ł widzi, kolator dobrodzieju, że to jest mściwe ptastwo; przyniosły mu główienkę z ogniem na dach, i chałupina poszła z dymem, i stożek siana, co stał blisko poszedł, a żeby nie gruszka obok, to i kuźnia byłaby poszła... Mój Onufry trochę i zaczął pić potem, a jak się nasi ruszyli w trzydziestym pierwszym, złapał fuzyjkę i marsz do wojska. Mówiłem temu

jak to było... Te Bujny, uważa pan kolator, to nio ci Bujnowie, co byli za moich czasów... Tamto, mości dobrodzieju, panowie cała gębą... Pamiętam jak umarła nieboszczka kasztelanowa, niech tam z Bogiem spoczywa, bo to była zacności pani...

— Hal — przerywam — więc to ród kasztelański...

— Ale zaraz, mości dobrodzieju... Ja byłem wtedy wikaryuszem w Bolechowie, a syn jej pan Józef przyjeżdża do dziekana; chudziątko takie było zmartwione, że aż strach patrzeć, bo to nieboszczka chorowała długo na raka, mości dobrodzieju. A pan Józef Bujno, to był taki personat, ho! gdzie, tęszy od pana kolatora, ..

— Mówił proboszcz, że chudziątko...

— Eh, to tak się mówi... ale mości dobrodzieju, jak nawali chłopą, ho to widzisz, kolator, wtedy to wszystko było wolno, to najęszy we wsi jak był ten kowal Onufry, pac na ziemię! Mówiłem nieraz, ej, jasnie wielmożny kolatorze, ostrożnie, bo i to bozkie stworzenie, ale to, mości dobrodzieju, gorączka straszny i impetyk, no i skończył źle, bo wzięła go apopleksya... Ja mu to przepowiadałem.

— A cóż ta pani Bujno jak umarła...

— Zaraz, zaraz... On do dziekana, zlituj się dziekanie, trzeba ciało przeprowadzić z Grabówki do Bolechowa, bo mają swoje groby pod kościołem. Dobrze, synku, powiada dziekan, bo miał takie przysłowie: synku; i mnie wołają... Rzeknie on, pan Józef, niczego nie żałować, zaprosić choćby ze dwudziestu księży... Dobrze synku, dobrze, listy się rozpiszą, bo to i światła

daj pokój, gdzie tobie... żona, dzieci... ale to nadciągali od Warszawy... pod Iganiami szło gorąco, a tu na Kostrzyniu mostu nie ma. Pan Zamojski wola drzewa, generał Chrzanowski eos* także wota... słyszę postrykali się... rwetes... Wozić drzewo z Boimskiego lasu, wożąc; tymczasem Rożen pod Siedlcami nie daje się... Onufry sztuka gorąca, Kostrzyn wpływ i dostał kulka...

— Ale cóż z tym pogrzebem pani Bujnowej... cóż dziekan?

— Mówiłem przecię, jak ubrał owe konie w chomonta nowe, a to jak raz jechaliśmy na Michała do Wierzbna... naraz koło Kałuszyna naręczny coś się wierci, wierci i chrapie... mówie wyprądz... wyprądz. A dziekan batem go... a koń, mości dobrodzieju, kaput i wyciągnął kopyta... Dziekan, chudziątko, to aż płakał, rób co chcesz, a drugi także się kładzie i równie kaput... Ja tu, mości dobrodzieju, jechałem z kazaniem, co tu robić?... Szczęście, że nastęczył się jakiś gospodarz ze wsi, dałem znać, i widzi pan kolator, tak się z temi konikami skończyło. JNio trzeba nigdy skóry kupować gdziebądź; bo to zarazę przynosi, ale po świadomemu, lepiej dać parę złotych więcej.

Nie wiem, czy zrozumieli co czytelnicy z tych opowiadań proboszcza, jakkolwiek powtórzyłem je z całą dokładnością; ja tylko wiem, że słuchałem jeszcze dwie godziny dalszego ciągu, a ledwie z ciałem nieboszczki Bujnowej doszliśmy do miasteczka Stoczek, gdzie burmistrz nio chciał przepuścić konduktu przez miasto. I na owym Stoczku przerwał nam ów Boch, który przyniósł pieniądze za wyzwolenie z aresztu jałówki — musiał więc proboszcz zaprzestać opowieści, bo wzięwszy klucze od kościoła, zaprowadził tam Bocha, pieniądze

kazał wrzucić do skarbonki na światło a jego wysłuchał pacierza.

Kiedy wrócił, naturalnie nie wszczynałem rozmowy o Bolechowie, ani o owsie, ale za to opowiedziałem moją przygodę z Kleinsztikiem.

— A to szalbierz, niewiara, poganin! — krzyczał stary z gniewu tupiąc nogami, a tabaką sypał po pokoju, bo czem więcej był zirytowany, tem więcej zanurzał palce w tabakierkę, i zasypywał wszystko koło siebie, najwięcej zaś fałdy kamizelki.

— Teraz kocliany proboszczu, trzeba jechać do żydów i pożyczać i prosić się, ho to kobiety podawały zadatki na różne sprawunki i nic mogą wyjechać z Warszawy. Inaczej przepadłoby kilkaset rubli.

— Oj, chudziaczki moje, chudziaczki... musiało to się zmartwić...

— Naturalnie, proboszczu i ja się zgryzłem, bo już nic chodzi mi o stratę, ale wstyd, żeby też się dać w ten sposób wprowadzić w pole... Maciej także pojechał ich szukać...

— Eh, panie kolatorze, on mi coś na sowizdrzała patrzy... Chudziny moje niebogi... powiada pan kolator, że się pomartwiły?

— I jak jeszcze, zona mi pisała, że sypiać nio może.

— No, proszę! Nie sypiają... mości dobrodzieju, panno Karolino! — woła doniosłym głosem uchylając drzwi od drugiego pokoju...

— Cóż jegomość tak krzyczysz!.., Padam panu kolatorowi, nie moge znieść takiego wrzasku, i zaraz mi serce, padam panu, buch, buch...

— Teraz nic modne takie obicia, najwięcej w pasy....

— Padam panu, za moich czasów wszystko było krzyżową robotą w różne esyforesy, a czasem, padam panu, pasterz przygrywał na fujarce pasterce... Trzewiki, to znowu byty na wysokich korkach z drzewa; ja padam panu, nigdy nie mogłam ustać na tém; teraz znowu ta moda wraca, ale ja zawsze po swojemu noszę. Robi nam Szymon kulawy, ten co mieszka u Wójcika...

— Tak — odpowiadam z grzeczności szanownej gospodyni, która widocznie postanowiła bawić mię rozmową podczas zajęcia proboszcza — muszę i ja kiedy kazać mu zrobić dla siebie,..

— On panu kolatorowi nie potrafi...

— Dlaczego?

— Bo pan kolator ma zagraniczną nogę...

— Jako zagraniczną?

— Wąziutka a długa, ja, padam panu, znam się na tem, padam panu, widziałam raz księcia jednego aż z Anglii, co się nazywał... bodajże cię, jak go zwali... Kumberland, rychtyk, Kumberland...

— Niechno pan kolator będzie łaskaw sam sohie porachuje — odzywa się naraz ksiądz Józefat podając mi paczkę banknotów... Nie zwracajno głowy panu...

— A to zkąd sobie? — pytam zdziwiony,..

— Eh! co tam gadać, mości dobrodzieju, organy jeszcze mogą poczekać... Dogiem a prawdą ten Bielecki toby i nie zagrał na nowych... może i będzie tu z tysiąc...

— !ł —

— Przynieśuo uri usani organy...

— W Imig Ojca i Syna — rzeczce romae wielkie oczy siostra — co brat mówi?

To wszystko jedno... organy czy na organy — mówi ksiądz gniewając się, że go nie rozumie. I coś jej szepnął, czegom nie dosłyszał.

Panna Karolina zniknęła, i za chwilę wraca niosąc w jednej ręce pęk kluczy, a w drugiej dość spory tobolek z kraciasto czerwonej chustki nakrzyż zawiązanej, który położyła na stole.

Proboszcz zaczął rozwiązywać węzełki, ale jakoś nio szła mu gładko robota, bo widzę, znów syczy obracając się do siostry.

— Odwiążze, kiedyś tak, uiości dobrodzieju, jak na śmierć zawiązała... Co za moda! Już te kobiety jak co zrobią to zrobią...

Panna Karolina odwiązawszy chustkę usiadła na krześle bawiąc się kluczykami, a proboszcz wysypał na stół gromadę różnego rodzaju pomieszanych i zmiętych biletów bankowych, razem z srebrnymi sztukami rubli i z kilku dukatami w złocie... trudnością zaczął prostować papierki składając jedne na drugich, a ruble srebrne w rulony po dziesięć.

— Niechże też pan dziedzic usiedzie na tem krzeselku — mówi Karolina przysuwając mi wyścielony, duży, biało lakierowany fotel, widocznie kiedyś do kościoła używany.

— Mnie i tu dobrze...

—* Padam panu, ja nie mogę siedzieć na takim krześle, a pan kolator, to pewnie jeszcze mniej, bo tam w Warszawie mają wszystkie meble na sprężynach i to pewnie krzyżową robotą pokrowce.

— "Więc proboszcz chce mi pożyczyć te pieniądze, czy co?"

— No, a jakże? — przecież trzeba im posłać do Warszawy...

— Proboszczu kochany, ja sobie gdzieindziej dostanę — mówię rozrzewniony, oddając mu paczkę z pieniędzmi.

— A co też pan kolator najlepszego robi — odzywa się wstając Karolina — gdzież znowu do żydów... padam panu, o mało tego już raz nie okradli... ksiądz brat powiada zamknij...

— Co tam asani będziesz historię jakieś wywodzić! — zaczyna stary — powiedział zamknij to zamknij, cóż tu ciekawego... jejmość tobyś tylko chciała gadać i gadać... Niechno pan kolator porachuje.

Ksiądz ułożył wszystkie gatunki banknotów razem, więc zanim je uporządkowałem i przeliczyłem, brat v. siostrą mieli dość czasu pogniewać się na seryo o owe nudzenie gości długim gadaniem, tak, że nim skończyłem, panna Karolina zadana wyszła do siebie...

— Tu jest przeszło dwa tysiące rubli, dwa tysiące dwieście trzydzieści...

— Dobrze, dobrze, niech pan kolator weźmie to wszystko... Co mi to po tem; panna Karolina to takie roztrzępane dziewczynisko, jeszcze zapomni kiedy zamknąć drzwi szafy i weźmie kto, bo o złych ludzi teraz nic trudno...

— A kiedyż to mam oddać? Jeżeli już proboszcz tak łaskaw ratuje mię, toć trzeba i jakiś procent oznaczyć, i napisać rewers...

— Na co to, na co?... każdy przecież ma sumienie... To organy, mości dobrodzieju.

— Ja inaczej nie wezmę—mówię kładąc pieniądze na stole.

— To napisz, panie kolatorze, kiedy już tak koniecznie...

Siadłem do stolika i zacząłem pisać rewers dyktując sobie głośno:

— „Winien jestem prostym długiem księdzu...

— Broń Banie Boże, żadnemu księdzu... organom, mości dobrodzieju...

— Ależ organy to nie osoba...

— Proszę napisać: „Organom parafialnym w Polance."

Nie mogłem się sprzeczać, bo stary coraz częściej zaglądał do tabakierki, zasypując mi pismo tabaką, zrobiłem zatem jak chciał.

— A procent?

— Cóżto ja żyd, czy co?

— No, przecie...

— Nic trzeba żadnych procentów, jeżeli łaska pana kolatora, to mi tam pozwoli wygrzebać kilka pieńków z lasu na łuczywo do kuchni... Nafta to dużo kosztuje i mości dobrodzieju, cuchnie... a tak przy łuczywie jakoś raźniej.

— Mój księżo proboszczu, czy ja kiedy bronię pieńków...

— To też mam zapas, mam; ale to wyjdzie tego dosyć przez zimę, a trzeba na drugi rok... te dziewczyska zawsze sypią tego na komin, jakby to było proste drzewo... wołam, upominam... a to nic!

Tak więc niespodzianie, jakby łaska Pana Boga spadła na mnie ta pożyczka, której się nic spodziewałem. Znałem księdza od dawna, ale ani myślałem, żeby

on ruiął jaki zapas, bo to i parafijka nio wielka, i starowina nie był wymagającym; co mu kto dał, to wziął nicoglądając.
— Panie kolatorze dobrodzieju — powiedział mi na odchodnem — tylko też z tym wałeczkiem żeby rano wyjechali, póki rosa, mości dobrodzieju, bo te gołąbki organisty tak się znęciły...
— Dobrze, dobrze, rychło Świt...
— A tym chudziaczkom niecli pan kolator napisze, żeby się nic gryzły... bo co te niebogi winne... A spać niech idą przed jedenastą... po jedenastej to sen już nie taki...
Daleko lżej i z inném usposobieniem wracałem teraz do domu: raz, że nie byłem głodny, co wiadomo ile wpływa na humor; powtóre miałem w kieszeni potrzebną sumę na opędzenie gwałtownych wydatków, co uwalniało od nieprzyjemnych stosunków z żydami. AV mieszkaniu też zrobiono jaki taki porządek, atmosfera się ociepliła, a ledwie drzwi za sobą zamknął, pojawiła się Kwapiszewska z tacą w ręku, na której ustawiona była jeszcze większa szklanka kawy i dwa razy tyle podobnych obwarzaneczków niż podano mi na plebanii.
— Dziękuję pani, już piłem—odzywam się do suwającej noga za nogą z tą tacą gospodyni.
— Ale niechże też pan nie robi mi tego wstydu i wypije — mówi stawiając tacę na stole. — Moja kawa jeszcze lepsza będzie niż u panny Karoliny, bo oni tam

biorą paloną marchew zamiast cy kory i, jak szczęścia pragnę, ja wiem, ie pół na pół mieszają z kawą. I obwarzanki świeżutkie, dopiero Walenty upiekł, ptasio we, nie takie kamienie jak u niej... Bo proszę pana, czy bez drożdży może być co dobrego?—Tylko takie strusie żołądki jak ich na plebanii, mogą to rzeczy strawić, jak szczęścia...
— Dobrze, dobrze—mówię—zostaw pani, a tymczasem proszę mi kazać zawołać pachciarza, i powiedziec Franciszkowi, że jutro pojedzie do Warszawy po panie...
Mordko, typowy pachciarz polski, brudny, rozczochrany, pokorny, w długim chałacie pasem przewiązanym, w aksamitnej zapierzonej jarmułce, stawił się na wezwanie ocierając z hałasem buty w przedpokoju...
— Mój Mordko — odzywam się do niego — pojedziesz jutro z Franciszkiem do Warszawy, na twoją opiekę oddaje wszystko...
— Nie chwając się, mówi z pocieszny grymasem poprawiając jarmułkę — czy jaśnie pan narzekał kiedy na Mordka, czy Mordko nie zrobił, jak pan chce?...
— Dam ci parę tysięcy rubli dla pani...
Żyd zrobił ogromnie zdziwioną minę, widocznie nie mógł pojąć, z kąd ja moge mieć, aż parę tysięcy rubli, o których on nie wie.
— Czy mam jechać jeszcze do miasta do Feiwelka?
— Po co?
— Przepraszam jaśnie pana, ja miszlałem, co się od niego weźmie, ja zamówiłem u niego, on od tygodnia trzyma dla jaśnie pana...

— Nic potrzeba... tylko, proszę cię, schowaj dobrze, żebyś czasem nic zgubił...
— Tego mi nie potrzeba mówić, jaśnie pan wie, co u Mordka jak w kasie żelaznej; Mordko, dziękować Bogu, nie chodzi po niemiecku jak ten z Warszawy i nie zna bogatych panów z Rosyi... Jaśnie pan krył przedemną, a co? Taki człowiek, co żadnych religiów nie utrzymuje, to gorsze jest od cygana... On tak dużo nałapał panów, mnie mówili, że i pan z Bolechowa i ze Zdrojówki jeździli do Siedlec... Niech jaśnie pan powie, czy który z naszych iakby zrobił?
— No, no... stało się; nie ma co gadać; człowiek do śmierci rozumu się uczy; pamiętajc paniom w drodze służyć, żeby jakiego przypadku nie było, raniutko przyjdiesz po list i pieniądze...
Żyd się uklonił z zamiarem wyjścia, lecz za drzwiami przypomniał sobie jeszcze coś, bo patrzę, wraca.
— A niech jaśnie pan wypije tę kawę, pani Kwapiszewska to tak jest umartwione, co ledwie żyje, a to jest bardzo porządne gospodynie, jak ona dba o pańskie dobro, to aj waj...
— Dobrze, dobrze...

— Z przeproszeniem jaśnie pana, jabym prosił, coby mojego konia wzięli do pańskie stajnie, jak ja pojedę... Kto jemu da jeść, moja Ruchla to nie jest do koni.
— Dobrze, powiem ekonomowi...

Trzeciego dnia pod wieczór, stałem przy oknie, gdy moja czwórka kasztanków wysunęła się z lasu. Chwała Bogu, wracają—pomyślałem uradowany... Ale czego ten Franciszek tak pędzi?... Co to jest ta natura stangrecka, aby się popisywać z paradowaniem... Koniska zrobiły osiem mil drogi a powóz obładowany... Czego się tu śpieszyć!... Nareszcie wyteżywszy ostatecznie siły, przed samą bramą pan Franciszek jak huknie raz i drugi z bata, to aż czapkę zmiótł z głowy obok siedzącemu Kordkowi, a ludzie powychodzili przed chałupy przypatrzeć się temu widowisku. Z szykiem powóz zatoczył się przed ganek, dzieci wysadzają główki klaskając w ręce, a zona wita mię słodkim uśmiechem.

— Nie pytaj nic o Macieja!—szepnęła mi do ucha kiedym ją wysadzał.

— Co się stało, czy nie żyje?

— Cicho... potem ci powiem.

Wysadziwszy dzieci i żonę, biorę się do Linci... Panio Boże odpuść, co się z tej dziewczyny zrobiło! Twarz jej, zawinięta jedną chustką wzdłuż, drugą wpopdłuż, przedstawiała z obu stron różową, wydetą bombę. Migrena, fluksya, ból zębów, mdłości i wszystko, wszystko, co na biedną dziewczynę zwalić się może, dokuczało jej naraz... Oparłszy rękę na mojm ramieniu wziąłem ją wpół i zaniósłem do pokoju... A tak była rozstrojoną, że mówić nie mogła, a materacyki z wonneuii ziołami wyglądające z pod chustek, o mało mię aromatem swym nie zadusiły. Kiedy już ułożono ją w łóżku i rozpakowano tłumoki, zaprowadziła mię zona do sypialnego pokoju, a zamknąwszy drzwi za sobą mówi tajemniczo:

— "Wiesz, z Maciejem wszystko zerwane!

— A to dlaczego?

— Mówię ci, gbur, impertynent w ostatnim stopniu... Wystaw sobie, kiedy wrócił z Siedlec, zamiast przyjść do nas, przywitać się, jak ludzie dobrze wychowani robią, zamknął się w swoim pokoju i hałasował, stukał pakując różne rzeczy do podróży... Czekamy z herbatą, nie przychodzi; posyłam zapytać się, czy nie chory, powiada, że jest zdrów, ale natychmiast wyjeżdża. Spojrzę na Michalinę, łyż się jej w oczach kręca, naraz słyszymy zajeżdża dorożka i wynoszą jego pakunki... Lincia nie mogła już wytrzymać i wybiega do sieni.

— Panie Macieju, panie Macieju!—woła na niego, gdy już był na schodach...

— Bardzo przepraszam panią—odzywa się z dołu—ale obowiązek publiczny przedewszystkiem... Spieszę na kolej, gonię oszustów... Upadam do nóg pani! JNo, i cóż ty nu to?

— Nic, tylko fiksat, wziął na ambit tego żyda, który nas w pole wyprowadził, i pojechał go szukać... Ja go znam, jest zawzięty jak kozioł...

— Lincia wróciła do pokoju i w płacz, dostała bólu głowy, dostała ataku nerwowego, a widać i zaziębiła się, bo w nocy ból zębów, fluksya, dreszcze, aż musiałam wezwać doktora...

— Biedna dziewczyna... a ostrzegalem...

— Mój drogi, któż się mógł tego spodziewać! — rzecze ze smutną miną Lucyna—taki się zdawał stateczny... kochający...

— Może wróci jeszcze i pogodzą się.

— A nie, nie, broń Panie Boże, Lincia ani cbcó

A. Wilczysk". Tom XLI. "i

słyszeć o nim... Dziękuję uniżenie za takiego meza... to tyran!

— No i widzisz—mówię po chwili z pewnym wyrzutem—potrzebne były te wszystkie awantury, to sprawunki, te wyciągania mię na koszt?... Na cóż się zdała ta wasza wyprawa?...

— Mój kochany, a któż temu winien jak nie ty?

— Ja? — krzyknę odskakując parę kroków — co, ja?

— Tylko się nie unos. mój drogi, ty zaraz jak ogień, huru, buru...

— Ależ bo to nie do zniesienia...

— Przepraszam—mówi Lucynka z przyciskiem— kto tu zaprosił Macieja?...

— Ja, ale go wziętem do mierzenia pól, a nie do serca Linci...

— Mój drogi, nie gorączkuj się... Auguście, posłuchaj tylko cierpliwie. Kto pozwolił na to małżeństwo, nie ty?

— Ja, aleście wszyscy żądali, prosili, radzili... A to dobrze! Dziś na mnie winę składać...

— Ty jesteś mężczyzna, pan domu i opiekun Linci, powinieneś być nie słuchać nikogo i nie pozwolić... Zresztą nic wielkiego się nie stało. Wyprawa się nie zepsuje, trafi jej się kto inny... a nawet powiem ci, twój brat Ksawery coś zanadto był grzecznym dla niej... W teatrze to jej podawał futro, szalem troskliwie otulał... a wczoraj na wyjeździe zopowiedział, że przyjedzie na cały czerwiec... Wspomnisz moje słowo, że z tego coś będzie. A przynasz sam, ten co innego...

Nie odpowiedziałem nic na to i chodziłem zaciskając zęby, ho znam siebie i wiem, że gotówem wybuchnąć

i powiedzieć więcej niżby się chciało. W takich razach lepiej zamilczeć, wszystko zgryźć w sobie, zgryźć, a na przyszłość położyć to sobie za regułę, że niezawsze dobrze jest ustępować kobietom, skoro one same to ustępstwo poczytują za winę.

Wiem, że czeka mię jeszcze niemało kłopotów z tą Lincią; wiem że i Maciej, jak odszuka Kieinsztika to wróci, że będą płacze, przeprosiny, choć o ile znam siostrę mojej żony, jest upartą i ambitną jak wszystkie blondynki, i nie da się przeprosić. Na Ksawerego nie liczę, bo safandula i desperat... gdzieby on się zdecydował na ożenienie... Ale moja Lucynka jest niestrudzona na punkcie swatania, będą historię... Ha! — niech robią co chcą, tylko już, panie dobrodzieju, posagu tak prędko nie dam!... Procent—zgoda... z góry to każdemu powiem i rzecz skończona.

No, moi państwo i nie szkodało moich owiec! Byłbym za te pieniądze kupił najmniej trzysta, i z wełny cośby kapnęło i nawozuby przybyło, a tak co?—leżą wam w komodach stopy bielizny, suknie i srebra i różne iatałaszki... Nie, panie dobrodzieju, nic — miłość z gospodarstwem nie może się pogodzić. W mieście pozwalałam, ludzie mają na to czas, i owiec nic potrzebują kupować, ale kto na wsi te konkury i gruchania i kochania wymyślił, to dalibóg, nie wiele miał rozumu.

MIEJSKI GOŚĆ NA WSI

Od drugiej połowy maja, dopiero szlachcic na wsi trochę może odetchnąć i przypatrzeć się wiośnie, notabene jeżeli się urodzaj na polu jakotako przedstawia. Mówię jakotako, bo prawdę powiedziawszy, gdzie tam kiedy gospodarzowi wszystko dopisze; rzadko lata, żeby czegoś nie wypaliło albo nie wy mroziło, żeby trawa rosła jak się należy, żeby się chwasty albo miotła nie rzuciły do pszenicy, a w ogrodzie nic pokazała szkoda od robactwa i zajęcy...

Co tu długo mówić: nędzny jest żywot obywatela na wsi i basta! Urzędnikowi naprzykład, jak mojemu bratu stryjecznemu Ksaweremu, rzecz inna: przyjdzie pierwszy, pensje mu wypłaca, i co mu znaczy posucha albo mokość, grad albo pożar, sekwestracja o podatki, albo Majorek wołający o pszenicę, której niema? I nie napracuje się tak jak ostatni koń wozivody, bo dalibóg, my na wsi nic innego nie jesteśmy, jak tylko schudzone szkapy, któremi wszyscy, mości dobrodzieju, wożą dla siebie wodę!

Czy taki, proszę państwa, urzędnik, albo kupiec, albo kapitalista, wie, co to są kłopoty gospodarskie, co sa parobcy, majstry i najemnicy? Wylega się to wszy

stko w łóżku do dziesiątej, je, pije, baluje, gra W preferansa, a jak zawołają o podatki albo o szarwark, to do szlachcica jak w dym, panie drogi. Nic, tylko do tej ziemi krwawym potem naszym polanej, za którą człek grube pieniądze zapłacił, i na której od świtu do nocy haruje nieprzyuderzając jak pios ostatni, a nie ma z tego żadnego profitu, bo wszystko gdzieś płynie i płynie jak woda. A jak przyjdzie rok, eh! gdzie tam roku czekać, na dwa miesiące przed śtym Janem, już, panie dobrodzieju, oglądają się za żydowską brodą, żeby dał na nową pszenicę, bo końca z końcem nigdy nie zwiążesz!

Oto jak i tera, byłem w Warszawie i stałem u Ksawerco, to widzę temu człowiekowi tylko ptasiego mleka nic dostaje. Idzie sobie o dziesiątej do biura, poskrybie tam troche, poskrybie, przeczyta gazety, pozbiera nowinki od takich jak sam pracowników, a gdy się o drugiej zejdziemy w traktyerni na obiad, to powiada:

— Niech licho weźmie, jak się dziś spracowałem!

Niejestem żaden gorączka, bo znacie mię już trochę państwo z dawniejszych spraw moich z siostrą mojej żony, ale jak słyszę takie gadanie tego wymokłego fanfaronu, to nie wiedzieć co się ze mną dzieje.

— Ty się spracowałeś, ty? — krzyknę do niego przez zęby; i żeby to nie między ludźmi, tobym go szturknął ze złości, bo obrzydzenie mam do wszelkiego samochwalstwa.

— Co ty wiesz — odpowiada mi przyczესując sobie faworyty. — Czy ty masz wyobrażenie o pracy urzędnika rachunkowego? Jabym cię zasadził tylko na dwie godziny przed fascykulem takiego podłego rachunku jak naprzykład transportu włóczęgów, gdzie więcej

— Taki teraz zwyczaj w porząd niej szych restauracyach.

— No, to głupi zwyczaj i rzecz skończona. Czy jato mało naczytam się na wsi różnych ramot waszych, żeby mi tu jeszcze nie dać pokoju z książkami... Naprzód dasz nam wódki...

— Jakiej jaśnie pan każe?

— Ma się rozumieć mokrej... tylko mocnej...

— Mój kochany — odzywa się do mnie Ksawery, gdyśmy po kieliszku złotówki gdańskiej wychylili.—Czegoś ty tak zły? Twoja zona prawdę mówi, że ty zawsze tylko huru, buru...

— Powiem ci, bracie—mówię—bom jest głodny, a ja zawsze jak głodny to zły... W tej Warszawie, jak człowiek ma jaki interes, to musi jak chart tyle się nalatać po biurach, po piętrach, a wszystko miła drogi jedno od drugiego, że co człowiek zje, to tak jakoś prędko się w nim ułoży... Co za licho ludziom przychodzi do głowy rozwłóczyć to miasto... A znowu w tych waszych traktyerniach, wszystko podają takie jakieś superfinowe! Spojrzysz na ten befsztyk, na oko zdaje się że to coś jest? a tu, panie kochany, pod ten plasterek coś ci podłożą, na wierzchu czemś przykryją, przekroisz na dwoje i połkniesz!... U mnie na wsi nie wolno, panie dobrodzieju, żadnych figlasów... Kawał mięsa to niech będzie mięsa, co mi po tych podkładkach z bułki... i jajka na wierzchu? Oszustwo i nic więcej za drogie pieniądze... Przyjedź a zobaczysz!

— Już ułożone z twoją żoną, że w czerwcu przyjadę na cały miesiąc.

— Łaskawco mój, niech ci Bóg da zdrowie! Uważasz, ja zaraz lepiej jem jak mam kogoś — mówie całū

stoi liczb na jednej stronicy, niż włosów masz na głowie, i rachuj i sprawdzaj. Mówię ci, omało mózg człowiekowi na papier nie wyskoczy, tak musisz nad tem medytować i kombinować i kurzu się nałykać. Co u Pana Boga, wam szlachcie zdaje się, że tylko wy pracujecie? Cały dzień was karmią jak niepo równy wuj ac gęsi na pasztet, a wy dla prędszego strawienia spacerujecie sobie po polach i to najwięcej konno, niby to dla gospodarstwa... i powiadacie że to praca... Daj Boże każdemu taką pracę, jak wasza na wsi!

— A żebyś ty zdrow był!—krzyczę, uderzając pięścią w stół, aż wszystkie szklanki zabrzęczały, i ze strachu przyleciało coś ze trzech lokai. — Przyjedź na wieś, przyjedź a zobaczysz, Tomaszu niewierny! Czegóż stoisz, bałwanie jeden i drugi i wytrzeszczasz te głupie oczy! — mówie do wyfraczonego kelnera, który się patrzył na mnie, jakby na raroga.

— Myślałem, jaśnie panie...

— Co tu myśleć!—zawołam palnąwszy drugi raz w stół...—Ty nie myśl, a gadaj co macie na obiad, bom. głodny jak wilk.

— Oto jest spis potraw, niech jaśnie pan wybierze—odpowiada, podając mi złoconą księgę.

— A pójdziesz mi ty ze swoją książką! — krzyknę rzuciwszy za nim wyzłacany folialem.—Ty mi nic dawaj księgi a gadaj!

— Auguście—szepcze mi Ksawery z pewnem zakłopotaniem—czego się tak gorączkujesz?

— Proszę cię, ja jestem głodny, a ten facet każe mi się wdawać w lekturę. Nic ma onto gęby, żeby powiedział: rosół czy barszcz, czy tam...

— Nie bój się, Guteczku, ja mam dobre oko, ho, ho... Jak on tylko w loży podawał jej futro i obwijał szalem, żeby się nie zaziębiła, zaraz powiedziałam sobie... coś z tego będzie... no i będzie...

Ta rozmowa trafiła jak raz po obiedzie, na którym powetowałem sobie wszystkie superfinowe obiadki Warszawskie, a ie tego dnia musiałem wstać do dnia, żeby się na pociąg nie spóźnić, powiadam państwu tak mi się oczy kleiły ai strach. A tu moja kochana Lucynka jak na złość wzięła dziś na gadanie o tem małżeństwie Linci z Ksawerym, i nie moge się jej pozbyć... Przyświadczam co mówi, to ona, panie dobrodzieju, jak rozpuści swoją swadę, to jakby rzeka co rozlewa się na wszystkie strony, het precz po polach, łąkach, ogrodach... Zaprzeczam, to jeszcze gorzej, bo gwałtem chce mię przekonać, że nie mam racyi, i stawia mi argumenta i dowodzi i rachuje, że tak będzie jak ona mówi... Doprawdy, że Pan Bóg stwarzając kobietę dał jej wielką moc przymiotów i niczego nie szczędził, aby to cudo jego ręki wyszło na świat niby pieścidełko jakie, jednej rzeczy tylko zapomniał, że jej nio dał tego daru, aby mogła poznać, kiedy się mężowi spać chce. Tu już z własnego doświadczenia powiadam, że jak moja Lucynka, to akurat wtenczas najpilniejsze wynajduje sobie interesa, najzarliwiej rozmawia, i najuporczywiej siedzi na kanapce w mojej kancelaryi, kiedy ja dla przyzwoitości ludzkiej całemi siłami ratuję się, aby nie usnąć. A ona tego nic a nic nie widzi. Ziewnę, ale to tak żebym ją połknął, ona mię pyta, czy nie mam migreny albo spazmów?... Oczy mi się mrużą, choć je wytrzeszczam jak moge, ona powiada, że pewno dostanę zapalenia a co najmniej jęczmienia... Tłuma

jąc poczciwego Ksawerego.—Daję ci słowo, nie znudzisz się. Już ja znam wasze miejskie przyzwyczajenia, okiennicę każę dopasować i zamykać na noc, żebyś spał długo... Zrobimy sobie polowanko... będziesz ryby łapał...

— Na wędkę, pasyami lubię...

— Głupstwo, ktoby tam się bawił wędkami, co tam złapiesz, kiepską płotkę albo kiełbika. Ja ci, panic, dam ludzi i niewód... zobaczysz, jakie u mnie szczupaki, jak cię kocham i dwudziestoiuntowy się znajdzie...

— To nie to co na wędkę... Mnie to niezmiernie bawi, jak mi ryba tak dziób, dziób...

— No, jak tam chcesz, niech będzie dziób, kiedy wola, tylko przyjedź...

— Niezawodnie, ja przepadam za wsią...

Bodaj ten z piekła nie wyjrzał co wieś wymyślił— pomyślałem sobie.—Ale cóżem go tam miał zniechęcać, niech chłopczyśko przyjedzie, bo strasznie nudno na wsi bez gościa... Dobrze i miesiąc, a bądź co bądź nie złe chłopczyśko z Ksawerka... No i zona tam coś napomknęła o Liuci, że jćj futro podawał w teatrze... Niechaj tam!... Z krewniakami jakoś łatwiej będzie i z tym posagiem; możeby nie chciał tak zaraz kupować kamienicy jak ten Maciej geometra... Płaciłoby mu się procent sześć od sta... onby więcej nie wziął, oczywiście brat stryjeczny. A tymczasem przyjdzie nowe Towarzystwo kredytowe i da Bóg spłaci się, i człowiek trochę odetchnie.

Gdy wrócił do domu i powiedział Lucynie o tem wszystkim, ogromnie się uradowała.

— A co, nie mówiłam ci, że on się ma do Liuci?

— Jeszcze daleko do tego; przyjedzie, bo go prosiłem bardzo...

czę się że to nic prawda, że widzę jak sokół, tylko tak oto... Ale gdzie, będziesz miał jęczmień z pewnością, patrz, już dolna powieka zaczerwieniła się w jednym miejscu. I gwałtem bierze się do mego oka i radzi zaraz co robić na to, i chce biegnąć do szafki po jakieś sadło miętusie, że ledwie ją zdołam wstrzymać.

Tak też i teraz było. Rozwodzi się przedemną zona o Linci, jak ona już zapomniała o Macieju, jak Ksawerco tylko wspomina, jak to dobrze że wyprawa gotowa i że kupiły biały ka]elusze na pierwsze wizyty... jak raz będzie do Warszawy odpowiedni, „bo widzisz Guteczku, Ksawery ma bardzo porządne znajomości.”

Na takie potoki miodopłynnej rozmowy, z której Jedwo dwudzieste słowo wpada mi do ucha, mam i ja swoje sposoby. Powiedzieć jej: moja Lucynko idźno sobie z Panem Bogiem i nie klekocz mi głowy, bo mi się spać chce—nie można. Znam ją, obraziłaby się: „bardzo grzeczny mąż z ciebie, nic ma co mówić — rzekłaby zaraz — jak zona przyjdzie do ciebie na chwilę pogadać, to się nudzisz... jej paplanina cię usypia...” I zrobiłaby lewo w tył, a ten zadarty jej nossek zarazby się spuścił na kwintę, i nie gadałaby do mnie ze dwie godziny i musiałbym przeproszać, czego przyznam się państwu, strasznie nie lubię...

Powiedziałbym coś ostro... Znowu toż samo, choć na inny manier: „Coś ty taki zły Augustynie, z tobą ani sposób rozsądnie pogadać, zaraz huru buru... fe, wstydi się być takim raptusem dla żony... już przecię mógłbyś się raz ustatkować... zona to przecię nio Magdusia z kuchni ani Kwapiszewska...” I tak samo zadarty nossek robi ewolucję na dół i moja pani jak królowa jaka, ze łzą w oku odchodzi pompatycznie do swego pokoju...

No, jak tym kobietom łatwo o łzy!... a ja powiem państwu pod sekretem, tych wszystkich łez kobiecych boję się więcej niż ognia; bo to zaraz po tem idą spazmy, jakieś drgania, mdłości, octy, chustki, dyabły, klęknięcia, uspakajania... a co gorsza, że bardzo często i samemu na płacz się zbierze, a wtedy tak człowiek wygląda głupio, kto wie czy nie głupiej niż w chwili pierwszych miłosnych oświadczeń. Raz tylko podczas takiej sceny widziałem się przypadkiem w lustrze, i od tego czasu dałem sobie słowo, że niech będzie co chce, ale nie dopuszczę więcej podobnych melodramatów...

Powiadają, że potrzeba jest matką wynalazków, i ja też wyszukałem jeden koncept, do którego już kiedy bardzo krucho, muszę się uciekać. Moja kobieta ogromną cierpi słabość do rachunków i wiecznie mi wyrzuca, że się nie rachuję, i że całe gospodarstwo szłoby nierównie lepiej, gdybym swoje rejestra porządnie prowadził... Przepraszam was kochani czytelnicy, ale bądźcie wy sami naszym sędzią: Po co, u licha, szlachcicowi na wsi potrzebne są rachunki? Nie mówcie: z czeladzią, z najemnikami, z rzemieślnikiem, to te człowiek zapisuje, no i ekonom zapisuje także, choć Bogiem a prawdą nigdy się nam nie zgadzają. Podług niego zawsze więcej się należy niż podług mojej książki; więc na cóż się zdała taka rachunkowość? Krzywdy ludzkiej nie zniósłbym na mojem sumieniu — płacę tedy co on powiada, a jeżeli już okpił, to niech będzie grzech na niego. Ale już tutaj, gdy idzie o moje wydatki, to przynajcie sami, co mi z

tych rachunków przyjdzie? Wydaję tyle co potrzeba, nikt mi nic nie ukradnie, bo dobrze zamykam i kluczyków nikomu nie dam do ręki tylko żonie — więc na co mi ta niepotrzebna ciekawość,

bieram się do soli; akurat słownik miał na końcu literę R., reszty brakowało... Bodaj licha porwało trzymać takie guwernantki!...

Trzeba państwu wiedzieć, że w takich rzeczach naukowych jestem strasznie uparty, i nieraz jak przyjdzie w Kuryerku szarada, to będę nad nią. medytował cały dzień i cała noc, a zgadnę—chyba że tam są jakieś rzeki z Afryki albo coś z nut, to na tem się nie znam. Dzięki Bogu, tak znowu człowiek nie jest głupi w polskim języku, a i z niemieczyzną, za to przyznaję ani w ząb. W szkołach uczyli uas trochę tej mowy, jednak ja do niej nie miałem pociągu żadnego i tylko na lekcji Świderskiego, figle się płatało. Com zapamiętał to tylko jedno, że der Böhrer, znaczy świder, a dodać ski będzie Świderski, jakeśmy w szkołach na niego wołali... Hece bywały zawsze z tym Świderskim, i o nich kiedy opowiem państwu—ale teraz z owym hat i soli uparłem się, że dojdę...

Myślałem i myślałem, a nawet w łóżku jakem się położył, stały mi te słowa przed oczami i Iaki doszedłem. Hat znaczy stój, ho pomyślałem sobie, jak zeszłego roku jechałem koleją do Karlsbadu, to przed każdym przejazdem stała tablica a na niej wielkimi literami napisano halt czy hat z trzema wykrzyknikami, już nic pamiętam dziś dobrze — i wtenczas mi jeden kupiec, żyd, który razem ze mną jechał w wagonie, powiedział, że to znaczy stój. Ab z tem soli była trudniejsza' sprawa, jednak doszedłem, że to Niemcy musieli wziąć z łacińskiego i że to jest słońce... niezawodnie słońce, bo z historii świętej pamiętam, Jozuc jak miał wojnę z poganami, to żeby się pod wieczór słońce zatrzymało, zawołał sta sol.

ile wydałem na to i owo... "Wydałem tyle co mogłem, wrzak przy tej ciężkiej pracy lada jako żyć nie moge, a jak brakuje, to się człowiek musi starać tak czy owak, bo już ciż żyć trzeba, aby tylko bez zbytków, broń Boże...

Moja zona gdzieś tam czy w domu u swego starego widziała, czy też gdzieś wyczytała w książce gospodarskiej, że rachunek jest duszą wszystkiego (łatwo tym panom, co przy zielonym stoliku piszą książki o gospodarstwie, rezonować o naszej duszy), więc jak mi zaczęła głowę suszyć, kupiłem sobie trzy poliniowane książki w sklepie z zamiarem prowadzenia skrupulatnej rachunkowości. Otwieram pierwszą, rubryki bardzo dobrze zrobione i cała niebiesko poliniowana, co chwałę, bo u mnie żadna linia się nic utrzyma... Spojrzę do góry, stoi jakiś napis; z lewej strony soli, z prawej hat. A to co ma znaczyć, panie dobrodzieju, i po jakiemu to? "Wołam żonę, czytamy, ale i ona tak samo nic nie rozumie, choć powiada że to jest po niemiecku. A że człowiek niechwaląc się ciekawy jest do wszystkiego, każe sobie od dzieci przynieść słownik niemiecki. Mój Boże drogi — pomyślałem zobaczywszy strasznie potarganą książkę, za którą przed rokiem sam zapłaciłem w księgarni dwa ruble z czemś, a teraz z niej strzępy leżą. Trzymajże tu guwernantki, panie dobrodzieju, płac i jeszcze szanuj, bo tak wszyscy o to krzyczą na nas—a ona takiego głupstwa jak książka jest, nic dopilnuje. Zirytowałem się tylko i nic więcej, i zacząłem szukać owego kat. Prze w er to wałem całą literę H — niema... No, i kupujże tu książki, płac takie drogie pieniądze, panie dobrodzieju, a jak ci się raz w kilka czasów trafi potrzeba zajrzeć do owej książki, to nic nie znajdziesz. Za

raz na ganku i czytam gazetę, a ona idzie, panie dobrodzieju, z rachunkową książką do mnie.

— Słuchajno, Auguście — mówi, otwierając w środku — co to znaczy „dałem F. rubli, albo K. rubli ?"

— Eh! dajże rai pokój — odpowiadam zaczytany w gazecie, o tym smoku morskim, którego gdzieś Anglicy pod biegunem złapali. — Juści musiałem dać, skoro zapisane.

— Ale dlaczegóż nie ma nazwiska, tylko litery?

— Niema, bo niema, co tam pani do tego...

— Przepraszam, jest mi do tego — rzeknie już urażona, błysnąwszy na mnie oczami — to jakiś podejrzaný wydatek, czy osoba, której się nazwiska nie śmie wypisać....

— Niech będzie podejrzaný — ofuknę już zły, bo właśnie byłem na tem miejscu, kiedy owego smoka morskiego wyciągali na okręt...

— To tak mój mężulko robi? bardzo pięknie, bardzo uczciwie. Jak się jedzie do Warszawy, to się robi wydateczki bezimienne, których wstyd przed sobą samym...

— A dajże mi raz święty pokój! — krzyknę powstając z ławki i wynosząc się do ogrodu. — Ze też nie dacie mi spokojnie gazety przeczytać...

Zgnicwałem się, bo było czego, i cisnąłem gazetę nic doczytawszy o owym smoku. Ani sposób... na wsi nie dadzą człowiekowi nad czem się zastanowić... I krzyczą na nas, że się nie kształcimy i nie uczymy!... Przyjdźno tu, jeden, drugi, taki mądry panie moralisto, i spróbuj być szlachcicem jaki tydzień, a przekonasz się, co

Głupie skryby — powiedziałem sobie — w książce na rachunki drukować słońce i stój, i pokazałem to na drugi dzień księdzu Józefatowi, który zawsze rozum niemiecki pod niebiosą wynosi. Wymazałem tedy głupstwa owe, i postawiłem na to miejsce nasze stare: „Przychodzi „Rozchód” i zacząłem pisać rachunki.

Jeszcze jak człowiek siedział w domu, i nie było nikogo z gości, tom pamięta! o każdym groszu i zapisywał regularnie, ale jak się powróciło z jarmarku lub z Warszawy, bywaj zdrów, panie dobrodzieju, już niczego nio dojdiesz. Rachuję przychód, spisuję wszystkie wydatki i sprawunki, a jak dodam i przerachuję gotówkę, to zawsze albo mam więcej albo mniej. No, jak więcej, to mniejsza, od przybytku głowa nie boli; ale jak mniej, to tylko męka Pańskaztem przypominaniem. Czasem się znalazło, a czasem, choć w łeb strzel, brakuje i brakuje. Powiadam państwu, chodziłem cały dzień jak struty, ale trudna rada, trzeba było co napisać, więc sobie stawiałem jaką literę T. albo tam J... a w rubryce sume, której brakowało...

Jak widzicie państwo, człowiek sobie potrafi radzić na wszystko... nie chwałę się, ale niezłą mam głowę, przynajmniej zdrowy, jak to mówią, chłopski rozum — i rachunki szły porządnie, dopóki się kobiety w to nie wmieszały... Moja Lucynka, dobra osoba, no, i uczona, ale strasznie ciekawa, każdy list musi przeczytać, moje szufladę w biurku spenetrować i powyciągawszy różne odwieczne szpargały, czyta a czyta, jakby tam były jakie tajemnice. Dawniej, kiedy człowiek był młodszy, toby się czasem znalazł tam jaki pachnący liścik, ale teraz, Bóg widzi, już mi nie do tego. Więc siedzę sobie

mi odbiegła ochota do kontynuowania dalszych rachunków, i tylko jak mam czas, zaglądam teraz do owej książki i dopisuję co sobie mogę przypomnieć. Aio zyskałem tyle przynajmniej, iż gdy się trzeba żony pozbyć, wyciągam moje foliały, maczam pióro w atramencie, robię zamach na wpisanie jakiejś pozycyi, a Lucyna protektorka wszelkiej buchalteryi, już wynosi się sama, mówiąc:

— No, idę, aby ci nie przeszkadzać, mój drogi, bo ja wiem, że przy rachunkach trzeba mieć swobodną głowę.

— I przy spaniu — pomyślałem sobie w duszy, błogosławiąc wszelką, jaka jest na świecie rachunkowość.

Jak powiedziałem na początku, maj już był na schyłku, zieloność pokryła pola i dzięki Bogu, wszystko się na ten raz nie źle prezentowało. Połatawszy ogrodzenia wszelkie koło domu, człowiek po tej ciężkiej robocie wiosennej odetchnął, a spacerując między zbożami, czuł że i w nim obudza się nowe życie, i rośnie codziennie więcej jak to żyto przed wyk losze niem. Przyszłoroczna podróż do Karlsbadu dobrze mi zrobiła, apetyt miałem niezły i gdyby nie ten słowik, który się ulokował w krzaku brzoźowym tuż pod mojem oknem — sypiałbym wcale dobrze.

Nie wiem, co tam ludzie z miasta widzą tak pięknego w tym śpiewie słowika. Dla mnie, drze się kanalia i drze zawsze jednakowo aż w uszaci dzwoni. Moja

to za ciężkie nasze życie we wszystkim... Powiadam państwu, nic nie można... bodaj ten, wiekuiestej jasności nie widział, co wieś wymyślił.

Bylein przekonany, że na tem się skończy z moją Lucyną, ale gdzietam. Przyszedłem na podwieczorek głodny, bo nie wiem, czy to każdego, ale mnie, jak zły jestem, to głód napada, i widzę, moja zona chodzi jak sęp, a nosek już skłania się ku brodzie i stawia mi tak z góry filiżankę przed nosem i patrzy na mnie, a łyzy to już, już tylko kapnąć. ?le — myślę sobie, i apetyt na kawę zupełnie mię odlatuje. Wziąłem łyżeczkę, mieszam i mieszam, a patrzę z boku co się robi z jejmością... Nie ma żartów, panie dobrodzieju, gniewa się na seryo.

— Lucynko — mówię — czego się ty gniewasz?..,

— Ja się nic gniewam...

— Nie zapieraj się, bo ja widzę po twojej minie... No, no... pójdźno, niech ja pocałuję ten skrzywiony nosek...

— Nie jestem F. albo Z. — odpowiada nie patrząc na mnie, a zapinając fartuszek dziecku pod szyją.

— Lucynko, przeżegnaj się ty w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego — mówie, kładąc rękę na czole i piersiach — co tobie przyszło do głowy?

— Mnie z pewnością nic nie przychodzi do głowy, o to możesz być spokojny — rzecze udając zajętą sprzątaniami przyborów do kawy i wychodzi.

Miałemci jasięzpyszna za tę rachunkowość, a choć pod przysięgą wytłumaczyłem jej znaczenie mej zagadkowej buchalteryito przyznam się państwu, zupełnie

— Gdzie? no, w pokoiku na górce, tam gdzie stał Maciej.

— Ale nie można.' Maciej co innego, uważasz, geometra, coś... a pan Ksawery już urzędnik wyższy, podobno radca.

— Eh, taki tam radca honorowy...

— A ja nic pozwolę, żeby się drapał kilka razy na dzień po tych schodach jak po drabinie... Już przyznaj sam, Gustawie, kto takie strome schody każe robić? Ten Maciej, to dalibóg, na nich nogi stracił, a nie na polu. Sumienia nic trzeba mieć, aby kogoś zaprosić do siebie na wieś, i pakować go na strych do facyatki...

— Bój się Boga, może i masz racją — odezwę się na to — ale gdzież go pomieścić?

— Żebyś się Guteczku nie gniewał...

— Czy ja się kiedy gniewam?—mówie urażony.— Tem ciągiem napomykaniem o gniewie, zrobiłaś ze mnie przed ludźmi takiego złośnika.

— Bo ty tak zaraz buru, buru... już i teraz po oczach widzę, że masz chęć się gniewać...

— Mów, mów, o co idzie—przerywam ten za długi trochę prolog, po którym okaże się niebawem, że tu o moją skórę idzie.

— Myślałam, czyby mu nie oddać twojej kancelaryi... — rzecze wolno z minką tak niewinną, jakby dopiero dziś wróciła z pensyi.

— Cóż tobie w głowie, moja kochana! — rzeknę już naprawdę wstrzymując się od gniewu. — A gdzież ja się podzieję? "Wiesz przecie, że potrzebuję jakiegoś kąta, że mam interesa z ludźmi, że tu moje biurko

zona i Ludka do jedenastej w nocy siedziały zawsze w otwartem oknie i adorowały te jego trele i unosiły się, jakto on cudownie śpiewa, a jabym go z pocałowaniem ręki im odstąpił, żeby sobie tylko chciał pójść przed ich okna. Ale hultaj uparł się do mnie, i co go wypędzę, za kwadrans wraca i spać nie daje. Przyznam się państwu, jestem dosyć nerwowy i ta rzecz dokuczyla mi więcej niż jakie zmartwienie. Czy to nie jest męka, calutką noc słuhać te oklepane tia, tia, tia, niby muzykę Don ?uana. Ho, ho! nie złapią mię więcej na tego Don Żuana; póki żyję, nie pamiętam żeliym się więcej naziewał jak wtedy, gdy mię zapakowali w Warszawie do łoży. Lubię muzykę, panie dobrodzieju, no i znam się trochę na niej; jak mi zaśpiewa kto „szumią jodły," to rozumiem, albo z Córki pułku „każdy to wie, każdy to zna," jeżeli

jeszcze ładna wiwandierka wystąpi na scenie, ale ton Mozart, niech go Bóg sekunduje. Przez całą operę, jakby kto przez kij skakał, sztuk puk... rum, bum... te, te... ta, ta, ta... Ale wszyscy chwalą, powiadają że arcydzieło, więc siedziałem sobie w kącie łoży i dziwiłem się, co tu w tym ładnego.

Wracam jednak do mego opowiadania. Przy końcu maja przyszedł list od Ksawerego, że drugiego czerwca wyjedzie do nas i pisze, żeby po niego posłać konie do stacyi. Zona, która jak powiedziałem, wszystkiu moje listy wprzód czyta, wpada jak bomba ogromnie uradowana.

— No, dobrze, dobrze... niech przyjeżdża!

— Ale...

— Cóż za aio, pośle się Franciszka powozem...

— Nie o tem chciałam mówić, tylko widzisz, Gu* teczku, gdzie go tu pomieścić?

więc przeniosłem się znowu, kazałem nowy piec postawić, zmajstrowałem w rogu jakiś" kominek, i rad byłem że znowu mam własny kącik. Możecie sobie zatem wyobrazić moje zdziwienie, kiedy mi zaproponowano nowe przenosiny.

— Ale mój drogi... — rzecze mi dyplomatycznym tonem małżonka — czego się gniewasz zaraz; powiedziałeś że nie będziesz się irytować...

— Ko i nie gniewam się, tylko z łaski swej wskaż miejsce, gdziebym się przeniósł?

— Już teraz ci nic nie powiem... nie... nie... Myślałam, ale dajmy temu pokój tej rozmowie...

— Jednakże gdzie, może na piąterko?...

— Gdyby nic te schody, to naprawdę miałbyś tam spokój...

— Lucynko... bój się ran Bozkich... co to za myśl!... Jakto, kancelaryą gospodarza prznosić na górę!... Gdzie rozum? ludzi przychodzących do mnie z różnemi interesami taszczyć na piętro... zastanów się...

— Mógłbyś w sieni ich przyjmować... jest tam stół, teraz lato... on pojedzie za miesiąc... Zresztą miałam jeszcze inny projekt... ale nie chcesz odstąpić... to na cóż mówić.

— Jakiz to projekt?

Lucynka nic nie odpowiada na to i widzę udaje zakłopotaną, niby w obawie, żeby mi nic zrobić przykrości, bo oczy spuściła na dół a choć się nie gniewa i nosek jej utrzymuje zwyczajną pozycyę, jednak jej markotno że nic wskórać nie może.

— Powiedźże o tym projekcie? — odzywam się powtórnie już łagodniej.

i wszystkie papiery... No, dalibóg, myślałem, że ty masz trochę więcej rozsądku, moja Lucynko...

A trzeba wiedzieć czytelnikowi, że w tym pokoju, który teraz zajmuję na kancelaryę, jeszcze nie jestem roku, a jak mieszkamy w Polance lat ośm, to już trzeci raz przenoszę się ze swojemi lnanatkarai. Hom nasz ma coś dziesięć pokoi i z początku wybrałem sobie dwa z oddzielnem wyjściem do głównej sieni. Coś w drugim roku, wzięliśmy guwernantkę do dzieci, nie było jćj gdzie pomieścić, a że to moje pokoje są obszerne, a człowiek z siebie wszystko zrobi dla dzieci, więc przekwaterowałem się do jednego już od tyłu, do którego trzeba było przechodzić przez pokój kredensowy. Dobrze, myślę sobie, niech już będzie i tak, choć po obiedzie kiedym się chciał zdrzemnąć, piekielne były hałasy w owym kredensie; drzwi od sieni nigdy się nic zamykały, a ta nasza służba wiejska, szczególnie te dziewczki z piekarni, to nie wejdzie jak zwyczajny człowiek, ale zaraz drzwiami buch, buch, a zamiast ludzkiej mowy, krzyczy tak jakby cały dom ogluchł.

Cierpiałem tak i gniewałem się i krzyczałem, nareszcie przyzwyczailem się już w tem miejscu, bo na wsi do wszystkiego musi się człowiek przyzwyczaić, takie to już nasze przeznaczenie. Aż tu coś przed rokiem umiera matka zony i trzeba było siostrę zony, Linkę, zabrać do siebie. Gdzie i jak ją tu umieścić? Tu nie można, tam nic można, więc najlepiej w mojej kancelaryi, a ty Guteczku przenieś się do pierwszego pokoju wprost z sieni, który dotąd służył za przedpokój. Nie miałem ja wielkiej ochoty, bo to byt zimny, bez kominka, który pasyami lubię, ale że wziętem dziewczynę na opiekę, jej posagiem spłaciłem jednego natarczywego wierzyciela,

lubiła pozować na Zosię z Pana Tadeusza, biegnie z jakąś miseczką napelnioną serem i posiekany drobno krwawnikiem.

— Cóż pan szwagier tak pędzi jak chmura?... — mówi zbliżając się ku indykom i rzucając im na ziemię ową zieleninę.

— Patrz jakie śliczne stadko, jakie to miłe stworzonka...

— Nie lubię indycząt — rzeknę zatrzymany rojem tego głupiego ptastwa, które otoczywszy mię dokoła, dziobie po nogach. Indycki zawsze mi przypominają kobiety...

— A, bardzo ładnie, panie Auguście, dziękuję za komplement. Jużto wy panowie wiejscy nic odznaczacie się grzecznością.. Pójdź ty moja śliczna... pójdź... — mówi chwytając ręką jedno piszczące indycę... Czy wolno spytać pana szwagra, co mu tak kobiety zawiniły dzisiaj, że raczysz je przyrównywać do indyczek?

— Nie trzeba daleko szukać — mówię przypatrując się Lincii, która wcale ładnie teraz wygląda. — Twoja siostra a moja szanowna małżonka rozumem swoim niedaleko odbiega od tego ptastwa... Wystaw sobie, dlatego aby wystąpić przed Ksawerym, każe mi się z kancelaryą przenieść do sionki.

— Jak szczęścia pragnę — wtrąca nadchodząc na to Kwapiszewska — śliczny może być pokoik z tej sieni! I będzie tam daleko spokojniej panu, bo cóż tam, do spiżarni chodzi się raz tylko na dzień... I u pani hrabiny...

— Idźże sobie asani do stu kaczek ze swojemi radami i hrabinami! — ofuknę ostro.

— Niepotrzebnie się irytuje Auguście — rzecze Lincia. — Ja tę sprawę między wami zagodzę... Ty

— Myślałam — mówi wolno biorąc za klamkę drzwi, niby to zabierając się do wyjścia — że ta sień koło mojej spiżarni niepotrzebna.

— Więc chcesz, żebym się do sieni przeniósł z kancelaryą? — krzyknę zrywając się z fotelu. — Może jeszcze lepiej do ganku, albo do spichrza!

— Pozwólże mi powiedzieć wszystko! Czegóż tak patrzysz na mnie, jakbyś mię chciał zabić oczami... Fe, wstydz się Auguście!

— Słucham, słucham — rzeknę rozdrażniony do żywego.

— Z drzwi zrobić okno, bo ta sień niepotrzebna, dać podłogę, postawić piec...

— Tra, ta, ta, tra, ta, ta—zawołam cały w ogniu, rzucając fajkę o ziemię i kłaniając się mojej pani z szyderstwem. Lucynka wyprostowała się dumnie, a skinąwszy monarchicznie głową, wyszła z pokoju. Ja zrobiłem toż samo wybiegając na dziedziniec, bo czułem że krew już pełną falą uderza mi do głowy. A to straszne rzeczy, co oni ze mną wyrabiają! Dostyc tego, mościa pani, dostyc,'... Otoż taki rezultat z naszej dla nich uległości, kolki nam ciosa na głowie... oczywiście kolki...

Byłem tak zirytowany, jak nie pamiętam, więc pędziłem żywo ku stodołom, aby się na wolnym miejscu wysapać, gdy naraz wybiega gromada młodych indycząt i z strasznym piskiem sunie się trójkątem za mną.

— Auguście, wolno! — krzyczy ktoś — wolno, bo podepczesz indyki.

Oglądam się, a tu panna Lincia, która ogromnie

falsz w myśli... Róbcie co chcecie, bo ja już tych waszych teorii mam póty! — zakończyłem pokazując ręką na szyję...

Widziałem, dziewczynie stanęły łzy w oczach, nie wiem czy ze złości, czy ze wstydu, ale ja nie zważałem na to i poszedłem dalej zostawiwszy ją z indyczkami i również obcierając oczy Kwapiszewską...

Zawołano na obiad, a choć byłem głodny, szedłem ze strachem wielkim, bo przyznam się, nie lubię zasepionych twarzy koło siebie, a przeczuwałem że się nie obejdzie bez jakiej burzy. Przechodząc przez ową sionkę proponowaną

na kancelaryę, zauważyłem, że nie jest ona tak niezdatną do przerobienia na pokoik, jak mi się zrazu wydawało. Dawszy podłogę porządną, okno nowe i drzwi inne do spiżarni, możnaby w niej od biedy zamieszkać, a, nawet postawić kominek, bo na dole jest luft, przez który się wyciera sadze z kominów.

Przeczcucia mię nie omyliły; patrzę, fizyonomie pań moich strasznie ponure, bez gniewu, tylko z wyrazem męczeńskiej rezygnacji. Trzeba państwu wiedzieć, moja żona zawsze się lubi otaczać wieńcem starych kobiet, i jak przyjdzie siadać do stołu, każdego dnia znajdzie się grono tych poważnych i czarno ubranych matron, które jak nateraz z bardzo ponurą miną, niby jakieś komtury krzyżackiego zakonu sunęły cichym krokiem z różnych drzwi jadalnego pokoju. A wszystko to były kobiety jak dragony, wysokie, siwe, ponure, nabożne, że dreszcz człowieka przechodził, gdy się sam jeden znalazł wśród tego żeńskokrzyżackiego grona. Prócz obrażonej Kwapiszewskiej, wyglądającej jakby ją dopiero z krzyża zdjęto, idzie jakaś pani Anzclmowa, wdowa po

zostaniesz w twojej kancelaryi, a ja ustąpię panu Ksaweremu swego pokoju i przeniosę się do owej sionki... Każesz mi tylko dać podłogę nową, zamiast drzwi wstawić okno, trochę się wybieli—

— Ale ja na to, łaskawa pani, nie pozwolę! Cóżto, ou człowiek młody nie może kwaterować na piąterku?...

— Na to znowu ja nie pozwolę... Coby o nas pomyślał? Gdzież takiego porządnego człowieka, przywykłego do wygod miejskich, można osadzać pod strychem, i skazywać na łamanie nóg po tej drabinie...

— A jednak Maciej mieszkał tam przez dwa miesiące i dobrze było.

— Cóż... Maciej! — odpowiada uśmiechając się lekceważąco i machając swoją białą rączką w powietrzu.

— A jednakże ten Maciej — mówię z pewną złośliwością — był panem serca pani dobrodziejki...

— Przepraszam.

— Jakto, nie kochałaś się w nim, co, nie?

— Eh, takie tam kochanie... Wmówili we ranie... przedstawiali...

— Bójże się ty Boga, Linciu — czy to się godzi tak zmyślać. Przypomnij sobie tu, na klombie, coś powiedziała?...

— To była fantazyja, nic więcej, fantazyja młodej dziewczyny... Powiedzieliście że to porządny człowiek, chory na nogi... mnie go się żal zrobiło i byłabym popełniła niedorzeczność poszedłszy za niego...

— Kto z wami, moja kochana, dojdzie ładu albo składu, to będzie mądrzejszy od króla Salomona!... Nic, tylko fałsz w spojrzaniu, fałsz w mowie, fałsz w sercu,

urzędniku, dawna koleżanka nieboszczki matki mojej żony, sprowadzona tu niby do pomocy przy szyciu wyprawy dla Linki. Dalej pani Srokowska, była ochmistrzyni pensyi żeńskiej w Górze Kalwaryi, a obecnie guwernantka kotów, z których dwa zawsze jej do obiadu towarzyszą i jak się nie pilnować, ściągają tapką mięso z talerzy; wreszcie moja ciotka stryjeczna, szanowna pani Tytusowa, osoba mniej wysoka od tamtych, a to za to nadzwyczajnej tuszy.

Na ten raz, widocznie cały ten arcopag uwiadomiony o niepowodzeniach mojej żony w kwestyi owej sionki, przybrał tak milcząco ponurą minę, że choćby człowiek trzy dni nie jadł, musi stracić apetyt wśród tej grobowej ciszy przerywanej miarowym szcękaniem łyżek

talerze i przydycznym podnoszeniem się i opadaniem falbanek białych czepków zawiązanych pod brodą, gdy szanownym matronom wypadało połykać dary Boże.

Nikt się nie odzywa, i ja też milczę jedząc rosół,

pocę się i kraję chleb i piję wodę udając, że nic a nic tego wszystkiego nie widzę... Przy sztuce mięsa jednak, zobaczywszy że przed moją żoną i Lincia pusty talerz— zaczyna mię odbiegać apetyt, a gdy roznosząc półmisek z pieczenia, mój sławny Adamek stanąwszy kolo mnie, zaczął podług zwyczaju sapać mi nad uchem, mówię już z gniewem:

— A bodajes ty kanalio cielęta paś, a uie brał się do służby ze swoim sapaniem!

Chłopak ów, który trzymając w czarnych łapach dość napełniony półmisek, wzrokiem obserwował wróble harcujące po gałązkach dzikiego wina przed oknem, zląkłszy się mojego głosu, naraz przechyla półmisek i leje sos na tyfłkową suknię ciotki Tytusowej.

— Co ty robisz niezgrabiaszu! — syknie owa pani, łapiąc z przedemnie serwetę.
— Postaw półmisek na stole i idź precz! — zawoła Lucynka odbierając mu z rąk takowy, a za nią zrywa się Kwapiszewska i pomagając żonie, daje Adamkowi tajemnego szturcbanca, po którym chłopak uciekn co tchu z pokoju.
— Adamek! — wołam za nim.
— Adamek! — powtarza naraz sześć głosów, widząc że chłopak nie inyśli wrócić, a Kwapiszewska biegnie za nim do kredensu i za chwilę wpycha go napowrót do pokoju...
— Gdzie ty masz uszy, kiedy ja cię wołam, he? Zastraszony chłopak wytrzeszczywszy oczy na mnie, staje podnosząc machinalnie ręce ku uszom.
— Poczekaj ty uygusie — grozi mu palcem Kwapiszewska. — natrę ja ci tych uszów, natrę... Nie uczyłam cię tyle razy, że jak pan albo pani zawoła, to trzeba stanąć i ręce spuścić... No, tak, tak...—mówi odciągając mu ręce od głowy.
— Zawołasz mi tu ekonoma...
— Czy duchem? — pyta chłopak.
— Zaraz, a nie duchem! — krzyknie znów gospodyni — tyle razy cię uczyłam, że się nie mówi duchem.
— Duchem, duchem — powtarzam śmiejąc się.— Niech tu przyjdzie nim wyjedzie w pole...
Wstawaliśmy od stołu, kiedy zadyszany jak zwykle przerażony mój tłusciosek Ziemniaczyński pojawia się w pokoju.
— Panie Ziemniaczyński — rzeknę, oddając grzeczny ukłon na cześć komturowych ukłonów moicii bicsiadniczek — nie wiesz pan tu gdzie o jakim stolarzu?

— Zeby on na tem poprzesta! — odpowiada jej ekonom z wątpliwym uśmiechem — ale on trafi do karczmy i sam...
— Będę nad nim siedziała i nie puszcze, jak szczęścia pragnę... kiedy byłam u pani hrabiny, a taki sam, bo jeszcze większy bibuła robi! sztachety, to ani krokiem...
— Ho, ho... on sobie znajdzie kogo i poszle do karczmy z butelką.
— Rozbiję, jak szczęścia pragnę, rozbiję butelkę, a nic mu nie dam... — Nie dam... Nie bój się panie Zicruniaczyński, na mnie się można spuścić... Pamiętasz pan tego rymarza z Kałuszyna... — mówi do ekonoma ale w ten sposób, jakby ona a nie ja dawała mu dyspozycyi
— Tego wdowca — odzywam się spoglądając na Kwapiszewską — co to się do pani umizgał...
— Wielmożnego pana to tylko żarty się zawsze trzymają — rzecze spuszcżając skromnie oczęta gospodyni, gdy ekonom roześmiewszy się, uważał za obowiązek zatkać sobie ręką usta.
— No, to jedź pan do tego Koguskiego i przywieź go jutro raniutko, a może i warsztat zaraz weźmie... Czekajno pan; a deski mamy suche?
— Podobno, wielmożny panie, są tylko mokre... Co było suchych, to wyrobiło się z nich, z pozwoleniem, gnojnice.
— Mój panie Ziemniaczyński, co ci przyszło do głowy brać suche deski na taką robotę?
— Właśnie, wielmożny panie, na mokość trzeba brać suchą rzecz, bo mokra jeszczeby bardziej zmokrza

— A Miler z szynku na Zielonce...
— Nie chcę tego starego niedołęgi, to partacz, robiłby ze dwa miesiące, a ja potrzebuję takiego, coby w tydzień wszystko skończył i zrobił porządnie.
— A moge spytać wielmożnego pana, na ten przykład, podług jakiej okoliczności ta robota być ma?

— Chcę dać podłogę nową w tej sionce od spizarni i ze drzwi przerobić okno...

Uważałem że na te słowa: podłogę w sionce, sześć głów od sześciu osób, które już były we drzwiach, odwróciło się naraz na moją stronę i stanęło w miejscu.

— Takiego drugiego nie wiem na prędkości, aio proszę wielmożnego pana, Miler jak go przypilnowawszy i warsztat mu wzięwszy do dworu, żeby nie miał na czym robić w domu innej roboty — to on jedyny...

— Mój Augustie — odzywa się na to Lucynka cytrynowym głosikiem — już nie potrzeba tej podłogi.

Ja udałem że nie słyszę, a mówię do ekonoma:

— Trzeba mi na jutro sprowadzić jakiego innego stolarza koniecznie, rozumiesz pan, bo ja chcę żeby za tydzień wszystko było skończone.

— A Hoguski z Kobierzyna? — odzywa się na to Kwapiszewska, stając obok mnie z miną radcy, do którego to urzędu czuje zawsze pociąg nieprzewyciężony...

— Na to mówiący, Roguski, gdyby nie chciał zaglądnąć do półkwatka...

— Najmniejsza rzecz; nie da mu się — mówi gospodyni. — Nie bój się panie Ziemniaczyński, już ja go tu dopilnuję... Dam mu tylko jeden kieliszek rano, drugi przed obiadem... U pani hrabiny...

— Na nic się nie zdali, na nic — rzecze na to ekonom, pokręcając głową — deski te zatłuszczone od sadła.

Dałem w końcu rozkaz, żeby zwieziono na jutro owego artystę Roguskiego, a sam odważyłem się już pójść do pokoju kobiet.

— No, no, będziesz miała, ty złośnico, podłogę i przeniosę się z kancelaryą — mówie próbując pogłaskać moje jejmość...

— Obejdzie się pana łaski — odpowiada odpychając mi rękę. — Możesz się nie trudzić i siedzieć w swoim pokoju najbezpieczniej.'

— Ale kiedy ja się chcę przenieść i kwita!

— Juk się panu podoba.

— No, widzisz, z wami to ani w prawo ani w lewo. Męcą, molestują, a wynieś się, a wynieś, a jak ja się chcę wynosić... to jak się panu podoba... obejdzie się...

— Zapewne, jeżeli o każdą rzecz trzeba się tyle naprosić, tyle uamartwić, to potem już mało znaczy ustępstwo...

Myślisz, że to przyjemna rzecz dla kobiety być tak maltretowaną..

— Kobieto, bój się Boga, kiedyż ja cię maltretowałem?

— Przypomnij sobie tylko... to rzucenie fajką o ziemię!

— No, to przecież o ziemię...

— Ba, możebyś chciał o mnie, bardzo piękni*, bardzo grzecznie!

— A mnie — odzywa się na to Linka, nie podnosząc oczu z robótki — zarzucić fałsz w oczach, w mówie, w sercu! to również bardzo szlachetnie!...

la i porobiłyby się odstępstwa na palec, jako się zazwyczaj przy mokrych deskach trafia i wszystek, z pozwoleniem nawóz, który jest drogą substancją gospodarza, miałby luft do wypadania. Mnie, wielmożny panie, do takich porządków gospodarskich nic uczyć; dzięki Bogu, w tym jestem praktykujący na różny sposób i u mnie wszystko musi być dycht. Nie daleko szukając, nasz proboszcz, który w gospodarstwie, jakby to mówiąc, fines jest, a jak zobaczył owe gnojnice, to się za głowę wzięł.

— Mój panie i ja się wezmę za głowę, że nie mam z czego ułożyć podłogi... Bodaj pana Bóg kochał, żeś mi ten zapas wyszafował... A teraz gdzie tu dostać!

— Prawda, wielmożny panie, takich desek coby licowały na posadzkę, daleko szukać... Bo to, wielmożny panie, musi już taka deska leżeć kilka lat, i to nie na dworze, ale w cieniu przed spojrzaniem słonecznym schowana. Ja w tem to jestem najlepszy praktyk; takie deski kładą się gdzie pod nakryciem, w miejscu gdzie mokość nie zachodzi, jak leżały

te co wzięłem w starym deptaku... Ja, proszę wielmożnego pana, bo jestem ciekawy do wszystkiego, i nie chwałąc się, nic mojego oka nie ujdzie... Każdą rzecz spenetruję, jak to u drugich ludzi się czyni...

— A bodajes pan mniej penetrował, a głupstw nie robił, byłoby lepiej—mówie już znudzony trochę tem samochwalstwem niedołęgi. — Żebyś pan przynajmniej zapytał mnie!

— Ja na to wszystko dam radę — odzywa się Kwapiszewska, wstrzymująca dotąd swą gadatliwość. — Mam w spizami eos pięć desek wyschniętych jako pułki; niech pan Ziemiaczyński da mi mokre, a ja te oddam na podłogę.

A. Wilczyński.—Tom XII.

u mnie jest posłuch w domu, jest ład wszędzie i na prawdę, to wszystko przedemną na palcach chodzi...

Szczególniej ten niedołęga Ziemiaczyński, który mię już zna po głosie; jak krzyknę na niego z ganku:

Ziemiaczyński!—to jestem pewny, żeby pod ziemią był, zaraz usłyszysz i leci, ale to jak na złamanie karku leci do mnie, a tłuste policzki tylko mu się trzęsą ze strachu i tak zblednie odrazu jak ściana.

Nazajutrz jeszcze leżałem w łóżku, kiedy słyszę, w przedpokoju już ekonom chodzi na palcach, a z nim ów majster Roguski, któremu nawet głośno kichnąć nie pozwoli, bo słyszę ciągle pst, pst, kiedy zanadto nos pana majstra się rozkicha...

A i ów majster jestto figura nielada: wysoki, chudy z olkowO'Czerwonym nosem, jak zapewnia, że to od róży; pochodzi z drobnej szlachty podlaskiej, między którą słynie jako jedyny wyborny cieśla na całą okolicę. Asan Roguski, bo go tykać nie wypada, chodzi w długim ciemnogrnatowym surducie, przepasany zielonym pasem; podobnie jak mój kucharz Walenty literę ż przesadza i nie dosadza, zażywa tabakę z łubianej tabakierki, i każdego częstuje, a o swym talencie ciesielskim ma daleko większe wyobrażenie niż najpierwszy architekt paryzki. Dla niego niema nic nowego pod słońcem, wszystko wie, wszystko zna, i gdyby tylko miał z czego, postawiłby jeszcze lepszy kościół, niż bazylika św. Piotra w Rzymie...

— To wszystko marność, proszę wielmożnego dziedziczą—powiada, uśmiechając się lekceważąco—sztawiało się różne i sztodoły i spichrze i olendernie, a dziękować Bogu sztoją po dziś dzień.

— Dobrze, ja wiem, ie asan jesteś doskonały

Język mię świerzbił, aby dodać „i w plecach,” bo tam, jak wspomniałem, był rzeczywiście fałsz koło łopatki wata regulowany, ale że nie byłem usposobiony do gniewu, więc mimo pozornie energicznej obrony, ucałowałem jedne i drugą i jakoś burza przeszła spokojnie...

— Powiedz mi Guteczku — odzywa się Lucyna, kiedy już na niebie zabłysnął czysty firmament—czego ty jesteś ciągle taki zły?

— Ja zły, ja?

— Nie wierzysz, co? — zapytaj się wszystkich. Przynajmniej innie aż dreszcze przejmują jak mam iii o co cię prosić, a jak strzelisz temi swemi siwemi oczami, to już duszę czuję na ramieniu... Lincia, Kwapiszewska, ekonom, nawet dzieci to tak się ciebie boją jak ognia... Fe, Auguście, odzwyczaj się od tego... Ani z tobą pomówić spokojnie, ale zaraz buru, buru...

— No, no... nio taki ja to straszny jak się TOB zdaje—odpowiedziałem z uśmiechem, zadowolony tą srogą opinią...

Bogiem a prawdą, każdy mężczyzna powinien mieć w sobie coś energicznego — inaczej biorą go zaraz pod pantofel..., A ja, panie dobrodzieju, zawsze się trzymam tej reguły i ze wszystkimi ostro... Ustąpię czasem, ale wtenczas kiedy mi się podoba; trzeba się bronić w swój pozycyi pana i głowy domu; a nieraz choć i nie mam ochoty się gniewać, to nadrabiam miną i rzeczywiście z góry każdego buru, buru, bo inaczej cały dom przewróciłiby do góry nogami.

Kobiety, to prawda, mają dużo dobrych przymiotów, ale fantazyi... niech Bóg broni... Pozwólno im trocwf tylko... to to... nie, tego nie możua! Dlatego też

działem się za ową robotę na dnie, bo inaczej nie chciałem,
a poczęstowany słodką wódką przez moją żonę, odje-
chał pan Roguski po ów warsztat.

Pytam się wieczorem ekonoma, czy przyjechał pan

majster, powiada że nie. Pytam się rano — jeszcze go niema, a na to wchodzi pachciarz i powiada, że od wczoraj konie
moje i z warszatem na furze stoją przed karczmą na Pohulance, a Józef fernal i sam majster piją.

— Czemużeś ich nie wypędził? — mówię do pachciarza.

— Niech ich złe weźmie, ten Józef to jest zbój. Oni mnie o mało nie zabili, jak ja wszedłem do karczmy .. „Won żydzie,
szpiegu!” — krzyczał ten Koguski... Ny, i co ja miał z nim robić? Wani takie mocne jest chłopcy... że ja ledwie uciekłem z
karczmy i chwala Bogu, co oni są pijane, bo nie mogli mnie dogonić.

To ci wyborna sprawa! — pomyślałem i wysłałem natychmiast Ziemniaczyńskiego, aby ich sprowadził. Ekonom, pod
którym nogi się trzęsły ze strachu jak zedłem do mnie, bez czapki wskoczył na konia i w godzinę potem, patrząc, koń jego
idzie luzem przyczepiony z tyłu wozu, a on sam powozi, bo pan majster i parobek leżą jak nieżywi w słomio jeden
obok drugiego. Zajechali przed oficynę, żona Józefa wzięła go zaraz w swoją opiekę nie żałując mu szturchańców, na
które jednak szanowny małżonek starał się, o ile możliwości, chociaż bezskutecznie odpowiadać. Natomiast majster,
widocznie cięższego bo szlacheckiego charakteru, skoro się tylko ujrzał na ziemi, zapragnął gwałtem iść do dziedzica.
Widzę z okna, że ekonom i Kwapiszewska ciągną go napowrót za oba rękawy do sieni, ale pan Bogu

majster, o toż dlatego posiałem po niego, bo chciałbym żebyś mi dał podłogę w tój oto sieni, z której chcę zrobić pokój
dla siebie. Naturalnie, trzeba te drzwi wyjąć, a wstawić futrynę na okno, i ścianę załatać. Tylko, panie Roguski. jeden
warunek, ie potrzebuję to wszystko mieć na niedzielę skończone.

— Marność, wielmożny dziedzicu...

— Pamiętajże, panie Roguski — wtrąca Kwapiszewska, która się przy każdej takiej gawędce musiała znaleźć i radzić:

— Żebyś się asan nie bałamucił...

— Cóżto ja dziecko, czy co?

— Bo ja wiem, że pan lubisz wypić...

— Tak i ja słyszałem—dodaję—a tu musi być na niedzielę, bo się spodziewam gości...

— Marność i próżnica, proszę wielmożnego pana. — Ja wypić wypiję, jak każdy majster przy pracy, ale u mnie jeszcze
prędzej idzie robota. Cóżto ja nie rozumiem, że kiedy goście przyjadą, to gdzieżby stali, z pozwoleniem, na dworze?

Poszliśmy więc do owej sionki, pan majster wyjął z za cholewy swój ciesielski łokieć i skrupulatnie obliczył długość i
szerokość owej podłogi; potem obejrzelismy deski w spiżarni, deski z powały na oborze; potem spisałem co trzeba
kupić w mieście gwoździ, jakie dać drzewo na legary—słowem ogadaliśmy wszystko, nawet rozmiary szyb w
przyszłera oknie.

— No, a kiedyż asan weźmiesz się do roboty?

— Już chyba jutro, bo jeszcze warsztat mam w Ponikowie... tylko wielmożny dziedzic da mi z swej łaski zadatek,
trochę się tam winno żydowi...

Dałem zadatek, kazałem zaprządz do wozu, ugo

mnie nie trzeba uczyć... ho, ho... Roguski raz, dwa, trzy i futryna jest... Podłoga?... co, podłoga?... Marność, na fugę się
weźmie... w dwie godziny jest podłoga... goście przyjadą... Roguski nie zrobi wstydu... Bagatela podłoga...

— Mogę, wielmożnego dziedziczą, prosić na tabakę—gawędzi dalej, otwierając łubowa tabakierkę przedemną.—Sum kręcę tabakę... i fiołkowym korzeniem... strażnik powiada, że ziapi... ja żartuję sobie ze strażnika... bo ja sobie jestem szlachcica z Roguszyna.

Ekonom padł na dobrą myśl, bo wyrwawszy mu z ięki ową tabakierkę, zaczął uciekać napowrót ku oficynie, Roguski za nim, a tym sposobem pozbyłem się brata szlachcica, którego jakoś tam zatrzymano.

Niezważając, że mu już dałem prawie połowę tego, co mu się za całą robotę należeć mogło, posłałem do owego Milera szynkarza, czyby na jutro nie przyszedł do tej przeróbki. Lecz obrażony, iż poważylem się wziąć kogo innego, wręcz odmówił. Nie było więc innej rady, jak czekać dopóki się Roguski nie wytrzeźwi, tem bardziej, że Kwapiszewska solennie przyrzekła od jutra ująć go w swoje kluby.

Rzeczywiście, na drugi dzień zrana, mój majster jakby inny człowiek krzątał się po dziedzińcu wyszukując drzewa na kozły, na których mają się ustawiać deski przeznaczone do fugowania. Nic mu nie mówiłem o wczorajszej awanturze, bo na co się to zdało, lecz przeznaczyłem mu dwóch ludzi, aby robota szła pędzej.

Do południa wyciągali różne kawałki belek, mierzyli, medytowali nad niemi, układali, i wreszcie przywłókszy je przed ganek—poszli na obiad. Po obiedzie

ski, tylko się otrząśnie, już opiekunowie luza. na ziemi, a on siląc się na prosty chód, zdąży wprost do dworu. Patrząc, ekonom zebrawszy się jakoś pędkiem za nim, nuż w perswazye.

— Panie Roguski, jakże można tak iść... połóż się asan ..

— Ja nio potrzebuie... głupstwo i marność wszystko... Idę do samego dziedziczą... ja szlachcicz i on szlachcicz, a ty won!... Futrynę, panie mój, zrobię... marność futryna... wiesz asan, ja kpię z futryny... Oo dla pana Roguskiego futryna... Ja dmuchnę a jest futryna!

— Mój panie Roguski, nic idź... dziedzic się zgniewa...

— Ślachcica na szlachcicza się nic gniewa, wiesz :isan? Zicmniaczyński... tfu... jaki mi Ziomniaczyński... Ziemniak poprostu, Ziemniak... chłop z chłopów.

— Dobrze, dobrze, tylko się asan wróć, trzeba się wytrzeźwić troche, dziedzic jest zły o konie, że całą noc stały przed karczmą...

— Przepraszę, przepraszę, a jak trzeba to zapłacę... Ja szlachcicz, prawdziwy szlachcicz Roguski... wiesz asan, z Roguszyna... zabiję i zapłacę...

Widząc, że ekonom nie może sobie dać z nimi rady wychodzę sam przed ganek.

— Mój panie Roguski, idź spać! Trochęś się napił, a jak się wytrzeźwisz pogadamy...

— Ja wielmożnego dziedziczą kocham jak swojego ojca... bo wielmożny pan jest z kości i z ciała pan... A ten Ziemniak, czego on mię szarpie... on jest cham... Wiesz ty... pan z panem się pogodzi, a chłopu wiesz... no... A futrynę, wielmożny dziedziczu, wyrychtuję...

— No, zażyjcie chłopcy tabaki! — rzekł z tryumfem, ucieszony tą czarną linią odbitą na desce.—Niech na całą okolicę wysznuruje kto tak jak ja!

Parobcy z respektem zanurzyli swe palce do owego z brzoźowej kory naczynia, i delektując się tym zapachem fiołkowego korzenia, pomieszanego z zielonym proszkiem liści tytuniowych, kichali nad ową deską z takim łoskotem, że szyby w oknach brzęczały.

No, i 'powiadają ludzie z miasta, że u nas na wsi to raj, i że my tylko z przyzwyczajenia jęczymy, narzekamy, prowadząc życie sybarytów... Mój panie jeden i drugi, w trzy dni byś uciekł i znakuby po tobie nie było, gdyby C przyszło tak jak mnie patrzeć z okna na taką robotę owego Koguskie.i.'. Tych kilka desek obrabiali przez dwa dni, przez drugie dwa wyjmowali cegłę z sieni układając legary pod podłogę, które jak się pokazało wszystkie były za krótkie, mimo, że majster sześć razy mierzył szerokość sionki i długość drzewa. Wyjmuj więc, sztukuj, nadstawiaj klinami, mierz, rysuj ołówkiem, wkładaj powtórnie—i jak raz, znowu za długie i zmieścić się nie mogą.

Sień cała zryta i dół wybrany, z ona nic może się dostać do spizarni, a Kwapiszewska, która zajęta radami nigdy nie patrzy jak stapa — upadła raz odbiwszy swoją postać w miękkiej ziemi z taką dokładnością, że można było wskazać głębokie ślady całej jej wdzięcznej figury. Z tego wypadku nowa bieda, bo trochę się i potłukła babina, i musiała dwa dni leżeć w łóżku, a ona jedna co jeszcze miała energią pilnować i napędzać do roboty Roguskiego. Zostawał tylko piątek i sobota do przyjazdu Ksawerego z Warszawy, a pan majster dopiero zaczął be*

majster mugiał się trochę przespać na trawie, potem łokciem i wielkim ołówkiem całą godzinę znaczył miejsca, gdzie trzeba wiercić na osadzenie nóg w tych kozłach, a otwory te do samego wieczora z niezmiernym stękanem i odpoczynkami kręcili pomocnicy, gdy sam pan majster ciosał kołki na owe nogi. Przed kolacją słyszałem, przychodziła Kwapiszewska do żony pod sekretem, io majster nie chce jeść tego co służba folwarczna, bo on jest szlachcic, ale wola, żeby mu dać arbaty z kajakiem.

Drugiego dnia coś z godzinę przypatrywał się pan Roguski wczorajszym kozłom zapewniając pomocników, że nikt w całej Polsce coś lepszego nie wybuduje a gdy przyniesiono pierwszą deskę dla okantowania, pokazało się że mu gdzieś sznur zginął i niema czóm naznaczyć linii. Znosi mu Kwapiszewska różne szpagaty i sznury—wszystko złe; trzeba więc oderwać dziewczkę od roboty aby mu na kołowrotku uprzedła sznur nowy, ten skręciła we czworo, potem wszyscy trzój tarli go słomą aby się wygładził, a kiedy już majster z wielkiem krzywieniem nosa uznał go dobrym, zaczęto szukać zwęglonej głowni do naczernienia.

Pokazało się, że wszystkie wggłe z kuchni były niezdatne, więc rozpalono ogień na dziedzińcu, i sam pan Roguski opaliwszy jeden kawałek drewna, z ogromną pompą pocierał nim sznurek, który trzymający go za końce parobcy, co chwila z rąk wypuszczali. Nie da się tu opisać powagi, powiedziałbym prawdziwego namaszczenia, z jaką szanowny Roguski wyprężywszy ten sznur na desce, podnosił go kilka razy w dwóch palcach na samym środku, nim spuścił nagle z głośnym pstryknięciem.

— Biegnij, dogoń ich i wróć, może są niedaleko!— krzyknę wypychając na podwórze parobka.

Ale wiadomo, jakto ludzie na wsi umieją się spieszyć. Nim znalazł czapkę, nim się opasał, nim wyszedł a wyszedłszy stapał krokiem spacerowym, to ma się rozumieć dogonić ich nie mógł. Mnie tu nie wiedzieć co się dzieje, chciałem jutro rano już jakbądź przenieść moje biurko do nowej kancelaryi, bo i okno wprawione i trzeba na, jutro rano przygotować rachunek do wypłaty ludziom, a tu do biurka nie moge się dostać — bo dwie dziewczki szorując podłogę na przyjęcie onego Ksawerego, zrobiły w pokoju formalne jezioro. Posyłam Zienmiaczyńskiego na koniu—niema; przyszła noc niema i kucharza i majstra, więc już po dziesiątej godzinie winduj biurko do pokoiku na piąterko, i pisz rachunki do północy wśród wymówek żony, iż nawet porządnego majstra wyszukać nic potrafię.

W niedzielę z rana, niewyspany, zirytowany, właśnie daję informacje Franciszkowi, który ma jechać po Ksawerego do stacyi kolei żelaznej, gdy patrzę, otwierają się drzwi, a z nich podniesioną rękę trzymającą za nogi zająca, a za nią uszczęśliwioną postać pana Hoguskiego.

— Wielmożny dziedziczu, to szarak, he!

— Żebyś pan milion dyabłów zjadł ze swoim szarakiem!—krzyknę zrywając się z krzesła.—A moja podłoga!

— To marność, wielmożny dziedziczu — mówi, śmiejąc się, widocznie już dobrze podcięty—ale takiego zająca jak Polanka Polanką jest, nic było... Niechno wielmożny dziedzic weźmie w rękę... nie chybi dwudzie

bi trwać deski. "Wnętrznosci mię bolały patrzeć, jak on nie mógł w żaden sposób przyrządzić sobie hebla, bo pociągnawszy nim parę razy po desce, wyjmował wióry ze środka, wybijał klin młotkiem i albo regulował żelazko podnosząc hebel do oka, albo wydobywał je i ostrzył godzinę na kamieniu.

— Panie Roguski, na miłość Roską, robotę trzeba skończyć na niedzielę.

— Marność, wielmożny dziedziczu, nieehno dziś zhebluję, to bajki już przyrządził i przybić na legarach... Ale to też i zadzierzyste deski, niech je gęś kopnie... Bierz z tej strony, i z tej strony, wszystko jedno; to chyba rznęli je z kłoca na poprzeczkę.

"W sobotę rano jeszcze coś heblował, a po obiedzie i w nocy mieli przybijać. Ja wyszedłem gdzieś w pole czy do proboszcza, i trzoba nieszczęścia, że owczarek jedząc obiad powiedział kucharzowi, że tam na podorywie koło cegielni śpi zajęczak. Walentemu w to tylko graj, więc zostawiwszy wszelką kucheuną robotę, mianowicie pieczenie bardzo pilnych obwarzanków, porwał fuzyjkę i mrugnawszy na Roguskiego, kopnął się z nim na odszukanie owego śpiącego zajęca. Ja wracam, patrzę—mojego majstra nie ma, a tylko dwaj pomocnicy znoszą jeszcze niedopasowane deski do sieni.

— A gdzież Roguski?

— z Walentym kucharzem polecieeli zabijać zajęca...

— Gdzie? kiedy?

— Na ugór przed cegielnią. Marcinek od owiec upatrzył tego szaraka i pedział kucharzowi, a kucharz mrugnął na majstra, który kazał nam poznosić deski, bo zaraz przyjdzie...

że aż mi się serce radowało na myśl, jak jabyem to sobie po obiedzie rhrhajnął i tonął rozkosznie w tych miękkościach. O niczem nie zapomniano: i umywalnie moją zabrali, i chłopca do ściągania butów i dwie kraszoarki, a nawet nad łóżkiem przybili jakąś paciorkową podkładkę w kształcie pantofelka na zegarek...

— Mój Boże—pomyślałem—bodajto być kawalerem, choć nawet w tych latach co Ksawery; dogadzają ci, nadskakują, aby potem wziąć za czuprynę—i służ, panie bracie, służ... Cdybyin się drugi raz na świat urodził, tobym się nigdy nie żenił, ale udawał ciągle że się chcę żenić... Otóżto bjloby ci życie rozkoszne! A tak człowiek prędko im spowszednieje, jak stary grat co się go z kąta w kąt przerzuca... Trudna rada, kiedy się raz głupstwo zrobiło, to cierp bracie!

Dumałem sobie oto w ten sposób siedząc z fajeczką na ganku w oczekiwaniu Ksawerego. Już pierwsza godzina, powinni przyjechać, już widzę zdaleka i proboszcz idzie na obiad z odkrytą głową, a stuka laską i powiewa rozpuszczoną chustką od nosa — no, myślę sobie, przynajmniej coś przetrącimy, bo tak samemu jakoś nierażno, a zresztą kazaliby mi czekać.

— Cóż tam słyhać, księżę Józefacie?

— Wszystko dobrze, panie kolatorze, dzięki Bogu, słoneczko ładnie świeci, siano wyschnie galanto... Skosiłem wczoraj moją łąkę za cmentarzem... trawa po pas... mówie, panu kolatorowi, mój Błażej to aż się zgi

stu funtów, albo dwuuastu... jakem Roguski... To starzec... jakie to wasy ma siwe!...

— Podłoga!—krzyknę przyskakując z obiema pięściami do majstra i wytrącając mu zajęca na ziemię. — Ja chce podłogi!

Szlachcic tylko wytrzeszczył na mnie oczy, nie mogąc pojąć, jak można takiego zajęca nie obejrzyć, a ja już gotowałem się wyrzucić go za drzwi, gdy wpadła Lucynka do pokoju i jakoś mój gniew zmitygowała.

— Daj pokój, Auguście, jak mię kochasz... robi się awantura... No... co tam, skończy w poniedziałek, jeden dzień...

— Wielmożna dziedziczka, to znać, że jest pani z krwi szlacheckiej — mówi odchodząc z markotną miną.—Takiego zajęczaw całej Polsce nie znajdzie drugiego... Za takiego zajęca, ja, nie przymierzając, co panem niejestem, sześć podłógbym ochjjarował... Marność podłoga...

Ledwie za interwencją żony pozbyłem się przecie tego amatora starych zajęcy i do południa ukończyłem wypłatę kosiarzom, gdy Lucynka z Lincią już i do kościoła nie poszły, a ubierały ów pokój dla Ksawerego jakby dla jakiego króla. Póki ja tam rezydowałem, jakieś perkalowe zielone firanczynny były bardzo dobre, teraz założyły białe tiulowe z

haftem i złożonemi bronzami. Na oknie postawiły mu kilka najpiękniejszych róż kwitnących z wazonikami, na stołeczkach, których ja się nie mogłem nigdy doprosić, znalazły się jeszcze ozdobne serwetki. Jbukiet świeżych kwiatów z paskowaną trawą umieszczono na środku stołu przed kanapą, a wielkie mahoniowe łóże, jeszcze zabytek po nieboszce matce żony, tak było ponętnie i górnio wyścielone,

blaskiem, podobnym do błysku ócz Czerkiesa. Na głowie zato również czarnych i lśniących włosów wielka oszczędność: rozdzielone zanadto na boku, widocznie z zamiarem pokrycia boczną pożyczką środkowego niedoboru, tak skrupulatnie rozłożone były na wierzchu łysiny, że żaden minister finansów nie potrafiłby lepiej zużytkować tych pozostałych oszczędności. Zakrawało to na pretensjonalne wymuskanie, ale wrażenie podobne zacierał podziw arcyzmu, dzięki któremu, dwa włoski pewno nie leżały jeden na drugim.

Nie czekając rozpakowania olbrzymiego kufra, wyszedł pan Ksawery na ganek i pyta mię, czy może w tym stroju sięść do obiadu?

— Mój kochany, nawet i bez stroju — rzeknę, sadzając go obok siebie, aby nic dostrzegł że przygryzam wargi ze śmiechu.

— Dobry sobie ga... garniturek sprawilem, co? — zaczepia mię otwierając usta przy owym słowie garniturek, ho chociaż nie jękał się bardzo, ale czasami jak się zaciął na niektórych wyrazach, to długo trzeba było czekać, nim się z tych ga, ga, ga, wygadał...

— Bardzo dobry — mówię, oglądając kuse cudactwo na wszystkie strony.

— Widzisz, to jest mój pomysł; krawiec chciał zrobić po swojemu z żurnala, ale ja, uważasz, wyrysowałem mu... no i prawda, że dobry na wieś... kolor biały nie przyjmuje proo... promieni...

Prawda, prawda, że nic przyjmował, ale żeby z siebie zrobić coś podobnie śmieszno-kusego, to chyba tylko mieszczuch potrafi. Ten surducik niby kamizelka, coś z ośmioma klapami na tyłuż kieszeniach, i u góry i u do

nat jak trzeba było pokos odwalić... Bóg miłosierny dał urodzaj...

Wtem z poza stodoły, słyszę, mój Franek raz palnął z bicia, drugi raz palnął, otwiera się kołowrót, B czwórka siwoszów sady, panie dobrodzieju, z taką gracyą niby panny w tańcu... Ale co u Helia, że powozu nio widać, tylko jakaś wielka paka czy kufer na koźle, a nad nim głowa mojego Franciszka...

Zajechali przed bramę dziedzińca, Adamek jakby umyślnie czatował bo już otwiera obie połowy, koła stuknęły na progu i kufer zajeżdża przed ganek... Dopiero teraz zobaczyłem, że Franciszek klęczy na przednim siedzeniu wewnątrz powozu, bo nic miał miejsca na koźle z powodu owego wielkiego kufra, a za nim wgłębi bieli się coś niby duch jaki, czy też czeladnik z piekarni. Już chciałem pytać stangreta czy pan Ksawery nie przyjechał, gdy mój oczekiwany braciszek, bo on tak się wybielił, wyskakuje łapiąc mię z gorącą uciechą za szyję...

— Nu, jak się masz, jak się masz, przecie oglądam cię na wsi!...

Wybiegły na powitanie gościa i kobiety z proboszczem; podali sobie ręce, i gromadą całą wprowadzili się wszyscy do owego przybytku, zgotowanego z taką troskliwością dla gościa.

Czas będzie już przedstawić mojego brata szanownym czytelnikom. Jest wysoki i chudy jak tyka, z twarzą długą, wymokłą, na której w środku sterczy nasz prawdziwie familijny nos, trochę garbaty, w rodzaju koryolańskiego.

Szczupłość jego twarzy zwiększają krótko przystrzyżone faworyty, a czarne jak węgiel jego oczy, trochę wpadnięte, błyszczą osobliwym smółowym

Zasiedliśmy do stołu, Ksawerego ulokowali tyłem do okna a na prost Linci, która, trzeba jej to przyznać, dnia tego szczególnie dobrze się wysz tati ro wała. Obok Ksawerego z jednej strony była Lucynka, a z drugiej strony ciotka moja pani Tytusowa, która w tę niedzielę założywszy pasiastą turecką chustkę na siebie, nibyto do kościoła, również nibyto zapomniała jej zdjąć usiadłszy do stołu.

Obiadek był nie zły, ja miałem kapitalny apetyt, ale ten saiaндуła warszawski, jak kurczę, panie dobrodzieju. I zona i Linka i pani Tytusowa kładą mu na talerz co mogą, i proszą aby jadł i nie robił ceremonii— a ten człowiek się suinituje, ręce składa że nie może więcej. I rób z nim co chcesz...

— Ksawerku, jak mi dobrze życzysz — odzywam się i ja, bo zona, widzę, na mnie mruga — zjedz jeszcze połówkę tego kurczęcia. No, jak mię kochasz, ja wezmę jedne połowę, patrz, biorę, weź ty drugą...

Nic nie pomogło, ja swoją choć ta była nadetatową, zjadłem, bo czegoż człowiek po przyjaźni nie zrobi— a on nie chciał i nie. Jużto, co prawda, że wszystkie jąkały są uparte. Zresztą, pal cię lichu z kurczęciem, ale miałem jeszcze kilka butelek dawnego węgryzyna, wino, panie dobrodzieju, jak małmazya, obrączkę miało niezłą, a zapach trącił myszką — i myślę sobie, uraczę go. Kazałem przynieść jedne butelkę, nalałem w kieliszki, proboszczowi, widzę, aż oczy się świecą, a ten wymokły facet, buch, przewraca kieliszek do szklanki i leje do wina wodę.

— Co ty robisz człowieku? — wołam chwytając go za rękę z karafką.

łu, i w pasie, tak szczerze opinał pana Ksawerego, ie zdawało się, ii wszystkie żebra przezeń policzyć można. Niedługo zawołali na obiad.

— W ten moment! — odpowiada mój Ksawery, wybiega przed ganek i otwiera usta, i dycha niemi i dycha.

— Co ty robisz?

— Powietrze, balsam a nic powietrze... bozkie powietrze!

— Dobrze, tylko czegoż tak dyszysz?

— Widzisz, sześć razy trzeba odetchnąć, nim wprowadzisz całkiem nowe powietrze do płuc — mówi zachwycony, biorąc mię pod rękę... — Jacy wy szczęśliwi ludzie jesteście, że macie takie powietrze...

— My tu mamy jeszcze coś lepszego niż powietrze, prawda kochany proboszczu — starke prawdziwą, dwudziestoletnią żytniówkę... W ręce księdza dobrodzieja!

— Ja nie piję wódki, broń Boie! — zawoła odskakując Ksawery. — Jabym się miał truc wódką... jabym miał przy takim powietrzu wpuszczać spirytusowy jad do mego żołądka...

— To nie wpuszczaj, a my sobie z proboszczem palniemy na konto tego świeżego powietrza, którego już mamy po uszy...

— Święta prawda, święta—mówi ksiądz Józefat... Taka żytniówka, to, panie dobrodzieju, z grobu człowieka wyprowadzi... — A wychyliwszy kieliszek, głaszczę się starowina po piersiach... — Oj, jak się rozchodzi galopem, czuć jak się rozchodzi wszędzie...

A. Wilczyński. Tom XII.

i za każdym razem muszę szukać... a one pamiętają nutę arii, którą Jontek śpiewał, albo Halka...

Najgorzej na tem zaciętrzewieniu się wyszła ciotka Tytusowa,, która sześć razy próbowała zapytać Ksawerego, czy też żyje jeszcze Taglioni? Przed czterdziestu laty była ona raz z nieboszczykiem mężem swoim w teatrze, kiedy występowała, i dotąd nie było na świecie dla niej lepszej artystki.

— Panna Arot — mówi Ksawery — w Fauście jest zachwycającą Małgorzatą...

— Albo w Cyruliku Sewilskim— dodaje Lincia— kiedy jako Rozyna śpiewa z balkonu...

— I Tagboni śpiewała z balkonu — wtrąca ciotka Tytusowa, odrzucając z ręki nasuwającą się jej turecką chustkę...

— Ja już, pani dobrodziejko, nic pamiętam Taglioni, tylko słyszałem.

— O, ja ją widziałam i słyszałam jeszcze przed rewolucya...—ciągnie dalej ciotka z pewnym namaszczeniem.

— Trudno abym słyszał — mówi uśmiechnięty Ksawery — kiedy mię jeszcze nie było na świecie.

— Oho, ja już byłam! pamiętam, w pierwszej łoży siedziała wtedy oidynatowa Zamojska z księżną Łowiecką...
— Ależ moja ciotku — wtrącam — to bardzo staie dzieje...
— Ta, znowu nie stare... — Ono zawsze razem jeździły w powozie — rzecz ciotka zwracając się do mnie i do proboszcza, bo Ksawerego wzięła w koraple

— Mój drogi, ja nie moge pić samego win*...
— Bój się Boga, ależ zepsujesz... któż widział stary Toltaj pić z wodą...
— Kiedy ja się na tem nie znam... — odpowiada mi zakrywając ręką kieliszek, aby mu drugiego nie lać... — Pozwól niech wypiję % wodą...
A pijze sobie — pomyślałem i trąciłem się z proboszczem, i wyciągnęliśmy sobie we dwóch ową butelczynę, bo grzechem byłoby częstować dalej takiego barbarzyńcę...
Mojej żonie i Linci gość z miasta to delicyft. Zaraz o teatrze, zaraz o literaturze i poezjach, artystach i artystkach... a nawet i modach. Ksaweremu usta się nic zamykały, a tylko prawil im owe niedorzeczności, które one we dwie połykały. Jak te kobiety to wszystko muszą pamiętać! Toć i ja często bywam w Warszawie, no i czytam różne książki, dalibóg czytam co wieczór w łóżku, bo inaczej nawetbym nie usnął — ale żebym pamiętał, że ten, a ten, to, a to, napisał, ten ma taki, a taki pseudonim, ta artystka w tych rolach najlepiej wygląda, a ten przed sześciu laty namalował jakieś stado koni pędzone do wody — to doprawdy, ani mi to w głowie... A kobiety, recytują ci takie rzeczy jak z nut; prawda, nic mają kłopotów żadnych, ani z parobkami, ani z majstrem, ani z kupcem na zboże... Na wsi, panie dobrodzieju, żeby się miało trzy razy taką głowę jak się ma, to jeszczeby było mało do spamiętania rzeczy gospodarskich, a cóż dopiero tych miastowych niedorzeczności?... Książka weterynaryi to u mnie prawie leży na stole niezamknięta, bo co dzień się trafi, że coś zachoruje, a dalibóg, żadnej recepty nie pamiętam,

— Nie, jaśnie panie... tylko niech jaśnie pan będzie cicho...
— "Więc cóż u milion... gadaj rai zarazi...
— Tchórz, jaśnie panie — szepcze mi tajemniczo.
— Jaki tchórz, gdzie, co?
— Tchórz ten co kury dusi... wpadł tu pod belkę i Roguski go łapie...
— A żebyście, wy hultaje, tego a tego zjedli! — zawołam cały zaperzony i zbliżam się ku owej belce, przy której jak długi leży mój majster Roguski, a wsadziwszy rękę pod pułap, łomocze tam kijem...
— Precz mi ztąd zaraz, ja wam tu dam tchórze!.. Co to znowu za moda odprawiać polowania na strychu!.. — I nie wiele myśląc zaczynam szarpać mojego stolarza, aby wstał z ziemi...
— Wielmożny dziedziczu, jaki tchórz, to jeszcze jak żyję nie widziałem — modli się prawie spoglądając miłosiernie Roguski—wszystkie dziury zatkałem, a przy jednej koło komina jest smycz z drutu... Niech wielmożny dziedzic poczeka, on tam zaraz wyjdzie... jużgonamacałem kijem...
Szarpnię już z pasyą leżącego, Walentego odepchnąłem od siebie jak piłkę, ale oni ani myślą odejść, a Roguski coraz natarczywiej wystrasza owego tchórze.
— Jeszt! — krzyknie Walenty — podnosząc drucianą pętlicę do góry, na której coś czarnego pochwyconego w pół, wije się i piszczy i pryska jak kot.
— A co? nic tchórz, wielmożny dziedziczu—mówi z tryumfem podnosząc się cały zawalany pyłem Roguski biegnąc do Walentego... — Takiego tchórze nic ma

ne poińdanie Lincia. — Ordynatowa Zamojska miała taką tyftykową suknię w palmy tureckie, ale to nie była prawdziwa turecka materyą, jak moja chustka, tylko imitacyą. Nieboszczyk mój Tytus, który się znalazł na tem, bo sam mi tę chustkę kupował i dał za nią sto dukatów w ztocie...

— No, wstańmy panie kolatorze, wstańmy — szepnie mi proboszcz, który może już setny raz słyszał historyą kupna owej tureckiej chustki. — Co to tak długo siedzieć przy stole, to grzech...

ItusyliSmy się tedy z rumorem, a że Ksawerego już nie puściły kobiety, a proboszcz dorwawszy się gazety, usiadł na kanapie zatopiony w polityce starego Thiersa, ja skorzystałem aby się wymknąć na górkę i troszkę chrapnąć. Już, już, panie dobrodzieju, usypiałem, kiedy słyszę jakiś szelest, a potem łomot tuż obok na strychu.

Jeżeli w innych razach jestem nad wyraz cierpliwy, i mało co mię do pasy poruszy, to kiedy usypiam, a kto mię z pierwszego snu obudzi, gotówem go rozedrzeć w kawałki. Przy wszystkich kłopotach gospodarskich, tyle człowiek użyje spokoju, co śpi, więc zerwę się z onego łóżka, i wypadam obok na strych, co się tam dzieje...

— Pst, jaśnie panie, pst,... — słyszę, ktoś do mnie mówi i łapie za rękę.

— Kto tu jest?

— Pst... to ja Walenty — odzywa się kucharz nie puszczając mię dalej.

— Co to, złodzieje, czy co?

— Darujcie państwo, ja nio moge...

— Co to nie moge, panie dobrodzieju. Na świeżem powietrzu apetyt wzrasta... Takiej kawy, toś tum nie widział nigdy w Warszawie.

— A obwarzanecki piekła Lmcia własnymi rękami na przyjazd pański — dodaje zona.

— I przykroby jej było, żebyś nie jadł,.. spróbuj Ksawerku, mówię ci...

Musiał uwierzyć, bo wychylił całą filizankę, zjadł coś trzy obwarzanecki, ale widzę, ciężko oddycha — i szepce mi do ucha:

— Jak ciebie kocham, ledwo dyszę... Jak żyję jeszcze tyle w ciągu dwóch godzin nie zjadłem, co u was... A uważasz, ja jestem cierpiący, lekarze kazali mi strzedz się zbytecznego objadania, tu zaś u was tak wszystkosmakuje, że dalibóg, jeszcze gotowem zachorować.

Naśmiałem się też z niego, a gdy przyszła kolacya i herbata, rozpowiedziałem o tem moim kobietom, które już na tym punkcie wzięły sobie pana Ksawerego na fundusz...

Nazajutrz, kazał się Adamkowi obudzić mój braciszek o piątej z rana, rozpoczynał bowiem picie mleka prosto od krowy. Dziwna rzecz, że Lincia, która zwykle wstawiała o dziewiątej, tego dnia już dodnia była na nogach i sama dopilnowała, aby to mleko natychmiast po wydojeniu, jeszcze ciepłe zanesiono mu do łóżka.

w całej Polsce, jakim szlachcicz Roguszyna, wielmożny panie...

Gniew mój już ochłonał, bo co było mówić przeciw myśliwskiej zapalczywości dwóch przyjaciół, oni tel nic wiele sobie ze mnie robiąc, z niezmierną pompą znieśli na dół złapanego zwierza.

— Aaa... już nie będziesz dusić kurcząt — mówi do niego 'Walenty niosąc go do naszych pań siedzących w ganku, które na ten widok zerwały się przestraszone.

— Ma wielmożna pani tego złoczyńcę... Ja ci powiedziałem, bratku, że cię ujmę i ująłem... Niech się panie nie boją... a jakie to bestyjstwo złe... a ty jakiś...

Ksawery, który jak każdy mieszcuch nowicyusz, miał ogromną pasyę do polowania, zainteresował się bardzo owym tchórzem, oglądał go. dotykał z daleka laską, a wyjąwszy jakąś drobną monetę z portmonetki, wsadził do ręki kucharzowi. Od tej chwili zawiązały się zaraz między nimi stosunki myśliwskie; Roguski ofiarował się być przewodnikiem mojego gościa przy wszystkich projektowanych wycieczkach, obiecując że go zaprowadzi do takiego lasu, gdzie są aż dwie sarny.

Ledwie że potrafiłem się pozbyć owych natrętów ze swoją zdobyczą, gdy podano kawę na podwieczorek. O dalszym spaniu nie było co myśleć, a że obwarzanki nadzwyczaj ponętnie się przedstawiały, zasiedliśmy do owej kawy.

— Na miłość Rozką — powiada Ksawery — znowu mamy jeść!

— Eh! to tylko kawa — rzecze moja Lucynka stawiając mu sporą iilizankę z najlepszym kozuszkim, gdy Lincia przysuwa mu talerz z obwarzaneckami...

— No, no... A ta druga ze szpilką?

— Również do naboji, tylko, uważasz, jui raz wystrzelonych. Na ten szpic nakłada się tutkę naboju pustego, poruszy się rączką i kapiszon wyskoczy...

— A to, co znowu? — pytam oglądając jakąś płaską metalową maszynkę.

— To krzesiwko sztuczne... patrz — zakręcisz tak, i lont sam się zapala.

— To samo zapalki zrobią,

— Ale gdzietam, w polu, na wietrze, ile trzeba zepsuć siarniczek, a maszynka nie zawiedzie i jest oszczędność. Albo, uważasz, te wabiki na różne ptastwo: ten naprzykład na przepiórki — mówi dalej biorąc w usta piszczalkę ze spiralnie skręconym mieszkem. — Co, nie tak, jak przepiórka?...

— Prawda, że tak — tylko u nas mało przepiórek, a i te, co są, to nic głupie przyjąć do ciebie na wabika...

— Albo te, na kuropatwy, te na słomki, albo na zające, słuchaj jak beczy... a co, czy nie tak, jak prawdziwy zając?

Znudziłbym czytelnika, chcąc wymieniać różnorodne przyrządy myśliwskie, którymi po składach broni częstują zwykle takich fryców, jak mój Ksawery. Żeby to wszystko nieść z sobą na polowanie, trzeba by przynajmniej trzech ludzi dość ciężko obładować... Do rybołówstwa już mniej, ale nierównie rozmaita była kolekcja przyrządów: wędka składana z futerałem, jakieś malowane czółenka z pływakiem i włosianymi sznurkami, na jesiotry chyba, a nie zwyczajne u uas ryby. Haczykóir coś miał sześć czy ośm gatunków różnej wielko

No, myślę sobie, co to znaczy u kobiety chęć podobania Bię... Ho, bo! znam ja się na tórn, jak to wy umiecie biednego mężczyznę opętać, obmotać swemi pajęczemi nitkami, tak że się biedak ani ruszy... Chciałem go ostrzedz, jako brata, ale zastanowiwszy się lepiej, że on dla Linci byłby jedyny mał, dałem pokój, bo po co przeszkadzać drugim i uczyć rozumu, którego się dawniej samemu nie miało. Widać to już taki jest porządek na świecie od najdawniejszych czasów, skoro nie tacy jak ja naprzykład, szlachcic wioskowy, ale uczeni i genialni bohaterowie dali się połapać i siedzieli do samej śmierci pod pantoflem...

Kiedym o ósmej godzinie przyszedł do Ksawerego dowiedzieć się jak spał i zaprosić na kawę — zastałem go przy rozpakowywaniu owego wielkiego kufra... Miły Boże, co tam w tej skrzyni było rozmaitych rzeczy, to doprawdy i na wołowej skórce nie spisał. Jeszcze nie wyjął polowy, a wszystkie miejsca na stołach, na krzesłach, na łóżku i kanapie były założone temi rupieciami. Szczególniej kompletnym był zbiór do polowania i do rybołówstwa, z którego kochany braciszek sklepy warszawskie formalnie porabował.

— Bój się Boga, — mówię mu — to tam chyba W Warszawie nic tych rzeczy nie zostało? Gdybym nio wiedział, że z Polanki wrócisz napowrót do siebie, myślałbym że się wybierasz na osiedlenie do jednej z wysp australskich...

— Ja tu nic nie mam zbytecznego...

— Cóżto za maszyna z korbą?

— To jest dla zakończenia naboji do Lankastrówki.

— pntwy w locie, to się bierze tuk na ćwierć łokcia przed dziobem...

— Zobaczymy, jak to ty będziesz strzelał?

— Zobaczymy. Wam się zdaje, że tylko wy na wsi znacie się na myślistwie. Mój kochany, nauki dziś wszystkie postępują, a teoria więcej znaczy od wprawy. Ty na przykład, zabijesz zająca, no, to jak prosty szewc zrobi buty na wsi — przypadkiem. Ale dlaczego, co, jak być powinno? — obadwaj nip wiecie, ztąd też potrzebujecie całych łąt, nim dojdziecie do tej wprawy... My zaś ludzie teorii, daleko lepiej i prędzej toż samo zrobimy, bo nie zrobimy na chybił trafił, ale podług zasady...

— Niechże i tak będzie, a teraz pójdźmy na śniadanie, bo kobiety czekają.

— Mój kochany, jeszcze jedna rzecz. Rośnie tu u ciebie tatarak i chrzan?

— Och, choć na fury bierz... a na co ci te ziela?

— AVyczytałem, że to najlepszy środek na zęby, jak pokrajany korzeń tatarakowy i chrzan wysuszyć, a potem namoczyć w spirytusie przez dwa tygodnie... Jeden mój znajomy, radca w biurze, dwadzieścia lat jak używa tego środka i nie zna co to ból zębów... Kadzę ci, zrób to samo...

— A, mój drogi, gdzie ja tam mam czas myśleć o takich lekach. AVy, co innego w mieście, to tylko przemysli wacie nad tem, jak swoje zdrowie konserwować...

— Wierz mi, znalazłbyś i ty czas na to... Tylko wasze szlacheckie niedbalstwo stoi na zawadzie... Okropnie jesteście zacofani...

tol i zakrzywienia, a na każdą rzecz oddzielny futerał i paskami do zawieszenia lub przypięcia do guzika surduta...

— Widać, mój bracie, że nie wiesz co zrobić z pieniędzmi, kiedy się bawisz w kupno takich bagatelek, a to pewnie grubo kosztuje.

— Cóż chcesz, już taka moja natura, że ja wszystko lubię mieć porządne i eleganckie... Patrz na tę torbę, mała, ale co za pyszny słój tej skóry cielęcej... Zkąd oni tam za granicą takich delikatnych cieląt dobierają... Iść na polowanie, to z szykiem... Co tu jest różnych schowanek, co rzemyków?... można parę tuzinów ptastwa przyczepić. A jaki nóż myśliwski, co?... łyżka jest, nóż. widelec, krzcsiwko, trybuszon, co chcesz w tym iednym nożu...

— No, a umiesz ty strzelać?

— Oo, umiem, strzelałem kilka razy na Saskiej Kępie, do celu i bardzo trafnie, że sam majster aż się dziwił... Ras, o włos tylko kula nie trafiła w centrum... żebym troszeczkę wziął na lewo...

— Ależ mój kochany—mówię mu z uśmiechem— zając, kuropatwa, to nie to, co tarcza do celu.

Nu uwagę moje odparł Ksawery z wielką pewnością siebie:

— Przepraszam, bo to wszystko jedno, czy do tarczy strzelam czy do zwierza; mam nawet obszerne dzieło o myślistwie, i doskonale wiem, jak się bierze na cel każdą zwierzynę... Są tani dokładne rysunki do tego: w zająca na przykład mierzy się zawsze w nos, bo szybko biegnie, więc nim nabój doleci do niego, to on się troszkę posunie i akurat trafi go w serce... A do kuro

— S —

— Bardzo dobry — powtarza echem niby chór w tragediach greckich, szanowne gremium rezydentek w białych czepkach zawiązanych pod brodą.

— Co to jost? czy sztuka mięsa., czy pieczeń, czy węgierski gulasz?... dalibóg nie rozumiem., ja tego jeść nie moge...

— Mój kochany, to cóż ja ci już będę wymyślać za potrawy! Tego nie, tego nic... doprawdy trudno znaleźć większego grymasnika... Pamiętam, u nieboszczki mojej matki... no i ojciec nio był też taki potulny do jedzenia... a bigosik jadaliśmy dwa i trzy razy na tydzień. Teraz każę zrobić raz na miesiąc i źle... Ciężkie czasy, mój kochany... i tak już w głowę zachodzę, że tyle się na dom wydaje...

Otoż zwykle tym ostatnim argumentem zamykano mi wszelkie protestacye, i człowiek położywszy uszy po sobie, pałaszował choć z biedą ów nieszczęśliwy bigosik: trudna rada, ciężkie czasy.

No, a teraz, kiedy przyjechał Ksawery, hulaj dusza! Franciszek już nie schodzi z konia, a jeździ to tu, to tam, szukając różnych delicyi, Zona pachciarza, dwa razy na dzień znosi w fartuchu to masło, to jaja, to raki lub kurczęta, bo swoich

było szkoda zabijać, a ty Auguście, dajno dwa ruble, dajno trzy ruble, bo już wina nic ma, i piwa trzeba kazać przywieźć.

— Na co?

— Widzisz, Ksawery w mieście przyzwyczajony do piwa, on to woli niż wino...

A najgorsza sprawa to była z tem pieczeniem chleba, bułek i różnych kręconych figlasów. Regularnie dwa razy na dzień szedł z nieckami i kwartą Walenty przez mój pokój do Spizarni, a wracał obciążony

Szczyściem że nadeszła Lincia zapraszając nas na ową kawę, do byłbym mojemu panu filozofowi od zielonego stolika wyciął taką repremendę co się tyczy owego zacofania i niedbalstwa, że byłby mię popamiętał. Dlatego dobrze się zrobiło, że Lincia się zjawiała, a zjawiała się w tak różoworozkoszonym humorku, z błyszczącymi oczkami, gałązką bzu we włosach, nucąc przytem wesołą piosnkę Moniuszki, że ten safandula Ksawery miałby chyba mleko prosto od krowy w żyłach, a nie krew naszą familijną, żeby tego wszystkiego nie widział. Jak raz, oni stworzeni dla siebie — pomyślałem idąc za uielui — on i ona letkiewiczze, marnujący pieniądze na fatalaszki... Niech więc przeznaczenie spełni się nad nimi.

Z przybyciem tego gościa do nas, cały porządek zmienił się odrazu — a mnie się koniecznie zdawało, że co dzień mamy święto. Moja Lucynka, przy wielu swoich przymiotach, ma tę wspólną wielu gospodyniom wadę, że jest troche próżną na punkcie wystawności domowej. Jak nikogo niema, a tylko sami swoi, żyjemy sobie porządnie, ale skromnie, po szlachccku. Często gesto i mięsa zabraknie, aby nie odrywać człowieka od roboty, posyłając go do miasta; czasami, o co się i krzywiłem nieraz, podadzą odgrzewaną pieczeń z dnia poprzedniego, owe ;eneralne pierożki z mięsem, a co najwięcej mnie irytuje — to nieoszacowany bigosik z jabłkami.

— Moja Lucynko — mówie przebierając na talerzu owe kawaleczki mięsa pomieszane z jabłkami — zkąd ty wymyśliłaś taką potrawę?...

— Nie kapryś Auguście, nie kapryś, bigosik bardzo dobry...

codzien Adamek przynosił świeże kołnierzyki i mankiety, a zwyczajną drelichową katankę tak gdzieś głęboko schowała iona, ie musiałem od samego rana stroić się w nową, dotąd tylko na wizyty używaną żakietę.

Co się tyczy Ksawerego, nie widziałem jeszcze człowieka, któryby tak wsią był zachwycony jak on. Poprostu z namiętnością skąpca eksploatował każdą godzinę dnia, aby tylko być na świeżem powietrzu i rozkoszować się pięknością natury. Wypiwszy swoje mleko o piątej z rana, zabierał nóż myśliwski, gazetę, tytoń—maszynkę do ognia i szedł do pobliskiego lasu. O ósmej regularnie wracał z pękiem leśnych kwiatów, lub kilku sztukami grzyhów wiosennych, zwanych smardzami. Raz nawet, z powodu takiej wycieczki rannej napędził nam nie mało strachu. Upływa godzina ósma, dziewiąta, dziesiąta—mojego Ksawerego nie ma.

— Co to jest?—pytają kobiety.

— Ja nie wiem.

— Chyba mu się jakie nieszczęście przytrafiło?— mówi przerażona Lincia. — Może się zastrzelił, albo spadł z drzewa...

— Dubeltówka jest w pokoju, więc nie miał się czem strzelać, a po drzewach, o ile wiem, nie łązi...

— Może go kto napadł, albo zachorował nagle, to takie delikatne... Słuchajno, Auguście, możeby posłać kogo?

— Ja sam pójde, tylko się dowiem w którą stronę się udał... — rzeknę również zaniepokojony. I wzięwszy kapelusz i laskę, puszczam się przez ogród ku lasowi, którądy, jak mi powiedziała dziewczka folwarczna, szedł rano ten pan warszawski.

Ledwie, że zamknąłem furtkę ogrodową za sobą,

piramidami maki, obstawionemi groinada, jaj i bryła, masła.

— Co wy tak pieczecie ciągle, moja Lucynko? — zapytałem niechętny...

— Tylko też się do kuchni nie wtrącaj, Auguście... Fe, to brzydtko na mężczyznę kiedy chce wtykać nos do garnków... Pieczemy, bo potrzeba... Ot, lepiej, żebyś kazał Franciszkowi jechać po drożdże do Wolicy, a nie do miasta... Ten Icek, szachraj, to tylko samą wodę przysyła...

— Oczywiście, proszę wielmożnego pana, szczerą wodę—powtarza jak zwykle Walenty, wylewając na rękę z butelki sianem zatkanej trochę owych drożdży.— Niech, wielmożny pan, sam zobaczy, czy to sposób, aby na tym ciasto mogło urósć...

— Co ja się na tem rozumiem, dajcie mi pokój... to tylko wiem, że wszyscy od niego biorą...

— To też tak samo narzekają... Będąc na twoim miejscu, tobym mu nie zapłaciła nic...

— Bo i nio warto nic płacić—dodaje kucharz...

— Ależ ja mam z nim umowę roczną... daję mu sążęń drzewa...

— To tóż, że u ciebie zawsze takio gospodarstwo, że kto nie chce, korzysta z ciebie...

— No, no, już niech jedzie do Wolicy, niech jedzie... a Icka jak będę w mieście wymyślę...

Co się tyczy ubrania moich dam i całego sztabu, to wszystko było rzeczywiście po świątecznemu wyfiokowane. Nawet Kwapiszewska, której najparadniejszym strojem był niefałdowany watowy szlafrok w żółte z zielonem pasy — chodziła jak upiór czerwona, pociła się, a nie chciała zdjąć tego papuziego munduru. I mnie

którą obieram za podstawę operacyjną do dalszych wycieczek. Posuwam się tedy znowu, znajduję kije coraz lepsze, a gdy już zebrałem tę oto kolekcję, zawracam do mojej podstawy... No i wyobraź sobie, sosny niema!

— Żartujesz, czy co?—przerwywam śmiejąc się— gdzieżby się podziela?

— Daję ci słowo honoru. Czy moje, czy sosnę ktoś zczarował, dość, że niema. Już pewno ze dwie godziny chodzę w różne strony i wracam i znowu chodzę po lesie, oglądając każde większe drzewo: niema. Zegarek został w kamizelce, która godzina nie wiem, ale czuję głód i nogi mi ustają; więc zdjawszy pychę z serca, chyłkiem między opłotkami wracam do domu...

— A niechże ja cię uściskam, Ksaweruniu!—mówię, spoglądając na jego nieszczęśliwie komiczną postawę.—To ci się udało, jak Boga Kocham, paradnie ci się udało. A niechby cię też kto ze wsi zobaczył, albo nieprzymierzając psy...

— Auguście, daj słowo, że kobiety o tym się nie dowiedzą! Jak mię kochasz, daj słowo!

Dałem a przyniósłszy mu ukradkiem inne ubranie z pokoju, puściliśmy się napowrót do lasu. Mówię państwu, nie uszliśmy stu kroków, gdy spojrzę, coś mi zabielało pod sosną, i jak raz wszystkie jego manatki leżą ani tknięte tam gdzie je położył.

— Słowo honoru daję, że to czary!—krzyknie uradowany mieszczuch — sto razy tu byłem, pamiętam tę sosnę z krzywą gałęzią, byłem, tu, a rzeczy nio było.

Niepodobna go było przekonać, że poprostu błądził po lesie, co bardzo często i mnie się zdarzyło, choć moje lasy znam na wylot — upierał się, że nieprawda i nieprawda...

i spojrziałem na drogę wiejską; patrzę, ktoś taki jak Ksawery, wysoki i biały, ale bez surduta i bez kapelusza idzie naprzeciw mnie szybkim krokiem. Przypatruję się, jak raz Ksawery, cały spocony, czerwony jak upiór idzie zakrywając łysinę rękami.

— Ksawery, co się to stało?

— Bój się Boga, nieszczęście mię spotkało?

— Jakie nieszczęście?—pytam, spoglądając na jego desperacką minę.

— Zaraz ci powiem, tylko daj mi chustkę, bo muszę sobie głowę nakryć, i na miłość Boską, nie mów ani słowa kobietom, jeżeli mi dobrze życysz...

Widzisz, głupstwo się zrobiło.

— No, czy cię kto obdarł?

— Ale nie, tylko, uważasz, chciałem sobie uciąć leszczyny na laskę, ale żeby miała zakrzywioną rączkę, ot laskę, jak ty niesiesz. Już miałem jedne i drugą, ale każdej coś brakowało, więc upatruję po krzakach, czy coś lepszego nie znajdę...

— I na cóż ci tych lasek?

— Na co? — mówi, spoglądając mi litośnie w oczy. — Ja ci interes zrobię z temi laskami. Masz skarby w swym lesie i nie wiesz o tem... Człowieku, toż takie laski tysiącami sprowadza się z zagranicy, a ja wam pokażę, że u nas takie same za połowę ceny można zrobić... Napiszę artykuł do gazet...

— Dobrze, aio cóż się zrobiło z twojem ubraniem?

— Idę tak od krzaka do krzaka — rozповіда Ksawery — a że się trochę zmęczyłem wykopując korzenie, więc bez ceremonii zdejmuję paltocik, krawatkę, kamizelkę, kapelusz i wszystko to składam pod sosną,

A. Wilczyński—Tom XII.

— Gdzie tu szukać wilków?

— Nic nie szkodzi, mogły się znaleźć...

— No, kiedy niema takich wilków.' Jeżeli pokaże się jaki, to poluje na gęsi, albo na barany, a nie na Warszawiaka.

— A inna jaka jest zwierzyna w tej okolicy?

— Sarny, lisy, zające, czasami dziki...

— Doskonale, dzik mię napadł! Wybornie, straszny odyniec z takimi kiami na pół łokcia... Uważasz, ja byłem bez strzelby, wdrapałem się na drzewo...

— Zmartwisz Lincię.

— Naprawdę myślisz, że się zmartwi?—pyta mię z miną okazującą pewne zadowolenie.

— Niezawodnie... ona tak się interesuje tobą...

— To dobrze, bardzo dobrze... Nic nie szkodzi, że się trochę zmartwi; pasyami lubię obserwować młode twarzyczki przestraszono... ślicznie wyglądają wtenczas, robią takie wielkie oczy. Tylko, mój drogi, nie zdradzaj mię, i zrób minę seryo...

Rzeczywiście, mój Ksawerek, wybornie umiał odmalować kobietom całą grozę mniemanej walki z dzikiem, i pierwszy raz przekonałem się jak miejscy dandysowie gładko kłamać potrafią... Nie dziwię się, że piszą książki z imagiucy.

Powiada, dzik był rozwyścieczony, zębami gryzł pień tego drzewa na które on się schronił — a ryjem i kłami to wyrzucał ziemię do góry wyżej dachu naszego dworu...

Kobiety, mówię państwu, co to niby takie mądre są—wierzły, a Lincia tak była zastraszona, że przy każdym chrząknięciu dzika, które mój Ksawery wiernie naśladował, zasłaniała twarz jedną ręką, a drugą chwytła za moją rękę i czułem, że ta była mokrą od zimne

— No, a jeżeli tak jest jak powiadasz, to od dziś dnia, ani się ruszę boz igły magnesowej... Człowiek przezorny powinien być na wszystko przygotowany.

Wracając do domu obciążeni pękami owych kijów przeznaczonych na laski, rozmawialiśmy o różnych przygodach w lesie, i dopiero przypomniałem sobie, że nasze panie są zaniepokojone tą jego zagadkową nieobecnością.

— "Wiesz, Lincia, to nie mogła sobie miejsca znaleźć — odzywam się, zadowolony z tej dyplomatycznej wzmianki.

— Nie może być?

— Daję ci słowo, ta dziewczyna ma anielskie serce. Powiada, czy go rozbójnicy napadli?...

— "Wiesz, Auguście — przerywa mi żywo. — Możeby to nie źle było, aby coś w tym rodzaju wykonypować.

— Prawda, nic pomyśleliśmy o tem, że im coś potrzeba powiedzieć, ale zkądże znów rozbójnicy?...

— Dlaczego?... Było ich trzech z bronią, a ja sam jeden, no...

— Dajże sobie pokój. One gotowe uwierzyć, a jabym z tego powodu miał kłopot nielada. Kazałyby mi w noc stawiać przy domu stróżę, drzwi tarasować, historyę... bo to wszystko bojaźliwo stworzenia, a o rozbójnikach w naszych stronach ani słychu.

— "Więc cóż powiedzieć?

— Poprostu żeś zblądził albo usnął.,.

— A, broń Boże, nie... Chcesz zemnie zrobić niedołęgę... nie. Uważasz, czyby nie dobrze było, żeby mię wilki napadły?

go potu. Wskutek więc podobnego zdarzenia, zapadła jednomyślnością: głosów uchwała, że pan Ksawery mimo nieustraszonej odwagi swojej, odtąd nie może am oddalać się do lasu, ale zawsze musi być z nim gajowy. Lincia nawet troskliwość Bwoją posunęła jeszcze dalej, bo przyrzekła towarzyszyć mu zawsze przy wyprawie z wędką na ryby, pomimo, że moja Lucynka i cały sztab za nią, zrobił bardzo kwaśną minę na to oświadczenie.

— Linciu droga — mówię śmiejąc się — przecież w naszym stawie nie ma rekinów żadnych ani smoków morskich?

— Nic nie szkodzi — odrzecz z zapalem — pan Ksawery jest tak roztrzepany, że gotów sobie Bóg wie co zrobić.

— Dziękuję pani, z całej duszy dziękuję—powiada, całując jej rączkę, Ksawery — i przyjmuję łaskawą opiekę... Pani sobie nie wyobrazisz, jaka to jest przyjemność przy łapaniu ryli na wędkę...

— Panie Ksawery—wtrąca na to zona—pan jesteś niebezpiecznym ze swojemi wędkami.

— Nie, łaskawa pani, nie — odpowiada dobrodusznie—to wcale niejest tak niebezpieczną ta zabawa... Puszczą się sznurek z haczykiem na wodę, zwykle przy jakim zakręcie rzeki, i czeka się najspokojniej, dopóki rybka nie ruszy...

Nie słuchałem dalej już tego wykładu, bo przychodził czas poobiedniej drzemki, więc cichutko wysunąłem się do mojego pokoiku, a wzięwszy gazete do ręki dla zmęczenia oczu, układałem głowę na poręczu fotelu—gdy słyszę, wpada Lucynka, za nią Srokowska, za nią pani Anzelmowa, a wreszcie ciotka Tytusowa.

— Pozwolisz nam Gustawie zrobić tu małą konferencyę?—pyta Lucynka, widząc, że ja rozkładam z największą powagą książkę rachunkową.—My tu nie zabawimy długo... nie bój się, będziesz mógł zaraz swoje rachunki zapisywać... Proszę cię, słyszałeś, co ten trzpiot Lincia, zrobiła?

— No, cóż takiego?

— Jakto, nie słyszałeś, ofiarowała się towarzyszyć Ksaweremu na ryby?...

— Słyszałem, niech idzie...

— Szalona dziewczyna.'

— Więcej jak szalona — dodaje pani Srokowska, nie puszczając dwóch kotów, które się jej gwałtem z pod rąk wrywają.—To czysta emancypantka, blomeryatka...

— Słyszaneż to rzeczy — wtrąca ciotka Tytusowa — żeby panna w ośmnastu latach narzucała się tak mężczyźnie!...

— Pozwalacie czytać romanse, nic tylko romanse—rzecze pani Anzelmowa z założonemi nakrzyż rękami—to z tego podobne skutki wypływają... A kiedy ja mówię, weź się Linciu do książek nabożnych, czytaj Tomusza a Kem pis...

— Bo panibyś chciała wszystkich tylko świętymi porobić — odzywa się ciotka. — I ja czytałam romanse w młodym wieku...

— Ot—myślę sobie—źle, one tu przyszły na radę a zaczynają się sprzeczać: bywaj zdrowa drzemko...

Wstaję tedy i powiadam:

— Moje panie, o co wam idzie?

— No, trzeba coś radzić—mówi zona—Lincia jest uparta i pójdzie z nim.

tralność dopóty, dopóki przy konferencyach stron paktujących sercowe sprawy, nie zostaną, narażone na szwank interesa domu, które ona reprezentuje.

Tego rodzaju „przywoitka" najczęściej zajęta jest robotą pończochy, czasami czyta coś, czasami haftuje i milczy i zazywa tabaczkę, aby odpędzić sen cisnący się do oczu. Lecz gdy rozmowa młodych zaczyna przechodzić w szeptanie,

albo też grozi niebezpieczeństwem eksplozyi uczuć, pani ciotka dostaje nagle gwałtownego kaszlu, albo drut jej wypada z roboty, albo wreszcie zbierze się jej na ciekawość wyjrzenia oknem, czy też będzie pogoda na jutro. Gdy się to odbywa w salonie, kontrola jest dość łatwą, jeżeli naprzykład, musi towarzyszyć młodym na przechadzce — to zadanie tój pani staje się w dwójnasób trudne i fatygujące.

—Czegóż tak biegniesz Maryniu, albo Luciu... a poczekajcież.

— A, moja ciociu — mówi pupilka — nie możemy przecież wlec się żółwim krokiem...

— To jest niegrzecznie, moja panno, zostawiać starszych poza sobą... Panie Alfredzie, proszę, podaj mi rękę.

I pan Alfred, albo Ksawery, jak niepyszny musi się zastosować do życzenia kochanej cioci, a rozdąsana panienka postępując obok, na złość, albo wcale się nie odzywa, albo nucąc jakąś piosneczkę z desperacyi, od czasu, do czasu, zapytuje ciotkę, ile też ona waży funtów, lub ile paczek tabaki potrzebuje na miesiąc, albo jaka to może być przyjemność osób chorujących na no

— Pójdzie—powtarzają wszystkie trzy damy.

— A przyznaj, tak samej panience nie można pozwolić iść tam gdzieś do stawu na ryby...

— Więc coż?

— Trzeba, żeby ktoś szedł z nimi.

— Niech idzie.

— Ale kto?

— Ktobądź, pani Srokowska...

— Ja się nie podejmuję, ja nie mogę dzieci odstąpić, zresztą Murdziuńkę moją zarazby psy rozszarpały... ona taka lękliwa...

— A pani Anzelmowa?

— Ja nie mogłabym patrzeć na takie figle... Nie, nie, woję szyc, woję prasować, prac nawet, a nie będę służyć za pokrywkę...

Widząc, że cała sprawa grozi długą dyskusją i chodzi, mówiąc stylem kancelaryjnym, o wydanie instrukcyi „odnośnego” zachowania się pani Tytusowej w pewnych „ewentualnych” okolicznościach, udałem bardzo zajętego mojemi rachunkami. Wreszcie, ponieważ tego rodzaju „ankieta dotyczyła”* interesów noszących charakter familijnej narady, z ujawnienia której mógłby powstać „konflikt” bardzo drażliwego temperamentu, darując czytelnicy, że robiąc tu o niej urzędową wzmiankę, zamilczę o dalszych szczegółach.

Nie mogę zapewnić, czy w hierarchii domowego porządku w Galicyi, znanym jest urząd duenny W Królestwie Polskiem, na Podolu i stepach ukraińskich, nie zostawią nigdy dwójga ludzi, jak to mówią mających się ku sobie, żeby tam na trzeciego nie była jaka podeszłego wieku osoba, czy stara guwernantka, czy ciotka lub wujenka, przedstawiać mająca ścisła, neu

Patrząc, stoją oboje nad wodą trzymając cierpliwie ogromne pręty trzciniowe. Co chwila mój Ksawery wyciąga — ale pusto, toż samo robi Lincia, której ryby nieustannie zjadają przynętę, a Ksawery coraz nowszą nakłada...

Trwało to jakiś czas dość spokojnie; naraz słyszę krzyk ciotki, oglądam się, biegają wszyscy koło pani Tytusowej, która trzyma się za głowę i krzyczy.

— Co się to stało? — pytam zbliżając się do stawu. I pokazuje się, że pan Ksawery w zapale rybolowczym tak mocno zamachnął wędką, że zaczął haczykiem o czepek szanownej ciotki, a pod czepkiem podobno i za ucho.

Biedna kobieta tak była przestraszona, że nie dała do siebie nikomu przystąpić; prowadzimy się więc całą kalwakatą do domu, a Ksawery błady jak ściana niesie swą wędkę, niby jaką chorągiew nad głową pani Tytusowej.

W rezultacie pokazało się, że tylko czepek a nie ucho szanownej matrony doznał pewnego uszkodzenia, jednak ta okoliczność do tego stopnia zmartwiła Ksawerego, że połamawszy na drobne kawałki wszystkie rybackie przyrządy, wyrzucił je przez okno.

— Basta! — mówi do mnie — więcej na ryby nie idę.

— Ale głupstwo— perswaduję mu — przypadek; zresztą po co ci laźla pod rękę... No, i o tem w książce twej o rybołówstwie nic nie stało...

— Rzeczywiście, autor nie przewidział tój okoliczności...

gi w chodzeniu na spacer... Młode panienki, mimo całej dobroci serca, w takich razach lubią by złośliwymi. Wyprawa na ryby zapowiedziana, — i zaraz po obiedzie rozpoczynają się przygotowania do tego. Mój Ksawery, odczytawszy rozprawę o rybołówstwie z pomocą Adamka, który do takich rzeczy jedyny, robi poszukiwania robaków. Z łopata, z blaszaną puszką i nożem, idą między obory i zaczyna się kopanie... Tu niema, tam są ale złe, tu znowu dobre lecz w małej ilości — a słońce pali i Ksawerek się poci, podczas, gdy Lincia w pasterskim kapeluszu, naładowawszy koszyczek różnemi zapasami na podwieczorek, oczekuje niecierpliwie w ganku i tupie nóżkami i zagląda do owego koszyczka, wyciągając z nudów ciastko za ciastkiem. Pani Tytusowa z rumianem i błyszczącym obliczem, umyślnie włożyła paskowany fartuszek z kieszeniami, w których pomieściwszy kłębek z bawełną, dwie chustki od nosa, pęk drutów i futeralik z okularami, hamuje niecierpliwosć panienki. Niedaleko za ogrodem płynie rzeczka, na wiosnę szeroka, może na pięć kroków, a w lecie nie przedstawiająca żadnej trudności do przeskoczenia. Miałem i ja interes w tę stronę, bo siano składali w kopki, powlokłem się przeto za niemi, aby zobaczyć jak mój uczony teoretyk weźmie się do rzeczy. Rzeczka wpadała do stawu, więc przy jej ujściu, pod cieniem drzew roztasowała się nasza gromadka.

— Lucynko droga, — mówię, do niej — on ani myśli!

— Co wy tam mężczyźni o tem wiecie... Pokaż mi aby jednego uczciwego konkurenta, któryby sięz myślą zabiera? do ożenienia...

— Piękna opinia o nas... Więc my tak, z zawiązanemi oczami idziemy na wasz lep?

— Naturalnie, i tak być powinno... Dziękuję za męża, albo za narzeczonego, który się rozumnie kocha... Miłość, ożenienie się, to jest czysty przypadek... ślepy tral... ot tak coś... Bóg wie co, ale w żadnym razie nie obrachowanie, i nie rozsądek.

— Dziękuję ci za to... uniżenie dziękuję... więc i ja?...

— I ty, i ty!... — mówi śmiejąc się i dobrodusznie machając ręką.

— Otoż, mam honor pani powiedzieć że jesteś w błędzie — rzeknę obrażony podobnem lekceważeniem. — Nim się z tobą ożeniłem, długo i gruntownie zastanawiałem się nad tem.

— To jest, rachowałeś?

— Przepraszam, nie rachowałem...

— Więc nad czemże się tu było zastanawiać?... Podobałam ci się... prawda?

— Ma się rozumieć... Ale z czego?

— Dobrze, debrze, powiedzno z czego, właśnie jestem bardzo ciekawa dowiedzieć się, co też we mnie widziałeś godnego swej miłości? No, czegóż tak długo myślisz, czy trudno ci wynaleść to coś dobrego w mej osobie?...

— Żeby zamiast ryb, stare ciotki łapać za uszy, co?

— Eh, ciebie to tylko żarty się trzymają, a tymczasem ja jestem tak zdesperowany, że daję ci słowo, gotowem natychmiast wyjechać. Jak ja teraz odważę się pójść na kolacyą i jak oczy podniosę na kobiety?

— Przyznaj, że na takie jak pani Tytusowa, to i tak nic podnosisz...

— Najbardziej chodzi mi o twoją żonę i pannę Michalinę, co one sobie pomysła?...

— Ba, ba, co się panu zachciewa! — mówię klepiąc go po ramieniu. Ja, bracie, już lat szesnaście studuję moją żonę, a dalibóg, nie wiem co ona o mnie myśli, a tybyś chciał w tydzień dojść, co o tobie myśli... Dajno sobie pokój z tem zmartwieniem... Wielka rzecz, żeś tam babinie nadwerekzył kawałek czepka, jeszcze ci będzie wdzięczną, bo jej dasz nowy przedmiot do opowiadania, dla którego może zapomni o Taglioni i o szalu tureckim, który jej mąż kupił na kontraktach w Kijowie.

Ledwie, przedwie z pomocą żony i Lincii wyperswadowaliśmy Ksaweremu jego zmartwienie, a gdy jeszcze sama ciocia Tytusowa, obdarzona na przeproszenie dwoma całusami w obie tłuste rączki, całą winę złożyła na Lincię, że ją wyprowadziła na tę wędrowną, dobry humor powrócił na oblicze kochanego gościa.

Następny dzień z powodu owej tatarakowej nalewki na zęby, przepędził Ksawery w domu, a że Lincia dotrzymywała mu serdecznie towarzystwa, moja żona nie wątpiła, że lada dzień usłyszy najnormalniejsze o rękę swej siostry oświadczenia.

— Jużeiż, bez bułek trudno się obejść.

— No, to timeba posłać pszenicę, tylko proszę cię, napisz do młynarza, żeby mi najwięcej zrobił drugiego numeru, bo pierwszego mam większy zapas... I niech dobrze poprzewiązują worki, żeby w drodze sznurek nie pękł i mąka, się nie pomieszała, jak było ostatnim razem... A teraz muszę iść do kuchni, Walenty tam czeka, żeby mu dać żelatyny do galarety...

No, i dysputajże się z niemi, i przekonaj o czem. Ty swoje, one swoje, a w końcu zagadają cię, oszołomią, zakrzyczą, wyrafinują, i pokaże się, panie dobrodzieju, że człowiek naprzeciw nich jest sobie, jak tabaka w rogu, a one tylko mają kompletną racją...

Nie wiem, jakie tam żony innych, bo w cudzej skórce nie chodzę, ale moja, to jest sobie kobieta fines i dalibóg, nie głupia. We wszystkim umie sobie dać radę, i wszyscy ją lubią, i jest sobie wesola zawsze, choć nie żaden letkiewicz, bo jak były ciężkie na nas czasy, potrafiła zachować godność pani domu, wspierać moją odwagę i ślęczyć nad choremi dziećmi, czuwając przez dziesięć nocy z rzędu... Sądzę więc, że takich musi być u nas więcej, a kto wie, czy nie wszystkie, ho to, gada się i gada o złych niby kobietach rozmaite rzeczy, ale po większej części ze zwyczaju, albo w przystępie gniewu; tymczasem wielki błąd popełniłby ten, coby temu wierzył...

Niechący spostrzegam się, że zamiast opowiadać dzieje Ksawerego na wsi, palnąłem odę do naszych Polek, jakby im co na mojej opinii zależało—przeprosiwszy więc czytelnika, idę dalej...

Mój braciszek jest nadzwyczaj ruchliwego temperamentu i nie może godziny wysiedzieć na jednym miej

— Uderzyło mię... — ciągnę wolno, rzeczywiście pytaniem tem zakłopotany.

— Cóż cię uderzyło?

— Przepraszam, uderzył mię... Ale czego mię tak naglisz, przecież muszę sobie przypomnieć...

— Ja ci pomogę... powiedziałaś uderzył mię... no, któż to cię uderzył?

— Ale dajno pokój moja kochana, ty umiesz tylko tak mi pomieszać szyki w głowie, że nie mogę zebrać myśli...

— Ot, widzisz stary, teraz powiedziałaś prawdę... Pozwól niech cię ucałuję, ty filozofie małżeński... To właśnie, to jest nasz jedyny talent, pomieszać wam wszystko w głowie, tak, że nie wiecie co się z wami dzieje... Zaręczam ci, toż samo będzie i z Ksawerem i z każdym mężczyzną, choćby był wynalazcą perpetuum mobile... Wierz mi, taki mężczyzna, któremu miłość nie zamąci głowy i nie pomiesza myśli, nie jest uczciwym mężczyzną, ale poprostu kupcem, albo spekulantem, i do takich wszystkie porządne kobiety mają wstręt instynktowy...

— Ba! jednak idą za nich...

— Sprzedają się, mój drogi, a nie idą... Ale dajmy pokój tej rozmowie... nie przekonasz mię i rzecz skończona. Ot, lepiej każ mi posłać dwa korce pszenicy do młyna, bo mąki nie wystarczy na bułki, jak do niedzieli...

— Strasznie szafujecie tą mąką...

— No, no, no... tylko niech pan dobrodziej tak nie moralizuje i nie gdera... Nikt tu nio szafuje, daje się tyle co potrzeba. Chcesz żebyśmy jedli bułki, to o daj pszenicy, a jak nie chcesz — to powiedz otwarcie.

Ten, to tak się zakrzyczał, że go o trzy kroki zaszedł...

— A gdzie najczęściej siedzą?

— Na tej wycinie, wedle sążni, za moją izbą. Całe więc popołudnie, przy pomocy Walentego odbywały się w pokoju naszego gościa przygotowania myśliwskie na szeroką skalę. Wszystkie maszyny przywiezione z Warszawy puszczono w ruch, kręcono ładunki, czyszczono lufy strzelby, pasowano przybitki, smarowano zamki oliwą, w czym i Linka była nadzwyczaj czynną, znosząc oliwę, kawałki flaneli, i ogromny zapas konopnych paków. Przed wieczorem jeszcze, poza stodołą odbyły się próby strzałów, do których musiałem z wielkim bólem serca dostarczyć całej libry czystego papieru.

— Mój Guteczku — zaczepia mię żona, po odbyciu tajnej; narady z Lincią. — Czy można go puścić samego do lasu?

— Dlaczegoż nie? — tyle razy był...

— Jo widzisz, po tej przygodzie z dzikiem—wtrąca nieśmiało Lincia.

— Ej, ej! — mówię zaglądając panience w oczy— coś zanadto rośnie troskliwość o pana Ksawerego!

— Guteczku, pleciesz niedorzeczności...

— No, no, wiem ja co mówię; pamiętaj Linciu, ja mam dobre oczy, ale żebyś źle nie wyszła na tej zbytecznej troskliwości...

— Jaki ty jesteś niedobry Gustawie — odpowiada zakłopotana — chciałbyś każdego podejrzewać... Ale naprawdę, obawiamy się, żeby sobie co złego nie zrobił...

seu. Już nakopał parę tuzinów kijów na laski, płukanie na zęby przefilcrował, zlał do butelek i polakował; rybołówstwo zarzucił, i widzę zaczyna się nudzić... No, trzeba mu co wymyślić, choćby jakie polowanko na lisy, gdy wyręczył mię jak raz gajowy, przyniósłszy zabitego w lesie cietrzewia.

Ptak ten dość rzadki w naszych stronach, zjawiał się jednak czasami, szczególnie w miesiącach letnich, widocznie na łąg w gęstwinach krzaków, których u mnie po wyciętym lesie nie brakowało. Dziś właśnie przed świtem, gajowy chodząc między sążniami; napotkał dość spore stadko, i tak zręcznie rzucił między nich gruby swój kij sękaty, że przypadkiem zabił koguta.

— Ależ to do kury podobne! — rzecze mój Ksawery przyglądając się z zajęciem owemu cietrzewiowi.

— Bo też należy do rodziny grzebiących — mówi Lincia, która się już uczyła zoologii. — Toż samo kuropatwa, jarząbek, głuszec...

— Miał on tu jeszcze zakrzywione piórka w ogonie — dodaje gajowy — ale moja wyrwała dla dzieci na zabawę.

— I duże było stado? — pytam.

— Spore, proszę wielmożnego pana, moje dziesięć albo i więcej, choć nie wszystkie takie czarniuckie.

— I jeszcze są w lesie?

— Muszą być.

— Jutro idę na te cietrzowie — rzecze Ksawery zacierając ręce.

— Tylko trzeba raniusko, proszę jaśnie pana, jak jeszcze słonko nie zejdzie... a podchodzić cichutko...

ku wsi, spotkałem powracającego dopiśro z karczmy Walentego. Widzę, idzie zygzakowato, a to z fantazyą nielada i gada coś do siebie i macha ręką i uśmiecha się rozkosznie.

— Walenty! — krzyknę zatrzymując pijaka — Takto poszedłeś na polowanie?

— A jakże, wielmożny panie, idę... zaraz idę... — bełkocze podnosząc na mnie błędnowyblakłe oczy, i próbując ręką dosięgnąć czapki na głowie, aby mi się uklonić.

— Toż się też ubrałeś... Wstydź się, pijaku jakiś!

— Jaśnie panie, ja nio jcsztem pijany... Jak Eoga Najświętszego kocham... gdzie ja pijany... Idę na cietrzewie... zaraz idę... Ho, ho! z takim szlachetnym panem, idę... Żebym padł trupem, tu, u nóg jasnego pana... idę...

Zostawiłem pijaka z jego rozkosznym monologiem

szlachetności Ksawerego, a pomyślawszy że brat mój nie dziecko, aby się o niego kłopotać, poszedłem dalej w pole. Jednak mimo wszelkiego rozumowania, me byłem jakoś spokojny, i gdy siedząc przy kawie, usłyszałem jak Lincia stojąca wciąż przy oknie zawołała „idzie, idzie” — czułem, że wielki ciężar spadł mi z serca.

— Patrz, Auguście, coś zabił, jak Boga kocham, ma przy torbie przyczepione coś czarnego... dwa, daję słowo, dwa ptaki...

— Hm, — myślę sobie — frycom los sprzyja, a przypadki chodzą po ludziach; więc dalcj do okna, prawda: Ksawery z zawadyacką miną wstępuje na dziedziniec potrząsając do góry cietrzewiami.

— To idź z nim i z ciotką Tytusowa; przed takim puklerzem, jak wy obie...

— j ciotką? — powtarza śmiejąc się zona — żehys jćj ofiarował królestwo niebieskie, żeby Ksawery nie ze strzelbą, ale ze słomką szedł do lasu, toby nie poszła... Żart żartem, Auguście, ale ja się boję o niego, — każ "Walentemu, już my z Kwapiszewską ugotujemy obiad...

— Dobrze, i owszem, niccb idzie.

Nic dałem poznać Ksaweremu, że mamy jakąś obawę co do jego przezorności, lecz gdy z kucharzem powrócili z próby a braciszek pokazał mi z tryumfem sześć arkuszy papieru podziurawionych jak sito od strzałów, zapowiedziałem "Walentemu, aby jutro dođuia zaprowadził pana na ową wycieczkę.

Po kolacyi jeszcze, słyszałem, na dziedzińcu odbywały się z kucharzem narady, z którejto strony oni zabiorą tyły owym cietrzewiom; że na przykład, gdyby pomknął lis, albo zając, to mimo że nie wolno, gotowi będą spróbować. Po konferencyi, widziałem, coś mój Walenty potrzykroć całował rękę Ksawerego ze szczególniejszą czułością, domyśliłem się przeto, że musiał otrzymać zadatek na przyszłe honorarium. Lincia, jako zastępująca gospodynię, również pamiętała o swoich obowiązkach, torbę myśliwego zaopatrzyła butersznitami z pieczenia cielęcą i napelniła wódką eleganckooplataną myśliwską butelczynę.

— A niech pan nic zapomni obwinąć szyi szalikiem — rzekła mu przy pożegnaniu — poranki, zwłaszcza w lesie bywają chłodne.

Nazajutrz, wstałem jak zwykle o piątej, patrzę, mojego gościa już niema, ale za to wychodząc na drogę A. Wilczyński. Tom XII.

— Nic, głupstwo... przyszła po zapłatę za kury,.. Widzę ja że to coś nieczystego, więc za nia, do sięni, a tu moja kobieta płacze jak bóbr, i wydaje się, że ten pan dziś rano zastrzelił jej dwie kury, które zawsze siadają na noc po drzewach...

— Wyborny! — krzyknę uradowany, wracając do kredensu, a moja Lucynka pac mi ręką do ust... — Cicho, Auguście, cicho...

— Ależ to kury — mówię ciszej.

— Guteczku, co ci to szkodzi, jak mię kochasz, cicho... no, no, udaj że nie poznajesz... on taki szczęśliwy— Ja już posiałam Błazejowej pieniądze... Na co go zawstydząć, to taki dobry chłopiec... Mój drogi, zrób to dla mnie...

Ha, przygryzłem tylko usta i że się nie roześmiałem prosto w oczy, to dalibóg, wiele mię kosztowało. Bo proszę państwa, trzeba było widzieć tę dumę Ksawerego, z jaką pokazywał Lind owe kury, jak odszukiwał miejsce gdzie były trafione, jak przyniósłszy książkę zoologii, wykladał panience kurs o ptakach, powtarzając ciągle łacińskie słowa tetric;

jakto one zlatują się na wiosnę w zarośla i szukają odkrytych smugów, a jaja składają na ziemi... Słowem, było inny już Ksawery, Ksawery bohater, któremu się zdawało, że my, szlachta mieszkająca na wsi, jesteśmy to najmniej żaki ze szkółki początkowej, wierzący w to, że można odszukać koniec świata... Parę razy przy tych wykładach, aż mię język świerzbiał, żeby mu krzyknąć nad uchem rhebesie, to kury, to kury niewinne Błażejowój!" — ale moja zona, która już umie czytać w moich oczach, robiła tak miłosiernie błagalną minkę, że mu

— Gdzieżeś jo znalazł? — pytam wchodzącego na śniadanie.

— "W lesie — odpowiada mi lakonicznie.

— No, ale gdzie w lesie?

— Przy sążniach, jak mówił gajowy.

— Stado duie?

— Było ich jeszcze kilka, ale uciekły z ogromnym krzykiem.

— Brawo, Ksawerku — mówię klepiąc go po plecach — pasuję cię na myśliwego... Cóż, do siedzących strzelałeś?

— Do siedzących...

— Dwa razy?

— Nie, za jednym, padły oba... Patrząc, siedzą na drzewie obok, więc podług reguły celuję między obydwu.

— Jakież to śliczne te cietrzewie! — zawoła z ucieszoną miną Linda wbiegając jeszcze w negliżyku z kredensowego pokoju. — Mówie ci, Auguście, czarne jak heban, jeden ma białe piórka w skrzydłach... ale to duży ptak...

Ciekawość mię wzięła zobaczyć, a przyznam się państwu, trochę i zazdrość, bo choć poluję od lat dwudziestu, jeszcze mi się nie zdarzyło zabić cietrzewia. Gdy więc Ksawery zapija kawę z dobrym apetytem, ja ruszam do kredensu za cisnąceni się na obejrzenie kobietami. Patrząc, mój Adamek rozwiązuje aż zębami nogi cietrzewiom, a moja zona gwałtem wypycha jakąś kobietę za drzwi.

— Kto to taki?

— Eh, to Błażejowa, zona gnjowego ...

— Czegóż ona chce?

siałem stłumić to wszystko w sobie, powiedziawszy w duchu „warszawskie niewiniątko."

Trzeba państwu wiedzieć, ie jeszcze się nikomu wtenczas nie śniło o telefonach, gdy ten aparat w najlepsze funkcjonował między naszym dworem a plebanią... Obowiązki telefonistek pełniły z jednej strony, nasza gospodyni Kwapiszewska, a z drugiej siostra księdza proboszcza, panna Karolina, w towarzystwie naszym i na wsi znana pod imieniem padam pani. Drutami telegraficznymi byli, organista Bielecki i nasz kucharz AYalenty, ale komuuikacją utrzymywali tak zręcznie i tajemniczo, wobec urzędu telegraficznego, że

ich usługach mogły tylko świadczyć butelki z anyżówką w naszej i proboszczowej spiżarni, z których właśnie wypłacały się zasługi owych komunikatów. Dlatego

wypadek z dzikiem, zawody z wędką, a obecnie tryumf Ksawerego nad cietrzewiami, natychmiast były wiadome na plebanii, i temu właśnie zawdzięczaliśmy niezwyčajną wizytę księdza Józefata. Zaraz po obiedzie, patrząc, starowina dąży ku dworowi stukając swym kijem, a skoro tylko wszedł do pokoju, witając zwyczajnem „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus," zapytał Ksawerego:

— I dwa samce siedziało na jednej gałęzi?"

— Jakie samce? — odpowiada Ksawery nieznający sposobu prowadzenia rozmowy przez proboszcza, który zawsze tak zaczynał, jakby słuchający mógł czytać w jego myślach i wiedział poprzedni ciąg jego rozumowania.

— No, tych, tych... jakże to zowią... cietrzewi...

— Dwa — odpowiada Ksawery zmiarkowawszy o co idzie.

— No, to mówię, acanu dobrodziejowi, że to nieprawda!
— Daję słowo honoru księdzu proboszczowi, że tak było: odydwa zabiłem.
— Nieprawda — powtarza stary zażywając z żywością tabakę.
— Hm, pokażę jo księdzu dobrodziejowi.
— Ale tak, tak — dodaje Lucynka zbliżając się do nich.
— I acani nic nie wiesz... Co to kobietom się wtrącać do takich rzeczy... Jak świat światem, jeszcze nigdy dwóch kogutów nie siedziało razem na jednej gałęzi... Mówie acanu dobrodziejowi, ja, za młodu, ba, jeszcze przed trzema laty chodziłem na cietrzewie... i mówie, nieprawda i nieprawda!...
Skonfundowana Lincia, aby przekonać proboszcza, pobiegła do kuchni i kazała przynieść owe cietrzewie; lecz że moja zona widocznie przeczuwając kwestye tego rodzaju, już kazała je oskubać, a grzebienie na głowach poobrzynać — więc niepodobna było przekonać proboszcza, żeby to miały być cietrzewie...
— Bo, widzisz, asan dobrodziej, nieboszczyk Bujno... Panie, świeć nad jego duszą, taki był myśliwy, że dziś już pamięć o nich zaginęła... Ja wtedy byłem na wikaryacie w Boi mi u, a parafia była duża, dziekan chudziutko, lubił bardzo po panach... a ja sobie byłem mały pacholek i na mnie, widzi asan dobrodziej, wszystko... Przyjdzie Wielkanoc, do spowiedzi Iuda moc wielka, bo to wszystko na ostatni tydzień się ciśnie... I teraz, mości dobrodzieju, co ja się nio naupominam, dziateczki, nie zwlekajcie do samego "Wielkiego tygodnia, bo to widzicie, pasterzowi ciężko, a zakonnika nie dosta

śmiał się, ruszyć, a co się odezwał przypominając o polowaniu tego pana Bujny na cietrzewie, to proboszcz ofuknął go, powtarzając „zaraz przyjdziemy na to, zaraz.”
Lucynka, której nie można pewnego sprytu odmówić, jak tylko sprzątnęli stół po kawie, spostrzegła nieszczęśliwą rnię Ksawerego, który tam z tego kąta jak dusza gorejąca w czyscu oczekiwał zkądbądź ratunku, zaproponowała księdzu Józefatowi drttzbarta. Proboszcz był pasjonowany do tej starodawnej gry, której moje panie wyuczył, więc przeprosiwszy Ksawerego, że mu kiedyindziej dokończy o panu Bujnie, polującym na cietrzewie, wstał prędko zbliżając się do stołu, przy którym go już mój archeologiczny komplet niewieści oczekiwał.
Co ja miałem pociechy nieraz, przypatrując się; grze tych czworga staruszków, to gdybym umiał państwu to wszystko powtórzyć wiernie, musielibyście pękać ze śmiechu. Proboszcz był gorączka, mimo swych ośmiu krzyżyków, a kobiety moje dosyć interesowne. Prawda, że to ich kasa w nieszczególnym była stanie, i zawsze ktoś z nas, ja, albo zona, albo Lincia graliśmy niby na wspólną — pomimo to ciotka Tytusowa nieraz zalewała się gorzkimi łzami, gdy jej karta nio szła, a pani Srokowska, czasami pozwalała sobie podglądać spodnią kartę, spędzając to rozartagnienie na dystrakcyjną kotki Murduńki, której nie mogła z kolan odpędzić.
W najlepszej komitywie zasiadali do zielonego stolika. Proboszcz, zawsze z wielką atencją dla nich po za grą, dowcipkował wysypując ze skórzanego woreczka mnóstwo wygładzonych różnej wielkości miedziaków, a choć pani Anzelmowa żartowała z niego, że to są za

niesz... gdzie teraz szukać zakonnika?... Dawniej, mości dobrodzieju, miałeś klasztor w Węgrowie, miałeś klasztor w Siennicy, no i mszalnych było piętnastu, szesnastu... ale też i okolica pamiętała o klasztorach... By* wało, ojciec Sylwester jak u mnie zrobi sobie stacyę na barany, to codzień, chudziutko, nie wróci bez sześciu albo ośmiu owieczek... Mówi, księżu Józefacie, wybierzcie sobie ze sześć, po pięć złotych, do wyboru... a teraz z gospodarzem ani gadaj, od czterech rubli... I co to za owce dzisiejsze? chude, wełna rzadka... bo na czym tu upasiesz... Chłop, jeden, drugi, trzymał wtedy kilkoro i to na rarytas, a teraz taki Włoch, farmazon, ma ich trzydzieści i jeszcze między niemi są

czarne... A czarne owce, to mówię asanu dobrodziejowi, brzydactwo... bo to kozuch wyrudzieje przez jedne zimę i wygląda jakby ze psa... Dwa lata temu kazałem sobie uszyć kaftan pod sutannę z czarnych, to panie łaskawy i zimne i wylażą włosy; gdzie się ruszysz, wszędzie tego pełno, a raz to nawet w bigosie były, i ksiądz Antoni położył łyżkę, i musiałem mu pokazać że to z kozucha... Ja, widzi asan dobrodziej, nie jestem abominant... to wszystko z woli Pana Jezusa, ale ci młodzi księża tylko po pańsku, na półmiskach, a tego nie mogą, a tego nie mogą... Dawniej, mości dobrodziej, jak na odpuszcie dali salaterkę Haków z imbirem, a koniecznie z imbirem, potem miodu buteleczkę, to księża się oblizywali. Dawaj asani jeszcze — i druga salaterka poszła i trzecia, aż panna Karolina powiada, więcej będzie na święta Michała.

Widzę, mój Ksawery już ledwie może wysiedzieć słuchając opowiadań staruszka, ale że jako ksiądz proboszcz zatarasował go swoim fotelem w kąciaku, nie

duszki z przeszłego roku, to stary groził palcem jój dziesiątacom, mówiąc dobroducznie:

— Przyjdziecie wy tu do mnie, przyjdziecie! I asani dobrodziejka, jeszcze tam ruszysz sreberko z pończochy. Dziś będę miał galante szczęście, bo mię prawe oko od samego rana świerzbowało.

Lecz harmonia ta i dobry humor trwały bardzo krótko; karty rozdali, proboszcz ulokował obok siebie tabakierkę i granatową w białe kropki chustkę — nastąpiła cisza. Karty z głośnym płaskiem padają na środek — ksiądz Józefat przegrał... Widzę, rachuje drżącą ręką grosze, wybierając najbardziej wytarte, a gdy mu ciocia Tytusowa odsuwa niektóre jeszcze z cytrą króla Stanisława Augusta, w różne wykretasy ułożone, proboszcz ofuknie:

— No, no, no... niechno asani nie grymasi, bo nic nie dam. Daj Boże, żebyś asani miała takich z korzec... No, czemuż nie rozdajecie?

— Czemuż proboszcz nie zbiera...

— Bo trzeba naprzód przetasować.

— Przecież tasowała — mówi pani Augustowa, przysuwając mu zebraną talię.

— Jeszcze raz, co mi to za tasowanie, że wszystkie asy i kraiki idą w jedne ręce...

Pani Anzelraowa przerabia znowu karty, proboszcz zbiera — rozdają.

— No, no, grajże tu z takimi plicktami! No, zaczynajcie panie!

— Jeszczem sobie kart nic ułożyła — mówi Tytusowa...

— A cóż u Pana Boga, godzinę trzeba czy co, na

ułożenie sześciu kart... Przez ten czas jużbym sześć tali ułożył...

Grają — proboszcz czerwony jak burak, kartami wali, aż stół jęczy, a gdy przyszło ostatnie bicie, a przed nim ciocia Tytusowa położyła dziesiątkę pikową mówiąc rto moja lewa"—ksiądz przykładają z naciskiem czerwinnym królem, wołając „a nio chodź po capstrzyku, a nie chodź! — i zabiera czempredzej karty przed siebie.

— Jegomość, to moja lewa, położyłam kralkę!...

— Jak, kralkę, kralkę... A ja kropnąłem družba r tem!

— To proboszcz miał?... proszę pokazać?...

— Kie potrzeba pokazywać, tylko niech asani płaci...

Jak szło dobrze księdzu Józefatowi, jeszcze pół biedy, choć znowu towarzyszki jego spuściwszy nosy na kwintę, kręciły się niespokojnie na krzesłach, upuszczaly karty, sprzeczały się o ilość przegranych groszy, narzekając, że z takim szczęściem tylko się wypada utopić... Przy dłuższym uporze fortuuy, pani Anzelmowa dostawała bicia serca, a Tytusowej łzy gradem kapaly z oczu. Jedna tylko pani Srokowska trzymała się najbardziej odważnie, choć czepek jej przekręcając się z jednego boku twarzy na drugi, niby barometr jaki wskazywał prawdziwy stopień wewnętrznej walki z upartym losem družbarta.

Lecz gorsza daleko była sprawa, gdy proboszcz przegrywał: wszystko mu przeszkadzało wtedy i mieszanie i zbieranie i rozdawanie kart, a szczególnie powolność współgrających... Pędził ich też nieustannie, żeby się śpieszyły z rozdawaniem, z zbieraniem, z rachowa

— Aio proboszcz widzi karty — odzywa się pani Anzelmowa.

— A graj ze, pani, króla!... Jakie z jejmości nieporadne chudziutko... Myśli, myśli... maca kartę jedne za drugą... Co tu myśleć... grajże, pani, króla!...

Otoż w ten sposób zawsze szła przyjacielska gra naszych domowniczek z proboszczem, który chodził od jednej do drugiej i tak samo każdej radził, i tak samo wrywał im karty z rąk bez względu, że mnie grającemu za niego najwięcej szkodził. Jeżeli po obrachunku pokazało się, że wygrał jakie dziesięć groszy, bo rzadko kiedy wypadł inny rezultat, był w najlepszym humorze, na odchodnym napił się ze mną wódki i coś przekąsił; ale niechno przegra, ucieka do domu prosto od stolika, kłaniając się damom z wielką uroczystością.

— Mam honor powiedzieć, acaniom dobrodziejkom, że tracie na zawsze gracza! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...

Tego wieczora było jakoś nic tak ostro jak zwykle, mnie karta szła, choć proboszcz całymi siłami buntował przeciwniczki. Zona zajęta gospodarstwem w jadalnym pokoju nie pokazywała się wcale, z czego korzystając młoda para, usadowiła się w drugim pokoju przy otwartym oknie, prowadząc półgłosem dość ożywioną rozmowę. No, myślę sobie, jeżeli nie teraz, to chyba nigdy nic trafi im się lepsza sposobność dla załatwienia wszelkich spraw sercowych. Bo jak na to, była to prześliczna noc czerwcową, ciepłą, uroczą, gwiazdzistą, słowik przed moim dawnym oknem tak rozkosznie wywodził trele jak nigdy, a pomieszany zapach jaśminu, bzu, i z wazoników heliotropu, formalnie cisnął się do pokoju. Nigdy, przysnam się państwu, nie byłem i nic jestem

niem, tak, ie biedno kobiety dostawały gorączki, bo im jednej sekundy odetchnąć nie pozwolił.

Czasami kiedy rzeczy idą już bardzo na ostro, ie lichtarze ze świecami są w niebezpieczeństwie, kredki lecą, tabakierka z chustką na podłodze, a proboszcz przekonywa ciotkę Tytusową, ie raczej astronomią bawić się powinna a nie grać w karty—pani Srokowska jako była ochmistrzyni pensyi, występuje z perorą na seryo. Rozpoczyna się sprzeczka żwawa, pani Srokowska irytuje się, ksiądz Józefat zaperzony... nic ma rady, tylko trzeba interweniować...

— Niechno ja za proboszcza usiądę — mówie — a zaraz tu szczęście się odmieni.

— To, to, panie kolatorze, bardzo proszę — rzecze czerwony jak ówik ksiądz Józefat powstając z hałasem z krzesła, i gwałtownie rozpinając z tyłu szyi włosieny obojczyk.—Póki żyję, nic gram więcej w karty... albo to gracze?...

Siadam, proboszcz zabiera chustkę kraciastą leżącą na podłodze i chodzi po pokoju i sapie i mruży, ale po chwili zbliża się do stołu i staje za panią Tytusową. Stojąc widzi u wszystkich karty, a kiedy przychodzi kolej na ciotkę, i ta się waha co tu wyrzucić, krzyknie nad nią „bić, bić...”

— Ale proboszczu...

— Co to ale, bić, kiedy ja mówie bić!

I nim namyślająca się kobieta zdecyduje się na cobądz, wrywa jęc asa, rzuca na stół i zbiera za nią lewę.,.

— Teraz graj, pani, króla!

— Nie wiem czy już wyszła dziesiątka?...

— Graj, pani, króla!

nieprzebytej puszczy... A tu kolo mnie rycerze zaczarowani...

— To są dzieciństwa, proszę pani! zabytki niemowlęstwa ludzkości... Złote sny złotej głupoty, kiedy ludzie mieli się jeszcze za coś lepszego...

— Alboż nie są coś lepszego?

— Właściwie mówiąc, dzisiejsza nauka straciła człowieka do rzędu zwyczajnych utworów natury... większej ilości kożuórek mózgowych... to prawda, aio odjęła mu tę boskość, ten czar królowania...

— I to ma być dobrze?

— Hm, ja powiedziałbym, że dobrze... Człowiek więcej dba teraz o własną osobę, bada swój organizm stara się zapobiegać chorobom, które mu większą część życia zatrują. Co do mnie, to na pierwszym miejscu kładę zdrowie... Nie uwierzysz pani, jak jestem drażliwy na każde cierpienie... Tracę humor, apetyt... i zdaje mi się, że umieram...

A bodajże ty licha zjadł, egoisto jakiś, ze swoim zdrowiem! — pomyślałem rzucając kartę bez myśli, co wywołało ogromną burzę między grającymi tak, że nie mogłem słuchać dalej zajmującej między młodą parą rozmowy... Na co u licha zdrowia tym starym kawalerom, o które tak się gwałtownie ubijają, i chronią go i cackają, jakby ono było dla kogo bardzo potrzebne?... A tak jest... Ilu znam starzejących się kawalerów, to wszyscy po całych dniach tylko jęczą, tylko siedzą w lekarstwach, a w jedzeniu grymaszą, wybierając co zdrowe... Niech no którego kolka w boku zakłuże, albo go w krzyżu zaboli — to już leci czempredzey do doktora, radzi się, narzeka, że zdawałoby się powinien umrzeć co

poeta i nikt mię na rymowane plewy nie złapie, a dalibóg, żeby mię tak kto posadził wtedy z Lincia przy oknie i kazał patrzeć w te szafir o woblyszczące oczęta, podziwiać giętkość jej kibici i ślicznie utoczoną a białą jak marmur rękę, z której szeroki rękaw żagnotowój sukni zsuwał się co chwila — to mówie prawdę, nie wytrzymałbym, daję słowo, powiedziałbym coś, coby wywołało straszną burzę sercową... Pal licha! W takich razach człowiek traci rozum i czy stary czy młody na śmierć głupieje.

Dlatego też ogromnie byłem ciekawy słyszeć, co też oni z sobą gadają... Jest coś w naturze człowieka, że choć samemu już się niema zębów, to zawsze radby przynajmniej zobaczyć, jak też niemi jedzą... Gra w owego družbarta jest sama z siebie dość łatwą, więc niepotrzebując zwracać na nią całej uwagi, nastawiłem ucha ku oknu...

Ku wielkiemu mojemu zgorzseniu i zdumieniu przekonałem się, że mimo tak uroczystych dekoracyi i sąsiedztwa ładnej panienki, mój Ksawery mówił o biurze i zdrowiu, o zdrowiu i biurze, o hydropatycznój kuracyi, którą odbywa, o systemie Priesnitztza, o wpływie magnetyzmu ziemskiego na sen spokojny i t. p.

— Prąd magnetyczny—mówił Ksawery—stanowczo oddziaływa na spókoj snu człowieka... Daję pani słowo, przekonałem się... Niech tylko mam głowę w innym kierunku, to całą noc snują mi się marzenia...

— Jeżeli przyjemne, to cóżto szkodzi?... Ja przyznam się panu, bardzo lubię marzenia. Nieraz umyślnie naprowadzam myśli na różne cudowne opowieści, które słyszałam w dzieciństwie od nianiek... Wyobrażam sobie, że jestem królowną zaklętą... gdzieś wśród

No, to ją bawi kawaler z miasta, człowiek wykształcony, młody jeszcze i pełen pretensyi do podobania się kobietom!... Kiedy się wszyscy rozeszli, ja mówię do Lucynki:

— Moja kochana, nie rachujcie wy na tego safandulę Ksawerego...

— W czóm?

— Cóż ci będę mówił wyraźnie; udajesz, że nie wiesz o co idzie... no, co do Lincii...

— Mój Auguście, czegoż tak zaraz ostro... hura, buru... Nie możesz powiedzieć spokojnie, przyzwóicie, ale zaraz safandula...

— Bo safandula, a jeszcze gorzej, bo wyschła dusza, suchotnik sercowy... Doprawdy, szkoda byłoby tej dziewczyny dla niego... Słyszałem ich rozmowę dzisiejszego wieczoru i powiadam ci, jestem taki na niego rozżłoszczony, że gdyby to nie mój brat, wyprowadziłbym go zaraz jutro na cztery wiatry... Proszę cię, on jej tylko prawił o swoim zdrowiu, o aktach rachunkowych... a ona była tyle cierpliwą że słuchała...

— No, no, nic gniewajno się; ty wiesz jedno, ja wiem drugie... Nio bój się, jestem kobietą i znam te wszystkie sprawy lepij od ciebie... Ale jednak nic zaszkodziłoby, żebyś, Guteczku, ale uważasz, z daleka, delikatnie tak go wymiarkował...

— Na co? Ja ci z góry powiadam, że nic z tego i basta!

— Za pozwoleniem, nic tak gorąco, mój ty stary...

— Co to gorąco, ja zawsze taki! Bobić to robić, kochać się to kochać...

— "Widzisz, Guteczku, a jabym wolała, żebyś ty się trochę utemperował... Głowa już łysa, no i figurka

najmniej za godzinę... A jemu, panie dobrodzieju, nic, zdrów jak koń, a tylko ze strachu...

Mój panie, taki jeden i drugi, przyjdźno ty na wieś do nas, i zacznij gospodarować i kłopotać się tak jak my, z kądem tu wziąć na podatki, na opłatę sług, na staucyą dla trzech urwisów, na posag dla kilku córek?... Niemyślałbyś ty o kolce w boku, bo życie nasze, to, mości dobrodzieju, cierniowa korona od świtu do zmierzchu... Wstręt mam do tych papinkowatych twarzy, wymokłych, wychudzonych, coto chodzą po ulicach miasta z szalikiem po same uszy, w papuciach, w kaftanikach, w okularach; co to nosem oglądają każdy talerz w traktyerni, a szklanek wody podnoszą do światła czy im tam jaki proszek nio pływa... Fe! stetryczenie, egoizm i nic więcej!...

— A, proszę pani—słyszę znów Ksawerego—trudno uwierzyć, jak praca biurowa człowieka zabija!... Mówie pani, to ślęczenie w naukach, pył książek, łamanie głowy przy odczytywaniu niewyraźnego pisma, jest w stanie najzdrowszego przyprowadzić o chorobę...

— Nie wierz, Linciu, nie wierz!—krzyknę nie mogąc już słuchać takiego paplania—oni nic nie robią, jak Pana Boga kocham, nic.

Ksawery tylko się uśmiechnął ironicznie, i prawil dalej, jak to do nich przychodzą niekompletne rachunki z gubernii, jak oni muszą robić monita, jak muszą sprawdzać i rozpatrywać każdy szpargał... A potem idą uwagi różne, czy budżet nie przekroczony, czy władza miała prawo wydać to a to... słowem wyłożył jej cały kurs rachunkowości skarbowej, przy którym moja Lincia raz po raz zatykała sobie usta rączką, aby uie dostrzegł jej ziewania...

— Pajątajże, Guteczku, i idź spać... No, dobrej nocy!

Tyle też przyjemności wiejskiego obywatela, że może czasami zrobić sobie polowanko i rozerwać się po tylu kłopotach ciężkiego codziennego życia. Lubię polowanie to prawda, ale jeszcze więcej bigos, nasz uczciwy bigos szlachecki, kiedy człowiek złata się do południa, a tu mu podadzą, porcyg dymiącą, od której zapach rozchodzi sig na wszystkie strony. Moja zona, to już pamięta zawsze o tem, i Franciszkowi wstawi do bryczki kamienny garnek papierem obwiązany, a on to już w}'uczony, jak go odgrzewać i mieszać, aby się nieprzypalił. Tego dnia, kiedyśmy z Ksawerem wsiadali do wózka, przyznam się państwu, już przez siano, którem Ów garnek był przykryty, czułem, że bigos musi być dosknały, bo zalatywał mię zapach wędzonki, ten troche dymny zapach, bez czego bigos nie jest bigosem. Polowanie miało się odbyć tylko na lisy, których u mnie jest podostatkiem; a choć letnie futro niewiele warte, to raz żeby ubawić mojego gościa, a po drugie, że szkodników zawsze tępic należy, poprosiłem jeszcze dwóch sąsiadów i ci mieli się zjechać z nami koło karczmy na Dąbrowie. Jedziemy tedy: dzień był ciepły, a nawet troche parny; mój Ksawery w białym garniturku obwieszony sznurami, pasami, torebkami wyglądał jak myśliwy z żurnala mód paryskich. Prócz delikatnej fuzyjki, prócz torby, zawiesił butelkę z wódką, futerał z tytoniem na papierosy, świstawkę z grochem, trąbkę grającą na sprężynie, coś dwa wabiki na zające i na wilki, oddzielną ładownicę z nabojami. Dlatego też całą drogę kręcił się koło mnie na bryczce, bo owe facecye od trzęsienia jazdy zsuwały mu się nieustannie na

ci się zanadto zaokrągła, a jeszcze lubisz zerkać na ładne twarzyczki... Pamiętasz panią Sowińską...

— Eh, to tylko tak...

— Ho, ho, mój kochany, ja dobrze widzę... Te oczy to tak ci się świeciły, a takeś się nadstawiał, żeby cię wybrała do mazura, pamiętasz, a przy kolacyi toś tak manewrował, żeby usiąść przy niej... Daruj Guteczku, aio to już trochę śmiesznie wygląda...

— Facecye, zdawało ci się...—mówie z tęgą miną pokręcając wąsa, bo naprawdę ta Sowińska jest sobie delicye kobietka, a jak zona zazdrosna, to widać jest o co? Ja wiem, panie dobrodzieju, że gdybym chciał, to mimo szóstego krzyżyka jcszczeybym tuzin tych filozofów z miasta zakasował...

— Więc go wymiarkujesz Guteczku, tylko proszę cię, bardzo a bardzo delikatnie... Nie tak obcesowo, od razu, bo to i Ziemniaczyński potrafi...

— A propos—dobrze żeś mi przypomniała o Zieraniaczyńskiin.—Czy on wie, że jutro jedziemy na polowanie?...

— Wie, był tutaj i czekał do dziesiątej, ales ty grał w karty... powiedziałaś mu więc, aby dał znać gajowemu.

— Dobrze. A chłopcom ze wsi, żeby wyszli do dnia na naganke?

— I to wie... tylko painiętajże o Ksawerym!

— Nie bój się, wezmę go w takie kluby, że mi wszystko musi wyśpiewać...

— Ależ nie kluby...

— Wszystko jedno; spuść się na mnie, ja, panie dobrodzieju, potrafię tak go zajechać delikatnie...

A. 'Wilczyński.—Tom XII.

Droga szła u podnóża góry, bujnym inchem porosłej, po iemi bagnistej, bo zewsząd wydobywały się rudawożelaziste źródliśka. Znając doskonale każdą ścieżynkę, widziałem któredy lis pędzony z olszyny iść powinien, więc ustawiłem Ksawerego za sosną, kilka kroków od drogi, a sam pobiegłem dalej, może nawet dalej niż było potrzeba, bo myślę sobie, przy takim partaczu niebardzo bezpiecznie stać blisko...

— Nie ruszajże się z tego miejsca, dopóki nic zawołam, a jak będzie lis szedł na ciebie, to ani piśnij, tylko przypuść go na bliski dystans i cola} w łeb... Gdybyś zbłądził w lesie, zatrąb trzy razy...

Zająłem swoje stanowisko, z którego jednak widzę przez gałęzie Ksawerego, i czekamy. Błążek tymczasem rozrzucił swoich chłopaków w olszynie, i niedługo, słyszę, dolatują mię choć bardzo z daleka ich cienkie nawoływania. Stoimy tak z pół godziny, a może i dłużej— nic nie widać, co oczywiście musi niecierpliwieć Ksawerego, który przywykł strzelać do kur siedzących. Spojrzę w jego stronę, kręci się coś przy owej sośnie, wychyla głowę, nareszcie przysiada rozpoczynając 'abrykację papierosa.

Chciałem krzyknąć, żeby się miał na baczności, bo coraz wyraźniej słyhać głosy naganiaczy, ale wtem wysuwa się z zarośli ogromne lisisko, i wolnym krokiem tak sobie podskakując wali wprost na mnie. Zmierzę się; a choć trochę mi ręka drżała, pułę, a mój lis hyc do góry i pac! Ja, panie dobrodzieju, do niego, a tu lisisko zerwie się raptem na nogi i w bok ku Ksaweremu. Widzę, że dostał, bo na jedne nogę kuszytk, kuszytk, kuszytk, więc za uim.

Dlaczego Ksawery nie strzelał, i co się z nim zro

jedne gromadę, i wyglądał wtedy jak żydek włóczący się po hotelach z kramikiem na piersiach.

W drodze pyta się mnie nagle Ksawery z miną poważną:

— Słuchaj no, Auguście, objaśnij mię jak się strzela do lisa?

— No, tak jak do wszystkiego... wziąć dobrze na cel, wytrzymać i kropnąć ostro, bo lis, mówię, ci twardy i lada czem go nie przewrócisz...

— To ja wiem... w naboje pokładłem same loftki; tylko gdzie mierzyć? Czy w nos jak do zająca?...

— Ależ w lisa i rzecz skończona!...

Nie był zadowolony tą odpowiedzią, widzę medytuje, aż ja go uaraz pytam:

— Mój bracie, a widziałeś ty kiedy lisa?

— O, cóż to znowu, mało to futer lisich jest u nas w Warszawie? Przed każdym sklepem tyle ich wisi... trochę żółtawego koloru z taką długą kitą...

— Mój kochany — mówie mu — stańno ty gdzie przy mnie w lesie, bo widzę, gotówes wszystkie psy żółtawe powystrzelać gajowemu...

— Ale dajno pokój!... Widziałem przecię lisa wypchanego w gabinecie zoologicznym. Cóż znowu, masz mię za takiego fryca... Nic bój się, jeżeli z rysunku poznał cietrzewia, to tembardziej poznam lisa, z którego nawet noszę futro pod paltotem.

Przy karczmie Dąbrowskiej zastaliśmy już naszych sąsiadów i gromadę chłopaków wiejskich z kijami pod dowództwem Błażeja gajowego. Po krótkiej naradzie kazaliśmy założyć od bagienka zarośniętego olszyną, a sami rozstawili się na wężykowatej dróżce oddzielającej młodo i dość rzadkie zarośla od grubszego lasu.

"Wkrótce potem znaleźli się obaj sąsiedzi, przyjechał i Franciszek z bigosem, rozpalili ogień, napiliśmy się wódki i zapaliwszy fajeczki rozłożyli pod cieniem drzewa—a mojego Ksawerego nie widać.

— Niema, jasnie panie—powiada Błażej spuszczać się z góry.

— Jakto niema?... a trafiłeś...

— Trafiłem, bo i ślad jest że stat pod sosną, tylko jakiś mech tam zmiętoszony, jakby co z góry na dół leciało... znalazłem kawałek jakiegoś papieru...

Patrzę, jestto kartka ze Świętecznego kurycra, w którą Ksawery miał owinięte papierosy, bo widziałem jak je palcował i jeszcze mówiłem, że szkoda rysunku... Zaniepokoiła mię tedy ta nieobecność pana brata, zaczynam hukać hop, hop! aż mi w gardic zaschło i idę sam na to miejsce... Prawda—niema... Gdzie on się podział, u kaduka—myślę sobie i sunę dróżką dalej.

Chodziłem tak z godzinę i w prawo i w lewo, nareszcie czuję że mi pot leje się z czoła i w żołądku burczy, jakby się gwałtem dopominał posiłku. Pal licha, toć nie zginie; las nie tak duży, pewnie wyszedł drogą ku karczmie i siedzi tam czekając na nas. AVracam tedy do moich, bigosu już nie wiele zostało, aio i to zjadłem bez apetytu, bo ton Ksawery jak ćwiek jaki siedział mi w głowie.

Kazałem jeszcze raz założyć tak, aby naganka wróciła na tę samą drogę — myśląc, że może go gdzie napotkają; lecz że to nic było miejsce na lisa, to gajowy przeszedł z chłopakami jakby po spacerze, żywa dusza się nie pokazała i nie było do czego strzelać,,.

— Co tu robić?—pytam sąsiada.

— Cóż, jechać do domu,..

bito—nie umiem powiedzieć; widziałem tylko przebiegając za moim lisem, że kochany braciszek leży jak długi, trzyma fuzyę do góry i grzebie rękami i nogami, a co się chce podnieść, to się znów poSliźnie na owym mchu i zsuwa się na plecach ku drożynie... Tymczasem mój lis coraz bardziej się chwieje na nogach, ale kanalia wciska się do gęstwiny. Mnie aż wnętrzności trzęsą się od śmiechu na ową szlichtadę Ksawerego, ale pędzę za lisem, bo na polowaniu to jak na wojnie, człowiek się zapala i o nic nie pyta...

Nareszcie lisisko zawiódł mię jeszcze kawał drogi, nim się położył na dobre... A widzisz, bratku—mówie do niego—dogodziłem ci, co? dogodziłem? nie będziesz wyjadał młodych zajęcy... I troczę go do torby, i nabijam strzelbę z zamiarem powrotu na dawniejsze stanowisko... Aż tu zda mi się spojrzeć przed siebie—jedzie drugi het... het, między wycinkami i kieruje się na lewo, na lewo... Poczekaj, bratku, znajdę ja ci drogę; więc chyłkiem na przelaj przez górę ku granicy wielkiego lasu, dokąd i lis pobiegnie. Zdyszałem się drapiąc pod górę, bo i lis mi ciężył, i krzaki leszczyny przeszkadzały, ale kiedy już stoję na drodze, słyszę bach raz, bach drugi... widocznie Ksawery musiał kropnąć do niego...

Pokazało się jednak, że to nie on ale jeden z moich sąsiadów zabił tego lisa. Niedługo nadciągnął Błażej z całą gromadą chłopaków w to miejsce, postanowiliśmy zatem odpocząć troche i wziąć się do bigosu. Jednego z naganiaczy

wyprawilem po Franciszka, który z bryczką stał pod Uśnikiein, a rozpowszechnił gajowemu, gdzie stanowisko pana Ksawerego, posyłam, aby go tu sprowadził.

można było zostawić go samego... a tembardziej, że opadł z urwiska...

— Może się zabił, albo zemdłał — dodaje z przestraszonymi oczami Lincia...—Biedny Ksawery!...

— Ale gdzież się mógł na mchu zabić, zresztą toby leżał na miejscu... Niema rady, pojedę napowrót...

— Weź latarnię, Guteczku, poczekaj!... Adamek, Adamek, niech tam Kwapiszewska da z kuchni latarnię...

— W Imię Ojca i Syna, cóż ja go będę z latarniami po lesie szukać?...

— Co ci to szkodzi, weź; jeszcze dzień, to prawda, ale się niedługo ściemni...

— Miłościwy Boże!—mówi z namaszczeniem pani Anzelmowa—miej go w swej świętej opiece... na intencją jego ofiaruję się suszyć w ten piątek...

— Tylko pamiętaj pani bez szklanicy kawy, dodaje Tytusowa — dziękuję za takie suchoty z kawą ze śmietanką...

— Niechno pani swoich postów pilnuje; w Piśmie Świętym powiedziano: „nie sąǳcie, a nie będziecie sąǳeni...”

— Auguście!—woła Lincia gdy już konie ruszyły.—Weź też jeszcze flakonik z octem toaletowym, może zemdłał... i tę troche płótna na bandażu... może się poranił...

— Tylko też nie lej dużo octu—dodaje zona—bo pali bardzo; najlepiej nakropić chustkę i pod nos... Czekajże... Niech oddycha tym octem...

Nie słuǳałem już dalej, co radziły moje kobiety, ale dobrym klusem każe jechać napowrót ku karczmie Dąbrowskiej... Pytam szynkarza Milera, nie był tu ta

— A jak on zabłądził gdzie w lesie i łązi i me trafi do wsi?

— Eh, cóż znowu—odpowiada pan Ignacy—trzebaby już wielkiego niezdary, żeby w takim leBie zabłądzić. Zresztą przejeǳmy wszere i wzdłuż głównymi drogami, to może nas usłyszysz.

Z owój parnoty zaczął już mały deszczyk kropić na niebie się ściemniło, a że to była może szósta godzina po południu, więc pakujemy się na bryczki i jeǳimy po różnych wertepach co chwila rozkrzykując hop, hop! Moim sąsiadom sprzykrzyła się ta stukanina po korzeniach, ja już kości nie czuję wcale, a w krzyżu tylko mi trzeszczy, bo ten osioł Ziemiaczyński, którymi taki trzęsący wózek kupował, to tylko perorować potrafi, a jak co sprawi, to się psu na budę nie zdało... Nie pytam więcej, nic szukam, a jadę do domu.

Przed ganek występuje Adamek, jak zwykle.

— Pan Ksawery jest?

— Niema...

— Ale musi być!

— Niema, proszę pana... Obiad już od dawności nakryty, i "Walenty powiada, że mu legomina opadła na nic...

— Poprośno mi tu pani — mówie nie zsiadając z bryczki.

Zona, Lincia, a za nimi cały fraucymer wybiega przed dom i naraz obsypują mię tysiącem zapytań, gdzie Ksawery?...

— Albo ja wiem, był w lesie razem ze mną — i opowiada co się stało...

— Jaki ty jesteś nieuważny, Auguście! Jakże

szek wódkę i bułkę albo chleba kawałek, bo zemdleję z głodu...

Krzyknąłem na Milera, podali mu wódkę, a że nie było bułek, więc dostał krajankę razowego chleba, którą mimo że była czarna jak święta ziemia a twardą jak stara podeszwa, pałaszował z największym apetytem...

— (Jadajże co się stało!

— Nieszczęście, poprostu psie nieszczęście, jakie mię całe życie na każdym kroku prześladowe—mówi urywanemi słowy w antraktach przelękania chleba. — "Widziałeś jakem upadł?...

— Ba, nawet jakieś jechał sanna... — mówię, nie mogąc się już wstrzymać od śmiechu.—Nie gniewaj się, mój drogi, że ci nie przyszedłem w pomoc, ho lis, którego postrzeliłem, choć na trzech nogach, umykał tego W gęstwinę i byłby przepadł...

— Nie mam żadnej do ciebie pretensyi, ale muszę ci powiedzieć, dlaczego się przewróciłem. Jakież mię postawił pod sosną, tak stałem ze strzelbą i patrzyłem w tę stronę, gdzie może się co pokazać. Słyszę głosy chłopaków, ale z daleka, i widząc że kolo mnie cicho, a stać trochę nudno — przysłała mi ochota zrobić sobie papierosa...

— No, widziałem jak robiłeś...

— Otoż odstawiłem na bok strzelbę, wydobyłem tytuń, skrzyłem papierosa, a że moja maszynka do ognia zepsuła się, więc przysiadłem i pocieram zapalną w kapeluszu, żeby wiatr jej nie gasił... Naraz słyszę twój strzał—spojrzę przed siebie, a tu lis wielkości psa idzie wprost na mnie...

— To mój Iis...

ki a tiki pan biało ubrany? Nie byt i nie widzieuSmy go aż rano, jakieście panowie jechali do lasu... No... co mu się mogło zrobić...

"Wychodzę z karczmy i już nie wiem gdzie jechać, gdy patrzę, idzie trzech ludzi głównym gościńcem od miasta, i coś z daleka, jeden z nich bardzo biało wygląda... Czekam, zbliżyli się ku nam, i jak raz, mój Ksawery między nimi...

Towarzysze jego i pilami trackiem na plecach, w brudnych siermięgach idą jakby na straży, a mój braciszek zmoczony, zablocony w oklapniętym od deszczu ryżowym kapeluszu, wygląda niby dezertier wojskowy, złapany gdzieś w piekarni, gdy się przebierał za piekarczyka,.. Rozglądam się—wszystkie materklasy myśliwskie są na nim, tylko fuzyi nie widzę, a natomiast ma w ręku jakieś małe zawiniątko z chustki od nosa, z którego wyglądają świecące lufy dubeltówki.

— Ksawery! — krzyknę podbiegając ku niemu — na miłość Boską, co ci się stało?

— A, to ty!—rzecze uradowany przyskakując do mnie.—Niech licho weźmie wasze polowanie!...

— No, siadaj na bryczkę, siadaj... Tam cały dom w trwodze o ciebie...

— Pozwól, niech tym pocziwym, którzy mię wyprowadzili i lasu, dam za fatygę, i zaraz ci wszystko opowiem.

Cbłopi o mało go w nogi nie całowali zobaczywszy po rublu w swych rękach, on im dziękował nawzajem, a usiadłszy do bryczki wola na Franciszka:

— Poczekajno, przyjacielu... stój!

— Czegóż chcesz?

— Mój drogi, niechno przyniesie z karczmy kieli

— Ale gdzietam, drugi szedł, i przystawa! jakby się przysłuchiwał. Ja nic wiele myśląc rzucam papierosa, porywam strzelbę, a tu nega mi się poślizguje na mchu, i padam w znak, a upadając, mówię ci, uderzam fuzyą z całej siły o wystający pień drzewa... Co się chcę podnieść, to czuję nogi mi się znowu ślizgają, i jadę na dół... a tu drugi lis, i ty za nim...

Myślałem że się uduszę od śmiechu, słuchając tego opowiadania... Co sobie u przytomnie ową jazdę i gramolenie się mojego Ksawerka, to cha, cha, cha', i przechylałam się na bryczkę, i łzy mi się leją z oczu.

— Jest się czego śmiać, jest — odzywa się żalonym głosem Ksawercio...

— Daruj... jak Doga kocham ., nie moge... no, nie moge — bąkam urywanymi słowy obejmując go ręką za szyję. —

Ale żebyś ty widział sam... jakieś ty wyrabiał machania rękami i nogami... no... trzymaj mię, bo zlecę z bryczki...

Mój śmiech tyle oddziaływał na pocziwego Ksawerka, że i on zaczął się śmiać ze mną, i chichoczymy się oba kładąc się w siedzeniu... a Franciszek, widzę, robi toż samo na kozle, i zdaje mi się, nawet konie muszą się śmiać z nami, bo już ledwo stąpają noga za nogą... Dopiero po jakimś czasie mówi on dalej;

— To nic, zęm się nie mogł podnieść, i że hs poszedł, pal go lichu, ale nowiuteńką fuzyę dyabli wzięli.
— A to jak?
— W tym upadku, widać tak mocno uderzyłem nią w ów pieniek, że rozleciała się w drobne kawałki... Lufa gdzieindziej, osada gdzieindziej, zamki, śrubki — wszystko to rozprysnęło się Bóg wie gdzie, i kiedym się

podniósł, zostają rai tylko taśma w ręku ze sprzączką, i kawałek osady... Patrz, co mogłem zebrać, zebrałem do chustki od nosa, ale brakuje jednego kurka... dwóch śrubek... cała osada na nic... Ho, ho... tego nie daruję majstrowi; jak tylko przyjadę do A Warszawy, wytoczę mu proces o oszustwo... Proszę cię, nowiuteńka fuzya... dałem osiemdziesiąt rubli, żeby tak od jednego uderzenia... fuszerstwo, nic więcej...

Już śmiać się niemogłem, bo i żal mi było biedaka, że taką szkodę poniósł, więc dosłuchałem już poważnie dalszego opowiadania, jak nas nie mogł odnaleźć, jak nic nic słyszał, ani naszych wołań, ani strzałów...

— Czemużes nio trąbił?...

— Ba, trąbże, kiedy przy tym upadku nalazło mi tyle ziemi do środka trąbki, że nic mogłem przedmuchać...

— A igła magnetyczna? — pytam — toż miałeś

igło...

— Jeszcze gorzej z igłą, bo właśnie za jej kierunkiem zaszedłem do cudzego lasu... Dopiero usłyszawszy jakieś tarcie z daleka, za głosem przyszedłem do tych oto ludzi, którzy piłowali drzewo, i ci pocziwcy odprowadzili mię do karczmy... Nie!... pokazuje się że nie mam szczęścia do wsi, i trzeba wracać do Warszawy...

— Kh, — perswaduję mu — co tu zważać na takie drobnostki — jeszcze masz dziesięć dni do skończenia urlopu... my cię nie puścimy.

— Nie, mój Auguście, pojedę — mówi żalonym głosem wzdychając z ciężkością. — Mnie się nic na świecie nie wie dzie.

— Wstydz się, Auguście — mówi zona, gdy Lincia gotowa była zjeść mię oczami...

— No, i cóż wielkiego, leżał na trawie...

— Mój Boże, jak to ci panowie nie szanują, ubrania — rzecz Kwapiszewska podparłszy sobie z sensacją brodę dwoma palcami... A niechno pan zdejmio czempredzej... spróbuję masłem. Jak szczęścia pragnę, jeżeli od masła nie puści, to od niczego nie puści... I pan hrabia Alfred tak samo raz surdut sobie poplamił, ale że to było za świeża, wzięłam na miednicę! jak zaczęłam trzeć, trzeć i masłem smarować, tak zeszło... Pani hrabina potem nie mogła się wydziwić, wszystkim pokazywała... A, mój Boże, jakaż to szkoda..., moi państwo, toć to prawdziwa angielska pika...

— No, moje panie — odzywam się, widząc, że biedny Ksawery już języka w ustach zapomniał—jeżeli chcecie żeby wytchnął po przygodzie, to nie zasypujcie go pytaniami.

— Pójdźmy, pójdźmy — zawołała zona zabierając lamentujące kobiety i tyra sposobem mogł jakoś Ksawery odetchnąć i nalamentować się do woli, póki nie zaproszono nas na obiad.

Czytelnicy moi radziby zapewne doczekać się końca tych opowiadań o przygodach miejskiego gościa na wsi, a nadobne czytelniczki, już widzę, niecierpliwia się z ciekawości, co się też zrobi z Lincią i Ksawerym? W tym względzie zgadzam się z niemi; ja sam byłem nadzwyczaj zaintrygowany, na czym się ta speknlacya mojej Lucynki zakończy, a z drugiej strony zły byłem, że mi się nie udało dnia tego wysondować pana Ksawerego, co on też myśli o Linci. Na świeżem powietrzu,

— Odi ci takiego?
— Wszystko!... Zdrowia nic mam...
— Kie grzesz, człowieku, nie grzesz... wyglądasz teraz jak rydz... apetyt et się poprawił...
— Mój drogi, to tylko pozory!... Znam ja się lepiej niż ktobądź... Ten ból w boku zawsze siedzi i siedzi, a to, że jem więcej, to na złe mi wyjdzie... Zobaczysz, odpokutuję ja ten apetyt... Głupie życie na świecie i kwita!
Szaro już było na dworze, gdyśmy zajechali do domu. Moje panio jakby na dziwowisko jakie, albo na powrót marnotrawnego syna wybiegły mi ganek, i całą kalwakatą wprowadziły go do dawnej mojej kancelaryi, dopytując się natarczywie o przyczynę tego zaginięcia.
— No, cóż wielkiego — mówie — zbłądził w lesię...
Ksawery już tak był zadespcrowany, że nic nie odpowiadał, a gdy przyniesiono świeco i panie zobaczyły bolesny stan jego nzyonoinii i ubrania, przybrały również kondolencyjne miny.
— Co ty masz takie czarne plecy — mówię obracając go do światła.
— To zielone a nio czarne — wtrąca Lincia.
— Nie puści, jak szczęścia pragnę, nie puści — odzywa się Kwapiszewska, przystawiając mu z tyłu świecę i próbując palcami ubrania.
Ja znowu nie mogłem się wstrzymać od śmiechu zobaczywszy grynszpanowy kolor pleców, bo zaraz przypomniała mi się owa szlichtada po mchu zielonym i owe gramolenie się jego... więc cha, cha, cita! bez końca.

cynki, toby mi się zdawało, iż jestem w niej zakochany. Dla tego też widząc, jak ona się zamyśla i wzdycha nieznacznie, korzystałem z jej wyjścia, i dalej za nią do drugiego pokoju.

— Ej, Linciu — mówie biorąc ją za rękę i grożąc palcem — czego to panna tak mi się zamyśla?
— Zdaje ci się...
— Popatrzno mi w oczy, tylko bez tych manewrów na prawo i lewo, ale prosto...
— Lepiej nio moge — mówi otwierając na mnie swe wielkie powieki.
— Udajesz obojętną, prawda? Ale ja wiem, co tam siedzi w serduszk, oj wiem... Ko, no, nie martw się a poproś mig ładnie, to ja ci coś powiem.
— Co, co? — zapytuje z ciekawością.
— Jeszcze nio w tej chwili, ho sam z pewnością nie wiem, ale jutro... Uważasz, wezmę ja się do niego i wybadam...
— Żadnych badań, bardzo proszę... — zawoła żywo...
— Ależ delikatnie, tak delikatnie, że ani się zmiarkuje... Ot tak, niby żartem... Spuść się na mnie, już ja to wszystko przeprowadzę bardzo dyplomatycznie...
— Auguście, jeżeli mię kochasz, jeżeli mi choć trochę dobrze życzysz, ani wspominać — mówi szybko biorąc mię za drugą rękę... — Zrobiłbyś mi taką przykrość, że nie uwierzysz!
— Dlaczego?
— Dlatego że sobie nie życzę!... Mój drogi, nie rób tego..

w lesie, wśród tajemniczego szumu sosen, doskonała była okazja rozpocząć romantyczną z braciszkiem pogadankę; do takich rzeczy trzeba zawsze dobierać odpowiednich akcesoryów, przy których łatwiej trafić do przekonania takiego na przykład safandudy, jak mój Ksawery...

Nie złe chłopczysko, bo nie złe, ale gwałtem potrzebuje, żeby go ktoś w danej chwili popchnął; sani, to stałby przed Lincia, i cały dzień Boży i gapiłby się w jej oczy, i przewracałby językiem w ustach, a słowaby nie wymówił, że ją kocha, lub coś, choćby mniej dobitnego w tym rodzaju... Przy kolacyi zatem, kiedy skrzywiona twarz jego zaczęła się trochę wygładzać jak ćwiartka zmiętego papieru przy prasowaniu, rozmyślałem sobie, jakby go tu i kiedy zająć w tej materyi. Wprawdzie moja Lucynka jest sobie bardzo zręczną i sprytną kobieciną, ale to zawsze nie to, co gdy męczyzna pogada z męczyzną. Można go np. zażyć trochę żarcikiem, troche na seryo powiedzieć słowa prawdy, do

czego doprowadzi go stare kawalerstwo; wspomni mu się o posagu tak od niechcienia... no, i jakoś wyciągnie się stanowcze słowo... Mnie tego nie trzeba uczyć, bo dzięki Bogu, od drugiej klasy naczytałem się tyle rozmaitych romansów, że gdyby nie to przeklęte gospodarstwo, wykoncypowałbym całą książkę o miłości i różnych sposobach łowienia mężczyzn na siatkę pajęczą. Kiedy sobie tak myślę i spoglądam to na Ksawerego, to na Lincię, powiem państwu, moja panienka coś epochmurniała...

Z dotychczasowych gawędek mogliście wymiarkować, że lubię tę dziewczynę, i że gdybym miał dwadzieścia lat mniej jak mam, a nie znał wprzód mojej Ly

— A! teraz rozumiem, ma racya.... Panowie młodzi, proszę pamiętać o tem, że nic więcej uie odstręcza kobiety jak śmieszność!

Lincia kazała powiedzieć że słaba i nie wyszła więcej, ja byłem czegoś zamyślony, Ksawery bez humoru, zatem dość kwaśno szła pogawędka przy stole. Już mieliśmy wstawać, gdy zjawił się w pokoju organista Bielecki.

— Kaał się też ksiądz proboszcz bardzo pięknie kłaniać i prosić wielmożnego pana, aby był łaskaw przyjść na plebanię.

— Co się stało? — pytam niespokojny. — Czy ksiądz Józefat zachorował?

— Nie, zdrowiuteńki, tylko powiedział że ma pilny interes.

Chwyciłem za czapkę i wybiegłem dość zaciekawiony podobnem wezwaniem proboszcza, albowiem nigdy się jeszcze nie zdarzyło, aby przysyłał po mnie o tak spóźnionej godzinie. Podchodzę do plebanii, w oknach jasno, więc nic zatrzymując się nigdzie, wpadam prosto do pokoju. Wszedłem i mówię państwu, skamieniałem: siedzi ksiądz, siedzi jego siostra panna Karolina, no i zgadnijcie kto trzeci? — Pan Maciej, kochany kolega mój, geometra, pan Maciej w swój własnej osobie. A czy go tu zle jakie przyniosło, czy co— pomyślałem tracąc kontenans, a on prawie jak gdyby nigdy nic.

— A jak się masz, Guteczku!...— I wiesz mi się na szyi i całuje i ściska. — Cóż, nie poznałeś mię?

— Poznałem, ale...

— Myślałeś pewnie, że m zginął jak kamień w wo

— Ależ dlaczego?

— O mój Boże, cóż ci się mam tłumaczyć...

— Jednak zdawało mi się...

— To ci się ile zdawało... Zapewniam stanowczo, nie chcę nic wiedzieć — mówi puszczając moje ręce...

Dziwna rzecz, zkaąd taka nagła zmiana, pomyślą* łom zabierając się do wyjścia z pokoju, ale przeszedłszy próg, uchylam drzwi, i mówię:

— Linciu, ty wiesz, że chciałbym abyś była szczęśliwą. Wiem że ci się podobał... proszę więc, powiedz mi, zkaąd taka zmiana, bo daję ci słowo, będę całą noc myślał nad tero... i nie usnę...

— A jutro mi powiesz, że mam fałsz w sercu, fałsz w mowie, fałsz w myślach...

— Linciu, czy to się godzi, przypominać mi takie rzeczy! — mówię rozżalony. — Znasz mię, że jestem prędki i że czasem wyrwie mi się jakie słówko, ale czyż nie przeprosiłem, czyś nie przebaczyła?

— Wiedz o tem, mój Auguście — odpowiada mi poważnie— że kobiety choć bardzo często przebaczą, to jednak bardzo rzadko zapominają.

— Kiedy tak — mówie obrażony — racz pani darować memu zuchwalstwu...

— Czego ty mię męczysz. Auguście! — rzecz chwyając mię znów za rękę, Zdaje się, że powiedziałam dość wyraźnie, że nio chcę.

— Dla mnie tego mało, ja chciałbym wiedzieć dlaczego?

— Dlaczego, dlaczego? — powtarza z pewnem zakłopotaniem. — Dlatego... że... śmieszny— dodaje prędko puszczając moją rękę i zamykając drzwi za sobą.

a. Wilczyński— Tom XII. M

całe dwa miesiące jeździł za nim po całym kraju zapomniawszy o innych obowiązkach.

— Uważasz, Auguście, tu honor mój był zaangażowany... Daruj, nic mogłem inaczej postąpić. Wiem, że naraziłem się wielu osobom, i pewno twoje panie, Bóg wie, co o mnie myślą, ale to już taka moja natura, żartować z siebie i z przyjaciół moich nikomu nic pozwolę...

Podziękowałem mu jak umiałem wysłuchawszy długiej i rozwlekłej historii gonienia owego Kleinsztika od miasta do miasta, ale gdy skończył, dreszcz mnie przeszedł na samą myśl, co z nim zrobić.

— Padam panu kolatorowi — mówi panna Karolina odciągając mię na stronę — jak wysiadł z bryczki i przywłókł się tu do pokoju, to, padam panu, myślałam, że to duch jaki a nie człowiek. Padam panu, ja się tam żadnych strachów nie boję, bo nieraz sypiałam tylko przez ścianę z nieboszczykiem, ale teraz przeżegnałam się, padam panu. Dopiero jak mię pocałował w rękę i powiada: ja do pani jak do rodzonej matki na opiekę — poznałam że to pan Maciej... Iść do dworu, czy nie iść, radź pani, i padam panu, jak pragnę zdrowia dla księdza brata, na kolana przedemną.

— Co tam asani będziesz zwracać głowę kolatorowi — odzywa się proboszcz pałaszując z Maciejem bigos z ogromnej salaterki. — Ot, lepiej, panie kolatorze prosimy do nas, co Bóg dał... bigosik nic zły...

— Dziękuję, już jestem po kolacyi...

— I poradziłam, żeby się tu zatrzymał, a księdza brata uprosiłam, aby posłać po pana kolatora. Padam panu, okropnie się bałam, żeby z tym panem Ksawery iii

dzie, he? — mówi śmiejąc się na całe gardło ze swego dowcipu.

— Nie... jednak...

— Czekaj, wszystko będziesz wiedział — dodaje wybiegając ze świecą do drugiego pokoju, gdy panna Karolina szepcze mi na ucho:

— Dzielny mężczyzna, padam panu kolatorowi, tegi chłopiec. Co on mi tu nie naopowiadał o różnych awanturach, padam panu historię, tylko spisać to wszystko, padam panu, i wydrukować.

— Masz! — rzecze Maciej podając mi jakiś zwój papierów.

— Cóż to jest?

— AVcz i czytaj!

Rozłożyłem foliał, patrzę, stoi u góry „w Imieniu Najjaśniejszego...”

— Co to jest, wyrok?

— Tak, wyrok sądu kryminalnego.. Ale czytajże...

Czytam tedy dość długie wstępne ceregiele, dopiero przyszedłszy na imię Kleinsztika, domyślam się wszystkiego.

— Przyznam ci się, zapomniałem już o tem.

— Ale ja nie zapomniałem, bo Maciej Prętowski nigdy nic nie zapomina — dodaje uderzając palcem w czoło. —

Słyszałeś co powiedziałem siadając na bryczkę w Siedlcach, że choćby pod ziemią odszukam tego żyda i do kryminału wpakuję — otoż wpakowałem...

Jeszcze ze szkół znajomą mi była zawziętość pana Macieja, ale nic mogłem przypuścić, aby w tym wypadku tak wziął do serca ową sprawę z Kleinsztikiem, że

— Ja już uniówilieni się, z Bartoszewskim, że zrobi rejestr pomiarowy za ciebie...

— Cóżś ty myślał, że nie przyjadę? To mi wyborne!... Jakto, wziąłem od ciebie pięćset rubli na konto i miałbym uciec?...

— Nie, ale widzisz...

— Nie bój się, ja skończę wszystko, jak się należy i obrachujemy się... Przepraszam księdza proboszcza, nie ma tu kogo, coby odniósł za mną kuferek i instrumenta? mówi zwracając się do ziewającego starowiny— Maciej Prętowski jeszcze nikogo nie zarwał...

Panna Karolina przysłała z kuchni parobka, Maciej podał mu swoje manatki, żegna się potem z proboszczem, więc i mnie nic pozostawało, jak zrobić toż samo i iść z nim do dworu....

To ci los — pomyślałem sobie w drodze. — Co racjo kobiety na to powiedzą... No, no, że też człowiek na wsi jednej godziny spokojnej mieć nic może... Nie to, to drugie, skończy się jedno — znów coś nowego kaduk ci przyniesie, że tylko trzeba się martwić od rana do nocy... Idę więc zły i nic się nie odzywam, a ten hultaj Maciej, jakby nic nie było rozpytuje się o żonę, o Lincię, czy też bardzo się gniewają, że ich zostawił w Warszawie i tak nagle wyjechał.

— Powiadam ci, nie miałem chwili do stracenia— agent policyjny, który śledził Klcinsztika powiedział mi, że wyjechał rannym pociągiem do Łowicza... Bałem się żeby mi ide zniknął...

Kiedyśmy wchodzili do przedpokoju, myślałem że idę na ścięcie. Nim Maciej zdjął palto, miałem tyle czasu, że wpadłem do jadalnego pokoju, i uprzedziłem żonę o przyjeździe Macieja... Patrzę, już jest za mną

nio zrobił jakiej awantury. Kiedym mu powiedziała, że panna Michalina idzie za mai...

— Na miłość Bożka, — odzywam się ciszej — pocóżeś pani to mówiła, kiedy nieprawda.

— Ej, dyplomata też to z pana kolatora, dyplomata! — mówi uśmiechając się filuternie...

— Daję pani słowo, że to nieprawda, i nie potrzebnie mu pani takie rzeczy mówiła.

— On już wiedział, padam panu, doskonale wiedział, bo to człowiek jest z charakterem. Padam panu, ja sobie jestem prosta kobieta i nie znam się na gustach pańskich, ale wolałabym już człowieka z charakterem. Padam panu, i mnie się trafiał burmistrz ze Stoczka, porządny człowiek, ale że raz skłamał przedemną, nie chciałam. Padam panu kolatorowi, o bagatelkę chodziło; powiedział że buty sobie każe sprowadzać z Warszawy, a ja wiedziałam, że ten szewc jemu robi co i księdzu Józcfatowi... Padam panu, potem mi leżał u nóg i przepraszał i molestował... Albo i ten brat pana kolatora z temi kurami u gajowej... Ja tam plotek nio lubię, bo, padam panu kolatorowi, co starą kobietę mogą obchodzić cudze sprawy... Nawet, padam panu, każdego plotkarza albo bajczarkę wypędzam zaraz.

Szczęściem, że proboszcz z Maciejem skończyli ko* lacyę i panna Karolina musiała się zająć sprzątaniem ze stołu, inaczej nio puściłaby mię z swoich szponów, choć Bogiem a prawdą, ledwie dziesiąte słowo wpadało mi do ucha, tak byłem zakłopotany owem niespodziewanem zjawieniem się Macieja.

— Mój pokoik na górce pewnie wolny? — pyta obcierając sobie usta — mappy wszystkie przywiozłem z sobą...

i Lucynkę całuje w obie ręce, wszystkie uiatrony także w rękę, a Ksaweremu, choć znali się dobrze, tylko się uklonił ceremonialnie...

Czekałem, rychło mu zona co powie, bo widziałem ogromnego zrobiła marsa na wiadomość o jego przybyciu, ale jakoś nic. Śmieje się nawet, zaprasza na herbatę ceremonialnie, to prawda, ale bardzo grzecznie... Maciej, trzeba państwu wiedzieć, jest strasznie gadająca sztuka i jak zacznie, to ani sposób go zatrzymać. Mnie to już nieraz znudzi to pytlowanie językiem, ale kobiety słuchają i śmieją się nawet, bo doskonale umie naśladować głos i ruchy osób, o których rozpowiada... Tak też i teraz jak zaczął opisywać swoje przygody, strach żyda, kiedy go pochwyił gdzieś na granicy pruskiej, a potem jak odszukał owego Teodorowicza, który ma żonę i sześcioro dzieci, a ta zona jak się dowiedziała, że udawał kawalera, wybiła go przy Macieju, to moje panie i Ksawery śmiały się do rozpuku...

Lincia nie pokazała się wcale, kilka razy dopytywał się o nią — powiedziano, że słaba na zęby...

— Właśnie ja tu mam wyborne krople — mówi dobywając flakonik z torby podróżnej, i dopóty molestował i prosił pani Tytusowej, że ta musiała te krople zanieść do pokoju Lincii.

Nareszcie pożegnał się z kobietami, a ja go odprowadziłem na górkę. Myślałem, że wystąpi do mnie z prośbą, aby nieporozumienia między uini a hincią załatwić i już się gotowałem powiedzieć mu, że nie będzie z tój mąki chleba — a on nic. Rozpowiada mi, że nie myśli o zakupnie domu w Warszawie, bo kamienice spadają, że już nie ruszy się z tą przed ślubem — słowem

dysponuje sobą i Lincia i jej posagiem, jakby to wszystko do niego należało...

O, poczekajże bratku — myślałem sobie zirytowany do żywego — nie mów hop, dopóki nie przeskoczysz! A któż to tu jest opiekunem Linci jak nic ja? a od kogoż to zależy pozwolenie, jak nie odemnie?... Cóż on sobie wysli, że ja tu nic nie znaczę w domu, że jak kobiety zechcą, to ja służka unizony... Poczekaj, mój braciszku, ze mną nic taka sprawa! Jestem człowiek cierpliwy, no, i wyrozumiały na wszystko, ale kto ze mną zadrze, potrafię ja jemu, ho, ho, potrafię... Zarozumialec, niedołęga, Iedno to nogami powłóczy i myśli, że wszyscy będą na jego rozkazy... Zobaczmy, pauio Macieju dobrodzieju, zobaczymy...

Nie mogłem długo usnąć, bo ten facet tak mie zirytował, że krew uderzyła mi do głowy, robiło mi się gorąco, a wyobrażając sobie, jak on się będzie rzucał, gdy ja powiem swoje stanowcze veto, wymyślałem mu w duchu i odpowiadałem ostro na to wszystko, co mi może powiedzieć... on tak, a ja jemu tak... on znowu tak, a ja tak... Otoż dzięki temu narwańcowi usnąłem dopiero o trzeciej po północy, a że muszę odespać swoich sześć godzin, więc przestraszyłem się ogromnie spojrzawszy rano na zegarek że to już dziewiąta.

Śliczny mi gospodarz, nieprawda? Ale bo też lichu nam zawsze jakiś kłopot na wsi przyniesie, o którym ludzie w mieście nie wiedzą... jakieś opieki, konkury, awantury... Gdyby mię los nie przykuł do tej wsi, a mieszkałem sobie gdzie w mieście, to coby mię obchodził taki geometra, na co mi w mieście geometry? A tu mierz grunta, kłopotcz się żebyś mógł dostać pożyczkę, jeszcze w listach zastawnych, na których trzeba jaki

— Niepotrzebnie sobie suszyłeś głowę, bo to nie twoja rzecz!

— I Lincia nie ma żadnej sympatii do Ksawerego... A co do tego, czy moja rzecz, czy nie moja, to ja przypomnę, szanownej pani, że ja jestem jej opiekunem.

— Eh, taki tam opiekun...

— Co to taki?—zawołam już obrażony...

— Mój drogi, tylko ciszej, bo wszystko słyhać przez otwarte okno...

— To czegoż sobie żartujesz ze mnie...

— Na miłość Boską, jaki z ciebie gorączka, mój Augustcie! Trzech słów nie można z tobą pomówić po ludzku, ale zaraz huru, buru...

— "Więc o cóż idzie?

— O to, że gdybyś był dobrym opiekunem i szczęście Linci leżało ci na sercu, tak naprzykład jak pani Sowińskiej... tobyśmy już wiedzieli..

— Mówie ci, Lincia sobie nie życzyła tego i wyraźnie mi powiedziała...

— Kto tam młodych dziewczyn słyha, co one mówią... Przyjdzie im kaprys to się dąsają, i nic chcą o niczem wiedzieć, a jak minie, to zupełnie co innego myślą.

— W ten sposób, moja kochana, to nikt z wami ładu nie dojdzie!

— Guteczku, tylko tez hamuj się trochę; wiesz, że ja tego nie lubię, od niejakiego czasu taki jesteś porywczy! Już nie mogłem wytrzymać, i wzorem innych mężów chroniących swoją głowę przed burzą pod czapkę, chwyciłem mój kapelusz i na podwórzu. Ale to już ja mam takie szczęście, że kiedy jestem zły i chcę się gdzieś na osobności wysapać, to zawsze jakieś lichu musi mi wejść w drogę, aby się jeszcze bardziej zirytować. Tak też i teraz było; wpadam wprost na Ksawerego

dziesiąty procent tracić przy zmianie... Tfu, takie życie, gorsze od życia wolu roboczego!...

Przychodzę na śniadanie, już wszyscy wypili, zona się krzywi, że tylko zawsze na mnie muszą czekać, odgrzować i przystawiać po dziesięć razy do ognia.

— Kiedyż to tak na mnie czekacie? — mówię do Lucynki połykając zimną kawę...

— Zawsze tam albozaśpisz, albo gdzieś pójdziesz właśnie, kiedy jeść podają... a ja nie mogę przyjść do porządku w domu. Każda rzeczpowinnabyć swojej godzinie...

— Moja kochana, moje zajęcie pilniejsze od obiadu... Trudno żebym rzucał całe gospodarstwo dlatego że kawa stygnie, albo Adamek czas marnuje... on i tak po całych dniach nic nie robi...

— Ciekawam, kto za niego robi!...

Ten Adamek, brudny, obdarty i sapiący jak miech kowalski, należał do rzędu słabych stron mojej żony...

— A ty to tylko na gospodarstwo lubisz spędzać... O cobądź cię prosić, o najmniejszą drobnostkę, to nigdy nic nie zrobisz... ciebie dom, zona, familia — to nic!

Ho, źle! coś tu jest do mnie, dlatego i zły humor mojej pani, dlatego i burza za spóźnienie...

— i O cóż to łaskawa pani tak mię prosiła, czegoś to nie zrobił?...

— Nie udawaj, nie... — czasami chcesz być bardzo przebiegłym.

— Dalibóg, że nie wiem...

— Prosiłam cię pozawczoraj, pamiętasz, żebyś wybadał Ksawerego, przyrzekłeś i cóż?

— Wielka rzecz, to go dziś zapytam...

— U ciebie wszystko drobnostka, a tu ten przyjechał.

— Niech sobie przyjeżdża, ja nie pozwolę; czego tu się kłopotać... Całą noc właśnie myślałem nad tym...

da, zabiję, zasiekam, z ziemią zrównam, a nie pozwolę ci żenić się, z Lineis,?...

— I boisz się go...

— Boję, nie boję, bo z waryatem trudna sprawa, ale czegoż on chce odemnie, kiedy ja nie myślę o żenieniu...

— Jakto?—zawołam zdziwiony—nie myślisz!...

— Nio myślę i nie myślałem nie tylko z Lincią, ale z żadną inną... Ja jestem człowiek chory... stetryczały... moje godziny życia policzone...

— Teraz ci powiem, Ksawery, ieś ty zwaryow. it na punkcie swojej choroby...

— Eh, mój kochany, co to gadać takie rzeczy! Przecież nie siedzisz we ranie, to nie możesz wiedzieć co mi jest, a ja jestem chory i jeżeli żyję, to zawdzięczam to bygienicznemu życiu mojemu... Na wsi, prawda, że jestem zdrowszy, i kłocie w boku ustało i tak nic kaszlę, nic toż samo powiedział mi doktor, kiedy mi kazał wyjechać na świeże powietrze... Jednak, gdy wrócę do Warszawy...

— Więc skoro tak — mówie spoglądając na jego desperacką minę—to cię przepraszam, że mi się zdawało co do Linci...

— Proszę cię, czy ja przy takim stanie zdrowia mógłbym pomyśleć o ożenieniu?... Nie zaprzeczam, że panna Michalina jest bardzo przyjemną i godną osobą, ale ja nie dla niej...

— To też dajmy pokój temu wszystkiemu, siedź, baw się, kuruj dokąd chcesz... i dokąd łaska — mówie odchodząc, aby żonie zdać relacją z tak niefortunnego poselstwa ..

— Tylko proszę cię—woła za mną—wylómacz temu Maciejowi, żeby nie fiksował, ho dalibóg, pojedę, jutro... I owszem, niech się żeni, ja nie przeszkadzam...

— Dobrze, ja mu powiem.

i Macieja rozprawiających z sobą, na dziedzińcu. Oba widzę zaindycezeni, bez czapek, chodzą naokoło klombu. Maciej zatrzymuje się co chwila przed nim i grozi mu i rzuca się i tupie nogą, a mój Ksawerck tylko skręca ręką włosy faworytów i pakuje do ust, a drugą eos przekłada i idzie za Maciejem i cofa się w tył, gdy ten naciera na niego...

Zobaczywszy mnie, jakoś się umitygowali, a geometra machnąwszy ręką w powietrzu, odszedł prędko ku oficynie. No—myślę sobie—co tu długo odkładać. Zona powiada, że Lincia znowu chce, więc idźmy do ataku, panie Auguście. Nio mężka to rzecz bawić się w jakieś dyplomacyc, najlepiej prosto i otwarcie...

— Słuchaj no Ksawery, mam z tobą parę słów pomówić—rzeknę biorąc go poci rękę.

— A Ylasic i ja tez chciałem cię zapytać, bo, uważasz, przyczepił się do mnie ten waryat...

— Za pozwoleniem—mówie z powagą—niechże ja powiem wprzód swoje, a potem będę cię słuchał cierpliwie. Znasz mię, Ksawery, że jestem twoim najszczerzym przyjacielem, prawda?

— Zupełnie temu wierzę, mój drogi...

— A zatem powiedz mi tak po bratersku, otwarcie, jak przyjaciel przyjacielowi, czy myślisz się żenić z Lin eia?

Odkoczył odemnie jak oparzony, a gdy ja patrzę na niego, żeby z gry twarzy poznać co on myśli, powiada do mnie:

— Mój Auguście, objaśnij mi, czyście się na mnie zmówili dzisiaj, czy to są żarty... czy co?

— Daję ci słowo, mówie na seryo...

— No, doprawdy, to czysta napaść! Przed chwilą ten fiksat Maciej wpadł na mnie jak bomba i powia

Wracam do mieszkania, i szukam Lucynki po pokojach—uigdzie jej nie ma. Myślę sobie, pewnie sa na naradzie u Liae!, więc otwieram drzwi do hudoarku, a to panie, mój Maciej jak długi leży na podłodze u nóg panienki, która z chustką przy oczach stoi nad nim i płacze. Jak mię zobaczyła, jednym susem już przy drzwiach od sypialnego pokoju i trzask owemi drzwiami.

— .Macieju, co to jest?—pytam widząc, że się nie podnosi i już nie płacze ale po prostu szlocha...

— Co mi po życiu... co mi po wszystkim... raz trzeba to skończyć...

— Stary, stary — mówie stając koło niego — pal sobie w łeb, kiedy taką masz ochotę, tylko wstańże do licha, czegożeś się tu jak lis rozciągnął...

Maciej nio odzywa się na to, a tylko uniósłszy się trochę na rękach, zwraca ku mnie tak komicznie czerwonozapłakaną twarz swoją, że musiałem parsknąć nad nim ze śmiechu.

— A wstańże, mówie ci razi...

— Tak, wstańże, wstańże — powtarza za mną — kiedy nie mogę..

— Dlaczegoż nie możesz?

— Do widzisz, te moje nogi... Upaść to jeszcze potrafię: bój się Boga, pomóż mi...

Trzęsąc się od śmiechu wziąłem go pod rękę, i choć to chłop był ciężki, jednak wywindowałem go jakoś na nogi.

— I tobie się żenić, takie awantury wyprawiać!

— Auguście, ty już nio bądź przeciw mnie... Wszyscy mię opuścili, jak psa... Mój Boże, a ja tak kocham pannę Michalinę... a ja za twoim żydem łamałem kark przez całe dwa miesiące... Powiedział doktor od

pocznij jakiś czas... a ręczę za twoje nogi... Teraz co mi po nogach... co mi po życiu!... Auguście, kolego, przyjacielu mój, ratuj!—zawoła podnosząc złożone ręce do góry i zamierzając klęknąć znów przedemną...

— Hola, mój bracie! — krzyknę przystępując do niego. — Cóż ty myślisz, że znowu cię będę dźwigał!*

Dał sobie już pokój z klękanem, ale desperował, aż szczęściem że nadszedł proboszcz, do którego musiałem wyjść do sali. Domyśliłem sig odrazu, spojrzawszy na szczególniejszy wyraz twarzy księdza Józeiata, że przyszedł z jakąś misją, niezawodnie wysiany przez pannę Karolinę w sprawie Macieja. Siostra proboszcza umiała być wdzięczną, gdy się kto oddawał pod jej opiekę, a zwłaszcza z pocałowaniem obu rąk, jak to uczynił wczoraj geometra...

Ze mną nic nio mówił, ale wsunął się do pokoju kobiet i coś przeszło godzinę radzili pod sekretem, a że mnie to już wszystko dojadło do żywego, poszedłem do stodoły, gdzie strzygli owce, i nie wróciłem aż na obiad. Patrzę—coś stół nakryty uroczyście, i długie kieliszki do szampańskiego wiua stoją przed każdym talerzem, obok nich muszelki na paszteciki... Hm—myślę sjbie— już się pogodzili... A niech się już godzą, bo doprawdy, z tą dziewczyną tylko urwanie głowy, a moje gospodarstwo na tem cierpi... Owce źle wymyli, ten bałwan Ziemiańczyński pospędzał baby, które

nigdy nio miały nożyczek w rękach, tylko mi kaleczą owce i nic więcej, a ja nic mam czasu sam posiedzieć przy strzyży. .

Otwierają się drzwi—patrzę, mój proboszcz prowadzi Lucynkę, a Maciej Lincię i z nią zasiada na pierwszym miejscu... Ksawery prowadzi panią Tytusową i jakoś wesoło patrzy, Anzelmowa tylko brwi marszczy, a pani Srokowska grożąc palcem Murdźnice, wyklada

— zzo —

jćj przez drogę kompletny kurs wstrzeźliwości towarzyskiej...

— Ko, Auguście, powinszuj narzeczonemu zgody!—rzecze mi Lucynka.

Miałem ogromną: chęć zaprotestować, ho przecież mogli mig do tej zgody zaprosić, ale gdy na mnie spójrzała błagając Lincia, a jeszcze miała łzy w tych ładnych szafirowych oczach — to czułem, że tak coś we mnie mięknie, mięknie, że tylko machnąłem ręką powiedziawszy; kiedy zgoda, to zgoda!

Maciej do mnie i nuż ścisnąć, a ja mu do ucha:

— Tylko nie myśl, żebym ci grosz jeden dal z kapitału, nim przyjdzie Towarzystwo kredytowe... Jesteś letkiewicz i muszę się przekonać, jakimto ty mężem będziesz dla Linci...

— Ja ani myślę o tem; i owszem, nie oddaj jak najdłużej..

Więc udało mi się, jak widzicie czytelnicy... tak, niby to, że jest letkiewicz, wykręciłem się z ręcznie od napaści, żeby nie wołał o posag... Powiadają, że ja jestem safandula... Niech mówią co chcą, a ja mam swój rozum!

Przepraszam czytelniczki, że doszedłszy do tego punktu nie mogę wdawać się w szczegóły opisu przygotowań weselnych. Narzeczonemu tak jest pilno z tym ślubem, że, dalibóg, nic mam jednej godziny czasu wolnego, aby się wziąć do pisania. Zawiązawszy się w konfederację z moją żoną, gonią mnie to tu, to tam, a kasę ciągną do ostatniego rubla. Obliczyła mi Lucynka, że z wełny po potrąceniu zaliczki, jaką wziąłem od kupca, zostanie mi się coś sześćset rubli, więc Guteczku daj, posyłaj, kupuj, jakbym już nic miał innych wydatków

na głowie prócz wesela siostry inojćj żony. Boże kochany, jaki te kobiety mają rachunek.

— Lucynka droga, ale idą żniwa, ja potrzebuję mieć jakiś zapas choć na początek!

— Ej, co tam żniwa, sprzedasz ze sto sosen Berkowi i będziesz miał... No, przyznaj sam, że nie rachowałeś, żeby coś z wełny zostało...

— Dobrze to, moje dziecko, ale czego mamy się sadyć na to wesele? Czy tak świetną robi partyę, czy co? Zresztą nie wiem, na czyj to ma iść rachunek...

— Wstydz się, Auguście—rzekła mi na to.—Jak idzie o twoją rodzinę, to niema żadnych skrupułów na czyj rachunek, a jak o Lincię, to robisz dziwnie kwaśną minę...

A róbcie sobie co chcecie — myślę, westchnąwszy ciężko... — tylko nie gadajcie że my jesteśmy rozrzutni i nierachunkowi.

Spodziewam się, że i czytelniczki podziela moje zapatrywanie co do świetności partyi, jaką robi Lincia idąc za Maciejem. Sprzeczać się nie mogę, boby mię zakrzyczeli na wszystkie strony...

— Co chcesz—powiada żona—teraz ciężkie czasy na panny, że najlepiej trzymać się pierwszego kupca, bo teraz młodzi jeszcze gorsi od starych...

Może to i prawda, więc niech się dzieje wola Boska. Ja tylko w moim opiekuńskim sercu jestem o tyle spokojny, że Maciej nie ucieknie od żony, bo niema charakteru w nogach i wątpię, czy go kiedybądź odzyska. A trafia się teraz często, jak słyszę, że puściwszy posag żony, puszcza się i tę żonę na łaskę Bożą, a samemu w świat...